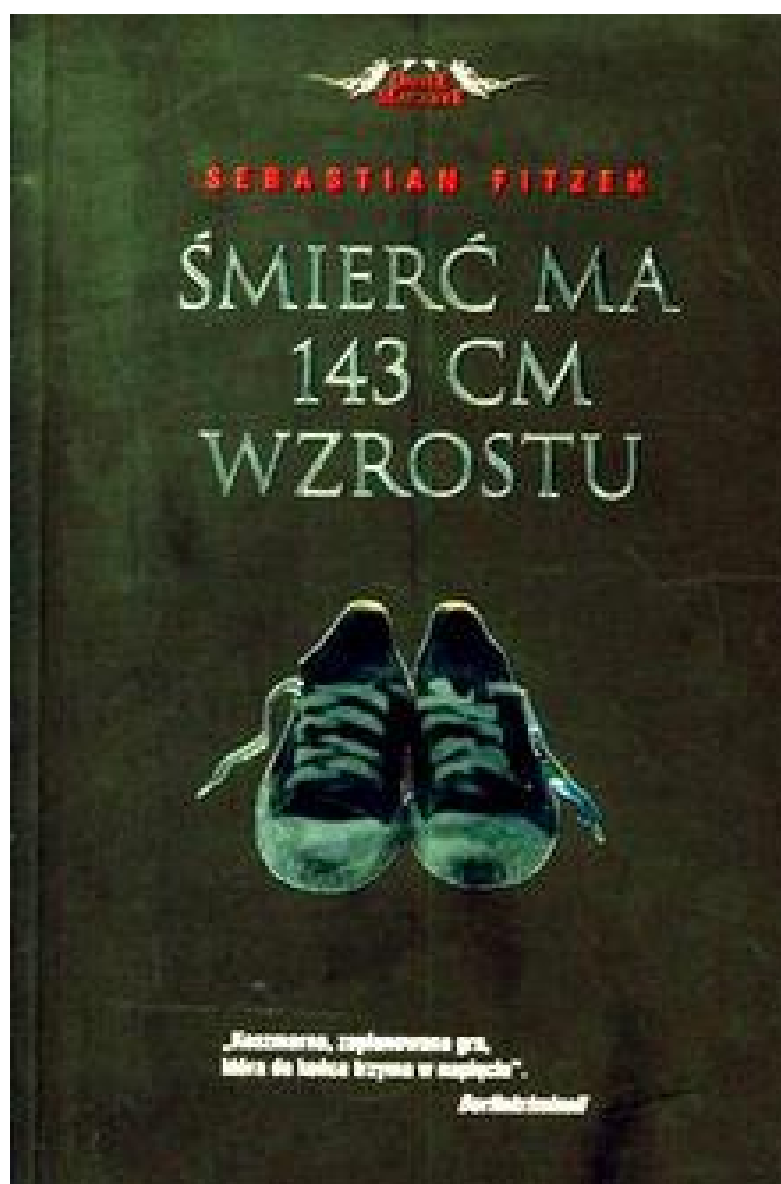




Sebastian Fitzek

**ŚMIERC MA
143 CM WZROSTU**

Przełożył Tomasz Bereziński



Moim rodzicom i Viktorowi Larenzowi

TLR

SPOTKANIE

Prawda przemawia ustami dzieci.

Mądrość życiowa

TLR

1.

Gdy kilka godzin wcześniej Robert Stern godził się na to niezwykle spotkanie, nie wiedział, że będzie to spotkanie ze śmiercią. Jeszcze mniej się spodziewał, że śmierć będzie miała jakieś sto czterdzieści trzy centymetry wzrostu, nosiła tenisówki i z uśmiechem wtargnie w jego życie na opuszczonym przez Boga terenie fabrycznym.

- Nie, jeszcze jej tu nie ma. A mnie powoli odechciewa się czekania.

Stern patrzył zdenerwowany przez mokrą od deszczu przednią szybę swojej limuzyny na oddalony o blisko sto metrów budynek fabryczny bez okien i przeklinał swoją asystentkę prawną. Zapomniała odwołać jego spotkanie z ojcem, który akurat czekał wściekły na drugiej linii.

- Niech pani zadzwoni do Cariny i się dowie, gdzie ona, do cholery, jest!

Stern nacisnął energicznie przycisk na skórzanej kierownicy i zaraz po wyładowaniu atmosferycznym usłyszał w głośnikach, jak jego ojczulek kaszle. Ten siedemdziesięciodziewięciolatek kopcił jak lokomotywa. Nawet teraz, korzystając z krótkiego oczekiwania na połączenie, przypalił sobie papierosa.

- Przepraszam, tato - powiedział Stern. - Wiem, mieliśmy dziś razem zjeść kolację, ale musimy niestety przełożyć to na niedzielę. Wezwano mnie na zupełnie nieoczekiwane spotkanie.

Musisz przyjechać. Proszę. Nic więcej nie wiem. Nigdy wcześniej głos Cariny nie brzmiał przez telefon tak bojaźliwie jak wtedy. Gdyby zagrała w filmie, zasłużyłaby na Oscara.

- Może ja też powinienem płacić ci pięćset euro za godzinę, żeby móc się z tobą spotykać - fuknął zdenerwowany ojciec.

Stern tylko westchnął. Odwiedzał go trzy razy w tygodniu, ale nie miało teraz najmniejszego sensu wspomnienie o tym. Ani setki wygranych procesów karnych, ani przegrane batalie w rozbitym małżeństwie nie mogły go nauczyć, w jaki sposób zachować przewagę nad ojcem podczas sporu z nim. Jak tylko zaczynał rozmawiać ze staruszką, od razu czuł się jak małe dziecko z kiepskimi ocenami na świadectwie, a nie jak czterdziestopięcioletni Robert Stern, współwłaściciel kancelarii Langendorf, Stern i Dankwitz, czołowy obrońca w Berlinie.

- Szczerze mówiąc, nie mam najmniejszego pojęcia, gdzie teraz jestem - spróbował rozluźnić atmosferę. – Mógłbym śmiało powiedzieć, że gdzieś w Czechenii. Nawet system nawigacyjny z trudem mnie tu doprowadził. - Włączył długie światła, oświetlając nimi fragmenty niewybrukowanego placu, na którym piętrzyły się przerdzewiałe narzędzia, kable i inne przemysłowe śmieci. Prawdopodobnie produkowano tu wcześniej farby i lakiery, jeśli dobrze interpretował sterotę pustych blaszanych beczek. Leżące przed groźącym zawaleniem barakiem z palonej cegły, którego komin już się zapadł, wyglądały jak rekwizyty z jakiegoś filmu o końcu świata.

- Mam nadzieję, że za jakiś czas twój system nawigacyjny znajdzie przynajmniej drogę do mojego grobu - wykaszał ojciec, a Stern zastanawiał się, czy ta gorycz była dziedziczna. Bądź co bądź częściowo nosił ją w sobie.

Od czasu Felixa.

Przez koszarne wydarzenia tamtego dnia na oddziale dla noworodków bardzo upodobił się fizycznie do ojca. Stern zestarzał się przedwcześnie. Kiedyś spędzał każdą wolną minutę na boisku do koszykówki, żeby popracować nad techniką rzutu. Dziś nie trafiał nawet do kosza w biurze, kiedy zza biurka rzucał opróżnioną puszką po napoju.

Większość osób, które nie znały go zbyt dobrze, mogły dać się zmylić jego postawą, szczupłą sylwetką i szerokimi ramionami. W rzeczywistości idealnie skrojone garnitury ukrywały pozbawione formy mięśnie, sińce pod oczami tuszował trwały samoopalacz, a dzięki zręcznie przystrzyżonym ciemnym włosom nie było widać początków łysiny. Rano potrzebował teraz prawie godziny, aby pozbyć się z twarzy oznak, zmęczenia, a kiedy wstawał z łóżka, coraz bardziej czuł się jak towar z ukrytymi wadami, jak błyszczący mebel, którego niedoróbki uwidaczniają się dopiero wtedy, gdy ustawi się go w pełnym świetle własnego mieszkania.

Coś stuknęło w połączeniu.

- Przepraszam, zaraz do ciebie wrócę. - Stern uciekł od dalszych zarzutów ojca i odebrał telefon od sekretarki.

- Niech zgadnę. Carina odwołała spotkanie? - To byłoby w jej stylu. W pracy była godną zaufania, sumienną pielęgniarką, ale swe prywatne zobowiązania realizowała tak samo jak życie miłosne: w sposób chaotyczny, zmienny i bez jakiegokolwiek koordynacji. Chociaż ich związek, który trwał zaledwie kilka tygodni, rozpadł się już trzy lata temu, nadal regularnie do siebie dzwonili i nawet spotykali się czasem na kawie. Jedno i drugie kończyło się na ogół kłótnią.

- Nie, niestety nie udało mi się dodzwonić do pani Freitag.

- Okej, dziękuję. - Stern zapalił silnik i wzdrygnął się przestraszony, gdy na przednią szybę samochodu lunęła nagle ściana deszczu pchana przez jesienny wiatr. Włączył wycieraczki i na chwilę zatrzymał wzrok na czerwonobrunatnym liściu klonu, który przykleił się do szyby poza zasięgiem wycieraczek. Odwrócił się i powoli cofał po żwirze, skrzypiąc oponami.

- Jeśli Carina się odezwie, to proszę jej powiedzieć, że nie mogłem już tu dłużej... - Stern zamilkł, kiedy ponownie spojrzął przed siebie z zamiarem wrzucenia pierwszego biegu. Cokolwiek pędziło wprost na niego na sygnale jakies

dwieście metrów w linii prostej, na pewno nie był to rozklekotany samochód Cariny Czerwono-biały furgon gnał z dużą prędkością, podskakując na wyboistej drodze dojazdowej.

Przez krótką chwilę Sternowi wydawało się, że kierowca naprawdę chce go staranować, ale w końcu tamten zakreślił i zatrzymał karetkę obok samochodu Sterna.

- Tato? - Robert powrócił do rozmowy z ojcem, jak tylko rozłączył się z sekretarką. - Zaczynam spotkanie. Muszę kończyć - wyjaśnił, mimo że ojciec właśnie odłożył słuchawkę. Z trudem otworzył drzwi limuzyny, walcząc z porywem wiatru, i wysiadł.

Po jaką cholere przyjechała tu karetkę?

Carina wyskoczyła od strony kierowcy i wpadła w kałużę, ale nie przejęła się, gdy biały kitel zabrudziły czarne smugi. Miała długie włosy w kolorze czerwonego wina mocno związane w koński ogon, przez co wyglądała wręcz olśniewająco. Stern miał ochotę ją przytulić, lecz coś w jej spojrzeniu go powstrzymało.

- Tkwią po uszy w gównie - powiedziała, wyjmując paczkę papierosów. - Tym razem chyba naprawdę nabroiłam.

- Co to wszystko ma znaczyć? Po co ten cały teatr? - zapytał Stern. - Dlaczego nie mogliśmy spotkać się w mojej kancelarii, tylko właśnie tu, na tym... pobożowisku?

Teraz, kiedy nie osłaniało go już wygodne wnętrze limuzyny, czuł nieprzyjemne zimno wzmagającego się październikowego wiatru. Przeszedł go silny dreszcz.

- Nie marnujmy czasu, dobra? Pożyczyłam karetkę tylko na chwilę i muszę ją szybko odstawić.

- Okej. Ale jeśli coś przeskrobałaś, lepiej by nam się rozmawiało w jakimś cywilizowanym miejscu.

- Nie, nie, nie. - Carina kręciła głową, unosząc przy tym rękę w geście odmowy - Nie rozumiesz! Tu nie chodzi o mnie. - Szybkim krokiem obeszła karetkę, otworzyła tylne drzwi i wskazała jej wnętrze, - Tam leży twój klient.

Stern rzucił Carinie niepewne spojrzenie. Sporo już przeszedł, a widok postrzelonego bandyty, ofiary porachunku gangów czy jakiegoś innego podejrzanego typu, który pilnie i przede wszystkim anonimowo potrzebował jego pomocy, nie był dla niego niczym nowym. Zastanawiał się tylko, co Carina miała z tym wspólnego.

Ponieważ nic więcej nie powiedziała, powoli wszedł po metalowych stopniach do środka karetki. Natychmiast zauważył nieruchome ciało na noszach.

- Co to ma być? - Odwrócił się do Cariny, która została na zewnątrz i podpałała papierosa. Paliła bardzo rzadko i tylko w sytuacji, kiedy była naprawdę mocno zdenerwowana. - Przywiozłaś małego chłopca? Po co?

- Sam ci to wyjaśni.

- Ale nie wygląda, jakby ten maluch miał coś... - *do powiedzenia*, chciał dokończyć zdanie, ponieważ blade jak trup dziecko zrobiło na nim wrażenie wręcz apatycznego. Jednak kiedy odwrócił się z powrotem w stronę noszy, chłopiec właśnie się podniósł i usiadł na ich brzegu, machając w powietrzu nogami.

- Nie jestem mały - zaprotestował. - Mam już dziesięć lat! Dwa dni temu miałem urodziny

Pod ocieploną sztruksową kurtką chłopiec nosił czarny T-shirt z trupa czaszką i do tego nowiutkie džinsy, według Sterna zdecydowanie za długie. Ale czy on się na tym znał? Prawdopodobnie było teraz w modzie, że czwartoklasiści podwijali nogawki spodni i wkładali pomazane flamastrami buty do jazdy na deskorolce.

- Jest pan adwokatem? - spytał chłopiec nieco zachrypnięty. Wyglądało na to, że mówienie sprawia mu kłopot, jakby od dawna nic nie pił.

- Tak. Obrońcą, dokładnie rzecz ujmując.

- Dobrze. - Chłopiec uśmiechnął się, pokazując zadziwiająco proste i białe zęby. Ten śliczny chłopak naprawdę nie potrzebował żadnej szczyrby między zębami, żeby wzruszyć swoją babcię. Wystarczyły długie jak zapalki, ciemne rzęsy oraz pełne, lekko otwarte usta. - Bardzo dobrze - powtórzył, wstając ostrożnie z noszy, przez co na chwilę odwrócił się do Roberta plecami. Jego świeżo umyte jasnobrązowe delikatne loki opadały aż do ramion, a patrząc od tyłu, z łatwością można go było wziąć za dziewczynkę. Robert zauważył, że włosy zakrywały nalepiony na karku plaster wielkości karty kredytowej.

Kiedy chłopiec odwrócił się ponownie w jego stronę, nadal się uśmiechał.

- Jestem Simon. Simon Sachs.

Podał Robertowi swą delikatną dłoń, którą ten potrzęsnał bez zdecydowania.

- Świetnie. Ja nazywam się Robert Stern.

- Wiem. Carina pokazała mi pana zdjęcie, które nosi w torebce. Mówi, że jest pan najlepszy.

- Dziękuję bardzo - wymamrotał niezręcznie Stern. O ile sobie przypominał, była to najdłuższa rozmowa, jaką od lat prowadził z nieletnim. Dlatego też spytał nieco niezgrabnie: - Co mogę dla ciebie zrobić?

- Potrzebuję adwokata.

- Wszystko jasne! - Stern spojrzał wymownie na Carinę, która z niewzruszoną miną zaciągnęła się papierosem. Dlaczego mu to zrobiła? Po co kazała mu przyjechać do tej dziury i przywiozła ze sobą dziesięciolatka? Przecież doskonale wiedziała, jak kiepsko sobie radzi z dziećmi. I że konsekwentnie trzyma się od nich z daleka, od momentu kiedy osobista tragedia zniszczyła najpierw małżeństwo, a później jego samego.

- A dlaczego myślisz, że potrzebujesz adwokata? - spytał, z trudem tłumiąc w sobie narastającą złość. Być może ta dziwaczna sytuacja dostarczy mu chociaż ciekawego tematu do pogawędek podczas przerw w posiedzeniach w kancelarii.

Stern wskazał na plaster na karku Simona. - Czy to z tego powodu? Oberwałeś od kogoś na szkolnym podwórku?

- Nie, nie dlatego.

- Dlaczego więc?

- Zabiłem.

- Co proszę? - Stern odezwał się dopiero po krótkiej chwili, święcie przekonany, że to brutalne słowo nie mogło paść z ust dziesięciolatka. Poruszał głową jak kibic podczas meczu tenisowego, spoglądając to na Carinę, to na chłopca.

Tak długo, aż Simon powtórzył jeszcze raz. Głośno i wyraźnie:

- Potrzebuję adwokata. Jestem mordercą.

Gdzieś w oddali zaszczekał pies. Jego głos mieszał się z ciągłym szumem dochodzącym z pobliskiej autostrady. Ale Stern nie słyszał tego, tak jak nie słyszał ciężkich kropli deszczu rozbijających się w nieregularnych odstępach o blaszany dach karetki.

- Okej. Myślisz, że kogoś zabiłeś? - zapytał po kolejnej przerwie.

- Tak.

- Mogę wiedzieć kogo?

- Nie wiem.

- Aha, nie wiesz. - Stern roześmiał się sucho. - I zapewne nie wiesz też jak, dlaczego, ani gdzie to się wydarzyło, ponieważ to wszystko jest tylko głupim szczeniackim kawałem i...

- Siekierą - wyszeptał Simon. W tej chwili zabrzmiało to, jakby krzyknął.

- Słucham?

- Siekierą. W głowę. Niewiele więcej wiem. To było dawno temu.

Robert zamrugał nerwowo.

- Co znaczy dawno? Kiedy to było dokładnie?

- Dwudziestego ósmego października.

Prawnik spojrział na kalendarz w swoim zegarku.

- To dziś - odpowiedział poirytowany - A przecież powiedziałeś, że to było dawno temu. No więc jak? Musisz się zdecydować.

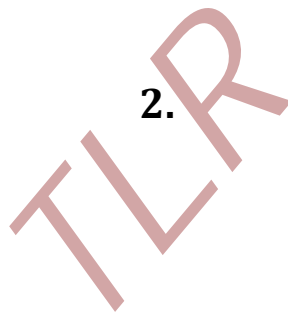
Stern zapragnął przez chwilę, żeby biorąc świadków w krzyżowy ogień pytań, zawsze miał do czynienia z tak łatwymi przeciwnikami. Dziesięciolatek, który już w pierwszych minutach swej opowieści płacze się w sprzecznościach. Życzenie to nie trwało jednak długo.

TLR

- Pan mnie nie rozumie. - Simon potrząsnął ze smutkiem głową. - Zabiłem człowieka. Dokładnie tu.

- Tu? - powtórzył Stern jak echo, patrząc skonsternowany, jak Simon przechodzi koło niego, wysiada z karetki i rozgląda się na zewnątrz z zaciekawieniem. Na tyle, na ile Stern mógł podążyć za jego wzrokiem, zawisł on na zawalonym budynku, oddalonym o jakieś sto metrów, obok kilku drzew.

- Tak. To było tu - potwierdził Simon z zadowoleniem, łapiąc Carinę za rękę. - Tu zabiłem człowieka. Dwudziestego ósmego października. Piętnaście lat temu.



Robert wysiadł z karetki, prosząc Simona, żeby chwilę zaczekał. Złapał mocno Carinę za nadgarstek i odprowadził ją parę kroków dalej za swoją limuzynę. Deszcz nieco ustał, ale ściemniło się, wzmógł się wiatr i zrobiło się zimniej. Ani Carina w cienkim kitlu, ani on w czarnym dwuczęściowym garniturze nie byli odpowiednio ubrani na tę okropną pogodę. Choć i tak wydawało się, że w przeciwieństwie do niego Carina nie marznie.

- Krótkie pytanie - szepnął, chociaż i tak Simon nie mógł ich słyszeć z tej odległości. Wiatr i monotonny szum autostrady połykały każdy dźwięk. - Kto z was dwojga ma nie wszystko po kolei?

- Simon jest moim pacjentem na neurologii - odpowiedziała Carina, jakby to coś wyjaśniało.

- Może psychiatria byłaby dla niego bardziej odpowiednim miejscem - syknął Stern. - Co mają znaczyć te brednie o morderstwie sprzed piętnastu lat? Czy on nie umie liczyć? A może jest schizofrenikiem?

Otworzył pilotem bagażnik samochodu. Jednocześnie zapalił światło we wnętrzu auta, aby można było cokolwiek zobaczyć w panującym na zewnątrz półmroku.

- Ma raka mózgu. - Carina z pomocą kciuka i palca wskazującego uformowała okrąg, aby pokazać wielkość guza. - Dają mu jeszcze tylko kilka tygodni. Może nawet dni.

- Mój Boże! I to ma takie skutki uboczne? - Stern wyjął z bagażnika parasol.

- Nie, to moja wina.

- Twoja?

Podniósł wzrok od nowego eleganckiego parasola, którego sposobu działania jeszcze nie odkrył. Nie potrafił nawet znaleźć przycisku do otwierania.

- Mówiłam przecież, że nabroiłam. Musisz wiedzieć, że chłopak jest bardzo inteligentny, niewiarygodnie wrażliwy i zadziwiająco mądry, jak na swój wiek, co moim zdaniem graniczy niemal z cudem, jeśli weźmie się pod uwagę warunki, w jakich się wychowywał. Kiedy miał cztery lata, odebrano go aspołecznej matce, z całkowicie zaniedbanego mieszkania - znaleziono go zagłodzonego w wannie obok martwego szczura. Zawieziono go do domu dziecka. Tam zwrócili na niego uwagę, bo bardziej lubił czytać encyklopedię, niż mocować się z rówieśnikami. Jego opiekunowie uważali, że to normalne, że dziecko, które tak dużo myśli, często odczuwa ból głowy. Jednak w końcu odkryli guz, a odkąd leży na moim oddziale, nie ma nikogo oprócz personelu medycznego. Właściwie nikogo oprócz mnie.

Carinę przeszył dreszcz, zaczęły drżeć jej usta.

- Nie bardzo rozumiem, do czego zmierzasz.

- Przedwczoraj Simon miał urodziny, a ja postanowiłam sprawić mu specjalny prezent. Chociaż ma dopiero dziesięć lat, z powodu życiowych doświadczeń i choroby jest znacznie dojrzały od innych dzieci w jego wieku. Pomyślałam więc, że nie będzie na to za młody

- Na co? Co mu podarowałaś? - Stern poddał się wreszcie i zrezygnował z otwarcia parasola. Trzymał go teraz jak wskaźnik wymierzony w pierś Cariny

- Simon boi się śmierci. Zorganizowałam mu więc terapię reinkarnacyjną.

- Co? - spytał Robert, chociaż jakiś czas temu widział coś na ten temat w telewizji.

To było typowe dla Cariny. Musiała wziąć udział także i w tym ezoterycznym trendzie. Pomysł, że chodziło się po tym świecie we wcześniejszym życiu, fascynował najwidoczniej ludzi w każdym wieku. Tęsknota za paranormalnymi doświadczeniami była idealnym gruntem dla podejrzanych terapeutów, którzy wyrosli jak grzyby po deszczu i za odpowiednie honorarium oferowali tego typu terapie: podróż w przeszłość przed urodzinami, podczas której można się dowiedzieć, zazwyczaj w stanie hipnozy, że przed sześciuset laty zostało się spalonym na stosie albo że nosiło się królewską koronę we Francji.

- Nie patrz tak na mnie. Wiem, co o tym sądzisz. Przecież nie czytasz nawet swojego horoskopu. - Jak mogłaś wystawić tego chłopaka na jakieś czary-mary?

Stern popadł w osłupienie. W programie telewizyjnym ostrzegali przed ciężkimi psychicznymi obrażeniami. Osoby podatne na choroby mogą się załamać, kiedy jakiś znachor wmawia im, że obecne problemy psychiczne wiążą się z niewyjaśnionym konfliktem we wcześniejszym życiu.

- Chciałam tylko pokazać Simonowi, że śmierć nie oznacza końca. Ze nie musi się martwić, bo życie trwa dalej.

- Powiedz, proszę, że to żart.

Pokręciła głową.

- Zabrałam go do doktora Tiefenseego. To dyplomowany psychiatra, który prowadzi kursy na uniwersytecie. Zatem żaden szarlatan, jak pewnie myślisz.

- I co się stało?

- Poddał Simona hipnozie i właściwie niewiele się wydarzyło. W stanie hipnozy Simon nie potrafił nic rozpoznać. Później powiedział tylko, że był w jakiejś ciemnej piwnicy, gdzie słyszał głosy. Okrutne głosy.

Stern skrzywił się. Zimno, posuwające się wolno w górę pleców, z sekundy na sekundę stawało się coraz bardziej nieprzyjemne. Ale to nie był jedyny powód, dla którego chciał zmyć się stąd jak najszybciej. Gdzieś w oddali pociąg towarowy zatrzymywał się na kolejnej stacji. Carina zaczęła teraz szeptać, jak Stern na początku ich rozmowy:

- Kiedy Tiefensee chciał go wybudzić z hipnozy, najpierw mu się to nie udało. Simon zapadł w głęboki sen. A gdy się ocknął, powiedział to samo, co przed chwilą tobie. On uważa, że kiedyś był mordercą.

Stern miał ochotę wytrzeć mokre dłonie o gęste brązowe włosy, ale i te były już kompletnie przemoczone.

- Carina, to jakiś obłąd. I ty bardzo dobrze o tym wiesz. Zastanawiam się tylko, co to wszystko ma wspólnego z tobą?

- Simon ma niewiarygodne poczucie sprawiedliwości i koniecznie chce stać się na policję.

- To prawda.

Robert i Carina odwrócili się nagle do chłopca, który zdążył już do nich podejść. Wiatr mierzwił mu loki na czole, a Stern w ogóle nie mógł zrozumieć, dlaczego on jeszcze je ma. Na pewno musiał przejść chemioterapię.

- Jestem mordercą. Dlatego chcę się oddać w ręce policji, ale bez adwokata nie powiem nic więcej.

Carina uśmiechnęła się melancholijnie.

- Usłyszał to zdanie w telewizji. A ty niestety jesteś jedynym adwokatem, jakiego znam.

Stern uniknął spojrzenia w jej oczy. Gapił się w dół na błotnistą ziemię, jakby mógł tam znaleźć wskazówkę, w jaki sposób zareagować na to całe szaleństwo.

- I? - Usłyszał Simona.

- Co i? - Spojrzał prosto na chłopca, dziwiąc się, że ten znów się uśmiecha.

- Chce pan zostać moim adwokatem? Mogę zapłacić. - Simon z trudem wyjął z kieszeni spodni mały portfel. - Mam pieniądze.

Stern pokręcił głową. Najpierw niewidocznie, potem coraz intensywniej.

- Mam, mam - zaprotestował Simon. - Naprawdę.

- Nie - powiedział Stern, przy czym patrzył tym razem zły nie na chłopca, tylko na Carinę. - Nie chodzi wcale o to, prawda? Nie kazałaś mi tu przyjechać, bo jestem adwokatem.

Teraz ona spuściła wzrok.

- Nie, masz rację - przyznała cicho.

Stern odetchnął ciężko i wrzucił nieużyteczny parasol z powrotem do bagażnika. Przesunął aktówkę, która tam leżała, otworzył plastikową pokrywę z boku bagażnika i wyjął podręczną apteczkę i latarkę. Sprawdził wiązkę światła, kierując latarkę na ruinę, na którą wcześniej wskazał Simon.

- No dobrze, miejmy to już za sobą.

Pogłaskał wolną dłonią Simona po głowie. Sam nie mógł uwierzyć, że powiedział coś takiego do dziesięciolatka:

- Pokaż mi dokładnie, gdzie zamordowałeś tego człowieka.

3.

Simon poprowadził ich dokoła zrujnowanej budowli. Przed laty stał tu dwupiętrowy budynek fabryczny. Później jednak spłonął, pozostawiając sterczące zwęglone fragmenty ścian niczym wyciągnięte ku wieczornemu niebu poranione dłonie.

- Widzisz, tu nic nie ma.

Stern skierował latarkę na ruinę.

- Ale on musi gdzieś tu leżeć - odpowiedział Simon, jakby chodziło o zgubioną rękawiczkę, a nie zwłoki. On też wyposażony był w małe źródło światła. Plastikowy pręt, który fluoryzował w ciemności, gdy się go przełamało.

- Z jego czarodziejskiego kufierka - wyjaśniła Sternowi Carina. Najwidoczniej oprócz terapii reinkarnacyjnej dostał też normalne prezenty

- Wydaje mi się, że to było tu na dole - powiedział Simon podniecony i ruszył naprzód.

Stern podążył za wyciągniętą ręką i skierował snop światła na dawną klatkę schodową, z widocznym jedynie wejściem do piwnicy.

- Nie możemy tam zejść. To bardzo niebezpieczne.

- Dlaczego? - spytał chłopiec, kopiąc kawałek cegły.

- Zostań tu, skarbie. Wszystko może się zawalić. - Carina była nadzwyczaj zatroskana. Wcześniej w obecności Roberta tryskała wprost wesołością. Prawie tak, jakby nadmiarem radości życia chciała wyrównać wzbierającą w nim ciągle melancholię. Ale teraz chyba trochę się bała, widząc, że Simon zachowuje się jak spuszczone ze smyczy nietresowany pies. On po prostu szedł przed siebie.

- Spójrzcie, tam jest wejście! - krzyknął nagle Simon i zniknął za żelbetowym dźwigarem, zanim oboje zdążyli zaprotestować.

- Simon! - zawołała Carina. Stern wszedł niezgrabnie na gruzowisko, aby do nich dołączyć. Potykał się w ciemności, o jakiś zardzewiały drut rozdarł spodnie. Kiedy wreszcie dotarł do wejścia do piwnicy i drewnianych osmolonych schodów, chłopiec zniknął za rogiem dwadzieścia stopni niżej.

- Natychmiast wyjdź stamtąd! - krzyknął Stern, przeklinając momentalnie nierozważny dobór słów. W jednej sekundzie zdał sobie sprawę, że wspomnienie, które to zdanie w nim budziło, było gorsze od wszystkiego, co mogło go tu spotkać.

Wyjdź stamtąd. Skarbie, proszę. Mogę ci pomóc...

Nie było to jedyne kłamstwo, które powiedział wówczas Sophie przez zamknięte drzwi do toalety. Bez skutku. Przez cztery lata próbowali wszystkiego. Próbowali każdej techniki i metody leczniczej, aż wreszcie otrzymali wyczekiwany telefon z kliniki leczenia bezpłodności. Wynik pozytywny. Ciąża. Wydawało mu się wówczas, dokładnie przed dziesięcioma laty, że jakaś siła wyższa skierowała go na zupełnie nową drogę w życiu. Prowadzącą do szczęścia, i to w najczystszej formie.

Niestety trwało to jedynie chwilę, której Stern potrzebował, aby oblepić świecącymi gwiazdkami sufit w nowym pokoju dziecięcym oraz aby razem z Sophie wybrać ubranka. Felix nie miał ich na sobie ani razu. Pogrzebano go w śpioszkach, jakie pielęgniarki włożyły mu na oddziale dla noworodków.

- Simon? - prawnik krzyknął tak głośno, że sam wyrwał się z koszmarnych myśli. Wzdrygnął się, gdy Carina zrobiła to samo.

- Chyba coś tu jest! - głuchy dziecięcy głos przeniknął na górę.

Stern zaklął i wybadał stopą pierwszy stopień.

- Nie ma rady, muszę tam zejść.

Również i te słowa przypomniały mu straszny moment w życiu. Kiedy Sophie uciekła do szpitalnej toalety z martwym niemowlakiem na rękach i nie

chciała się z nim rozstać. „Nagła śmierć dziecka” - nie chciała zaakceptować tej diagnozy Dwa dni po rozwiązaniu.

- Idę z tobą - powiedziała Carina.

- Nie ma mowy - Stern ostrożnie postawił na stopniu drugą stopę. Schody wytrzymały nacisk trzydziestu pięciu kilo, zobaczymy, co się stanie przy ponad dwukrotnie większym ciężarze.

- Mamy tylko jedną latarkę, a ktoś musi sprowadzić pomoc, jeśli za parę minut stamtąd nie wyjdziemy.

Spróchniałe drewno trzeszczało przy każdym kroku niczym takielunek żagłówki przy niskiej fali. Stern, schodząc coraz niżej, nie był pewien, czy zmysł równowagi płata mu figla, czy też poręcz rzeczywiście chwieje się coraz bardziej.

- Simon? - zawołał chyba po raz piąty, ale zamiast odpowiedzi usłyszał z od- dali metaliczny brzęk. Jakby chłopiec uderzał śrubokrętem w rurę grzewczą.

Chwilę później stał już z walącym sercem u podnóża schodów. Obejrzał się za siebie. Na zewnątrz zapadła taka ciemność, że z dołu nie był w stanie rozpo- znać zarysów Cariny Zaświecił w prawo w głąb piwnicy, rozdzielającej się na dwa korytarze. W każdym stało jakieś pięć centymetrów błotnistej wody

Nie do wiary, że chłopiec odważył się wejść sam w to przemysłowe bagno. Stern wybrał lewy korytarz, ponieważ w drugim już po paru metrach przewróco- na skrzynia blokowała przejście.

- Gdzie jesteś? - zawołał, brodząc po kostki w lodowatej brei.

Simon znów nie odpowiedział, ale przynajmniej dał znak życia. Zakasłał. Był kilka kroków przed Sternem. Pomimo to Robert nie potrafił namierzyć go latarką.

Jeszcze stracę tu życie. Nogawki spodni wchłaniały wilgoć niczym bibuła. Gdy jakieś dziesięć metrów przed sobą dostrzegł drewnianą ścianę, zadzwoniła komórka.

- Gdzie on jest? - spytała Carina niemal histerycznym głosem.

- Nie mam pojęcia. Wydaje mi się, że w bocznym korytarzu.

- Co mówi?

- Nic, tylko kaszle.

- Mój Boże, natychmiast go stamtąd wyciągnij. – Carina była bardzo zenerwowana.

- A jak myślisz, po co tu zszedłem? - mruknął.

- Nie rozumiesz mnie. Guz. To znów się stanie.

- Co masz na myśli? Co się stanie?

Stern ponownie usłyszał kaszel Simona. Tym razem znacznie bliżej.

- Skurcze oskrzeli poprzedzają omdlenie. On za chwilę straci przytomność - krzyczała Carina tak głośno, że słyszał ją jednocześnie przez komórkę i z zewnątrz.

I upadnie twarzą w wodę, i utonie. Tak jak...

Stern ruszył biegiem. We wzbierającej panice nie zauważył czarnej drewnianej belki, która zwęglona i przez to niewidoczna zwiisała z sufitu. Całą siłą uderzył o nią głową. Od bólu dużo większy okazał się jednak strach. Wydawało mu się, że został zaatakowany, dlatego w geście obronnym podniósł obie ręce do góry. Kiedy zorientował się w błędzie, było już za późno. Latarka mrugnęła jeszcze dwa razy pod wodą w miejscu, gdzie ją upuścił, potem zgasła.

- Cholera! - Palcami prawej ręki starał się wymacać ścianę. Krok po kroku zaczął posuwać się do przodu, uważając, żeby nie stracić orientacji w ciemności. W tej chwili i tak był to jego najmniejszy kłopot. Przecież dotychczas szedł tylko prosto przed siebie. Dużo bardziej martwiło go, że Simon już nie kasłał.

- Hej, jesteś tu jeszcze? - krzyknął. Nagle coś trzasnęło mu w ucho. Poczucił się jak pasażer samolotu podczas lądowania. Musiał kilka razy przełknąć ślinę, aby zmniejszyć parcie na błonę bębenkową. Zaraz potem usłyszał ciche charczenie.

Za drewnianą ścianą, jakieś dziesięć metrów na wprost i potem za rogiem. Musiał tam pójść. Do bocznego korytarza. Simon tam był. Woda hamowała jego kroki, ale tempo było niestety wystarczające, aby wywołać zgubną reakcję łańcuchową.

- Simon, słyszysz... Pomocyyyyyy!

Z ostatnim słowem wpadł w otchłań. W cuchnącej wodzie zaplątał się w stary kabel telefoniczny, który jak wnyki na dzika zacisnął się wokół jego stopy. Stern spróbował jeszcze dłonią znaleźć oparcie w wilgotnej ścianie, jednak złamał tylko dwa paznokcie, zanim runął w dół. Przed uderzeniem zorientował się, że dotarł już na sam koniec korytarza. Nie upadł w wodę, rękoma zaparł się o miękką drewnianą ścianę. Zatrzeszczało jak przy pierwszym kroku na schodach, z tym, że o wiele głośniej. Przeleciał przez coś, co sądząc po odgłosie, musiało być płytą ze sklejk. Albo drzwiami. W strachu wyobraził sobie, jak wpada w niezabezpieczony szyb górniczy albo głęboką studnię, ale po kilku centymetrach całym ciałem brutalnie walnął w twardą glebę. Jedynym pozytywem w jego nowym położeniu było to, że woda jeszcze nie dotarła do tego rogu piwnicy. Zamiast tego z sufitu i ścian obluzowały się nieokreślone przedmioty i spadły prosto na niego.

O mój Boże. Stern nie odważył się poruszyć czegoś dużego i okrągłego, co wylądowało nagle na jego kolanach. Był niemal pewien, że wymaca niebieskawą usta i nabrzmiąłą twarz: martwą twarz Felixa.

Wtedy powoli zrobiło się wokół niego coraz jaśniej. Zamrugał, potrwało to chwilę, zanim się zorientował, co było nieoczekiwanym źródłem światła. Dopie-

ro kiedy stanęła tuż przed nim, rozpoznał Carinę, która zielonym wyświetlaczem swojej komórki oświetlała przegrodę, w którą wpadł.

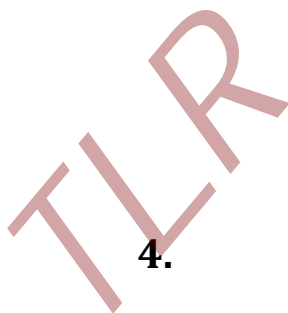
Jej krzyk Stern zobaczył wcześniej, niż usłyszał. Na ułamek sekundy Carina otworzyła niemo usta, by po chwili wydobyć z siebie przeszywający głos, który odbijał się od beto-nowych ścian. Stern zamknął oczy.

W końcu jednak zebrał się w sobie i spojrzał w dół.

Miał ochotę wymiotować.

Głowa na jego kolanach tkwiła jak gałka karnisza na resztkach częściowo już rozłożonych zwłok.

W zamieszaniu wywołanym przez niedowierzanie, wstręt i przerażenie Stern zauważył jeszcze, jaką otwartą ranę pozostawiła w czaszce siekiera.



Łzy płynęły z oczu policjanta szybciej, niż potrafił mrugać.

Martin Engler, jęcząc przez zamknięte usta, odchylił głowę do tyłu i macał na oślep ręką po stole, aż wreszcie znalazł to, czego szukał. W ostatniej chwili rozerwał opakowanie, wyjął chusteczkę i przystawił ją do nosa.

Aaaaapsiiiiik...

- Przepraszam. - Oficer dochodzeniowy wydziału zabójstw wyczyścił nos, a Stern zastanawiał się, czy przypadkiem Engler podczas gwałtownego kichnięcia nie wydał z siebie niemal niesłyszalnego „palant”.

To by pasowało. Po tym, jak Stern wygrał kilka uniewinnień dla osób aresztowanych podczas dochodzeń prowadzonych osobiście przez Englera, adwokat nie należał do najbliższych przyjaciół komisarza.

- Hhhmmm.

Chrząknął siedzący obok Englera mężczyzna z wyraźną nadwagą. Stern odwrócił się na chwilę do funkcjonariusza. Spod jego podwójnej brody wystawało ogromne jabłko Adama. Wchodząc do pozbawionego okien pokoju przesłuchań, przedstawił mu się jako Thomas Brandmann. Nie podał stopnia służbowego, nie określił swojej roli. I pomijając gardłowe pochrząkiwanie, jakie co pięć minut wydobywało się z jego krtani, nie odezwał się jeszcze ani słowem. Inaczej niż Englera, który już od ponad dwudziestu lat służby należał do „inwentarza” policji kryminalnej, tego barczystego mężczyznę widział po raz pierwszy Brak gotowości do komunikacji z jego strony mógł oznaczać, że to on prowadził dochodzenie. Lub wręcz przeciwnie.

- Chce pan? - Engler przytrzymał w górze paczkę aspiryny. - Wygląda pan, jakby potrzebował lekarstwa.

- Nie, dziękuję. - Stern pokręcił głową i złapał się za bolący guz, który wyrósł mu na czole. Od uderzenia w piwnicy huczało mu w głowie i denerwował się, że siedzący przed nim komisarz nawet teraz, z zaczerwienionymi oczami i zakatarzony, sprawiał wrażenie bardziej pełnego życia niż on sam. Ławka na słońcu i poranne bieganie w lesie dają całkowicie odmienne efekty niż długie noce przed komputerem w kancelarii.

- Dobrze, podsumujmy więc.

Oficer sięgnął po notes. Stern nie mógł powstrzymać uśmiechu, kiedy Brandmann ponownie odchrząknął, chociaż nadal nie miał nic do powiedzenia.

- Znaleźliście zwłoki dziś po południu, około godziny 17.30. Na miejsce znaleziska zaprowadził pana chłopiec, Simon Sachs, w towarzystwie pielęgniarki,

Cariny Freitag. Wspomniany Simon ma dziesięć lat, choruje na raka mózgu i właśnie jest...

Engler przełożył kartkę.

- ...leczony na oddziale neurologicznym kliniki Seehaus w Westendzie.

Twierdzi, że sam zamordował tego mężczyznę. W poprzednim życiu.

- Piętnaście lat temu, tak - potwierdził Stern. - Jeśli dobrze liczę, powiedziałem to panu już po raz ósmy

- Tak, tak. Ale...

Engler przerwał w połowie zdania i odchylił ponownie głowę, co zdziwiło Sterna, po czym kciukiem i palcem wskazującym mocno ścisnął nos.

- Proszę nie zwracać uwagi - powiedział przez nos. Przypominał teraz jakąś komiczną postać. - Cholerne krwawienie. Zawsze mi się przytrafia, kiedy jestem przeziębiony.

- Niech pan lepiej nie bierze już aspiryny

- Wiem, krew staje się przez nią bardziej płynna. Ale na czym to stanęliśmy? - Engler ciągle mówił do szarego sufitu. - Ach tak. Zgadza się. Po raz ósmy przedstawił mi pan tę zawiłą historię. I za każdym razem zastanawiam się, czy nie powinienem poddać pana testowi na zawartość nar- kotyków.

- Niech się pan nie wysila. Jeśli ma pan zamiar jeszcze bardziej pogwałcić moje prawa, proszę bardzo. - Stern odwrócił dłonie w zachęcającym geście, jakby niósł tacę. - Nie mam co prawda wiele radości z życia, ale oskarżenie pana i całej komendy z pewnością byłoby dla mnie wesołą odmianą.

- Proszę się nie denerwować, panie Stern.

Robert przestraszył się trochę.

Cud. Dwumetrowy kloc obok Englera potrafi mówić.

- Nie jest pan podejrzanym - wyjaśnił Brandmann.

Stern nie był pewien, czy między słowami nie padło „jeszcze”.

- Żeby nie było żadnych wątpliwości. - Robert powstrzymał się od odchrząknięcia. - Jestem prawnikiem, ale nie zwariowałem. Nie wierzę w wędrówkę dusz, reinkarnację i całą tę ezoterykę. Nie zajmuję się też w wolnym czasie odkopywaniem szkieletów. Rozmawiajcie z chłopcem, nie ze mną.

- Zrobimy to, jak tylko się obudzi - przytaknął Brandmann.

Simona znaleźli nieprzytomnego w bocznym korytarzu.

Na szczęście omdlenie nie nastąpiło tak gwałtownie, jak pierwszy atak przed dwoma laty, kiedy guz w czołowej części mózgu po raz pierwszy dał o sobie znać. Simon rozbił głowę o kant biurka nauczyciela, kiedy przywołany do tablicy zemdlął w klasie. Tym razem zdążył się jeszcze podeprzeć, zanim osunął się oparty plecami o ścianę w podtopionym korytarzu. Oprócz tego, że zapadł w głęboki sen, chyba nic mu się nie stało.

Carina zabrała go karetką z powrotem do kliniki tak szybko, jak tylko się dało. Dlatego Stern czekał sam na miejscu, kiedy pojawił się tam Engler ze swoimi ludźmi i ekipą do zabezpieczania śladów.

- Jeszcze lepiej zrobicie, jak zajmiecie się terapeutą - radził dalej Stern. - Kto wie, co ten Tiefensee wmówił Simonowi podczas hipnozy.

- Hej, to dobry pomysł. Psycholog! Człowieku, nigdy bym na to nie wpadł. Engler skrzywił się cynicznie. Krwawienie z nosa ustało, więc teraz znów patrzył prosto w oczy Sterna.

- Twierdzi pan zatem, że zamordowany leżał tam od piętnastu lat? Stern westchnął.

- Nie. Nie ja tak twierdzę, tylko Simon. Chociaż może ma rację.

- Dlaczego?

- Cóż, nie jestem co prawda patologiem, lecz w piwnicy panowała wilgoć, a ciało znajdowało się w ciemnej drewnianej przegrodzie, jak w szczelnej trumnie, do której nie dochodziło świeże powietrze. Mimo to częściowo zaczęło się roz-

kładać. Niestety dotyczy to również głowy, którą trzymałem w dłoniach. A to oznacza...

- ...że zwłok nie pozbyto się dopiero wczoraj. Jasne.

Stern zdziwiony obrócił się do tyłu. Nie usłyszał, kiedy wszedł ten mężczyzna. Opierał się teraz o ramę drzwi. Brunet z widocznymi pasemkami siwych włosów i w okularach ze stonowaną złotą ramką wyglądał bardziej na starzejącego się trenera tenisa ziemnego niż na komendanta komisariatu przy Krajowym Urzędzie Kryminalnym. Stern zastanawiał się, jak długo Christian Hertzlich, bezpośredni przełożony Englera, przysłuchiwał się ich ożywionej rozmowie.

- Dzięki nowoczesnej medycynie sądowej wkrótce poznamy dokładny czas zgonu delikwenta - powiedział Hertzlich. - Jednak niezależnie od tego, czy było to pięć, dziesięć, czy piętnaście lat temu... - podszedł krok do przodu - jednego możemy być pewni w tym przypadku. To nie mógł być Simon.

- Ja też tak uważam. To wszystko? - Stern wstał, zdenerwowany odwinął mankiet koszuli i ostentacyjnie spojrzął na zegarek. Było tuż przed wpół do jedenastej.

- Naturalnie, może już pan iść. I tak mam coś pilnego do omówienia z obydwoma panami.

Hertzlich wyciągnął zwinięty w rulon segregator, który dotychczas trzymał pod pachą, i pokazał go swoim funkcjonariuszom niczym trofeum.

- Pojawił się nowy, zupełnie zaskakujący trop.

5.

Martin Engler odczekał, aż prawnik zatrzaśnie za sobą drzwi. Później nie był już w stanie dłużej ukrywać wściekłości. Podniósł się tak gwałtownie, aż przewróciło się krzesło, na którym siedział.

- Co to niby miało znaczyć?

Brandmann odchrząknął i tym razem chyba naprawdę chciał coś powiedzieć. Jednak uprzedził go Hertzlich, który właśnie odłożył na stół segregator.

- Nie rozumiem. Przecież szło wręcz fantastycznie.

- Bzdura! W ten sposób nie da się przeprowadzić przesłuchania! - rzucił Engler do swojego zwierzchnika. – Nigdy więcej nie wezmę udziału w takim gównie.

- Dlaczego pan się tak denerwuje?

- Bo właśnie się ośmieszyłem. Na numer z dobrym i złym gliniarzem już nikt się nie da nabrać. A na pewno nie ktoś pokroju Roberta Sterna.

Hertzlich spojrział w dół na swoje brudne buty z gładkiej skóry, których sznurowadła splątane były w beznadziejny sposób. Zaraz potem pokręcił ze zdziwieniem głową.

- Wydawało mi się, Engler, że załapał pan naszą metodykę.

Metodykę. Co za brednie! Engler kipiał ze złości.

Odkąd Brandmann do nich dołączył, nie było tygodnia, w którym nie musiał brać udziału w seminarium z psychologicznego prowadzenia negocjacji. Olbrzymiego bachora wypożyczono trzy tygodnie temu z BKA, Federalnego Urzędu Policji Kryminalnej - w ramach programu doszkalającego gdzie pracował jako doświadczony psycholog. Oficjalnie przydzielono go do ekipy Englera tylko w

roli doradcy, ale wyglądało na to, że jego status urósł do rangi specjalnego pośrednika. Bądź co bądź Engler musiał znosić jego obecność nawet podczas przesłuchań.

- Muszę przyznać rację porucznikowi Hertzlichowi - odezwał się radośnie psycholog kryminalny – Właściwie wszystko zrobiono wręcz podręcznikowo. - Odchrząknął. - Najpierw Stern stał się nerwowy z powodu długiego oczekiwania. Potem przez to, że milczałem, nie mógł mnie dopasować do żadnego konkretnego obozu. W tym leży różnica w porównaniu z przestarzałą taktyką przesłuchiwania, o której był pan łaskaw przed chwilą wspomnieć, panie Engler.

Brandmann zrobił sztuczną przerwę, a Martin zastanawiał się, dlaczego ten typ podczas swojego wywodu musi tak idiotycznie szczyrzyć do niego zęby.

- Właśnie dlatego, że nie grałem dobrego policjanta, nerwowość Sterna przeszła w zamęt. Zaczął wtedy szukać zrozumienia u pana. A kiedy go nie znalazł, w końcu się wściekł.

- Okej, może i mógłbym doprowadzić go jeszcze do skamlenia, gdybyśmy mieli taki zamiar. Zastanawiam się tylko, czemu miał służyć cały ten teatr.

- Kto się wścieka, ten popełnia błędy - rozbrzmiał głos Hertzlicha. Engler nie po raz pierwszy pomyślał, jak nieodpowiednie są niektóre nazwiska*¹. Nie znał nikogo w komisariacie, kto podczas firmowej wigilii zwracałby się do szefa per „ty”.

- Potrzebujemy różnych emocjonalnych wahań Sterna do analizy jego optycznych odruchów.

Analiza odruchów optycznych. Eye-Tracking. Pupillometria. Kolejne nowomodne gówno. Tydzień temu okablowano cały ponury pokój przesłuchań, w którym się teraz znajdowali. Jedna z trzech kamer skierowana była w oczy osoby przesłuchiwanej. W teorii podczas przesłuchiwania sprawcę

¹ * *Herzlich* (niem.) - serdeczny, przyjazny (przyp. tłum.).

miało zdradzać intensywniejsze mruganie, zwięźenie tęczy i zmiany kąta spojrzenia. W praktyce Engler się z tym zgadzał, choć uważał, że doświadczony oficer dochodzeniowy nie potrzebuje żadnych technicznych fidrygałek, aby rozpoznać kłamstwo.

- Możemy się tylko modlić, żeby Stern się nie zorientował, że potajemnie go nagrywaliśmy - Wskazał na ścianę za sobą. - Facet jest jednym z najzdolniejszych prawników w tym mieście.

- Być może również mordercą - powiedział Hertzlich.

- Przecież sam pan w to nie wierzy! - Engler przełknął ślinę i zastanowił się, czy po drodze do domu znajdzie jakąś aptekę. Pilnie potrzebował jakiegoś środka przeciwbólowego.

- Jego IQ jest wyższe niż Mount Everest! Nie jest przecież głupcem, żeby zaprowadzić nas jak po sznurku do zwłok mężczyzny, którego sam zamordował.

- Mógł tak zrobić umyślnie. To byłoby sprytnie posunięcie.

Komendant podniósł nieco okulary, pocierając palcami boki nosa. Engler nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek patrzył szefowi prosto w oczy. Na komisariacie zakładano się nawet, że on śpi z tym monstrem.

- Możliwe też, że zwariował - zastanawiał się Hertzlich głośno. - Historia z ponownie narodzonym chłopcem brzmi dla mnie w każdym razie nie całkiem zdrowo.

- Ma widoczne zaburzenia psychiczne - dodał psycholog.

Engler przewrócił oczami.

- Powtórzę jeszcze raz: marnujemy nasz czas, koncentrując się nie na tym człowieku, na którym powinniśmy

Hertzlich niespodziewanie odwrócił się do niego.

- Myślałem, że go pan nie znosi.

- Tak, Stern to palant. Ale nie morderca.

- A po czym pan tak wnioskuje?
- Dwadzieścia trzy lata doświadczenia. Mam nosa w takich sprawach.
- Cóż, wszyscy słyszymy, jak fantastycznie funkcjonuje dziś pana nos.

Jedynie Hertzlich zaśmiał się ze swojego dowcipu, a Engler musiał wybać Brandmannowi, że ten nie wszedł jeszcze całkiem w tyłek szefa komisariatu. Niestety nie zdążył już wyjaśnić, dlaczego uważa Roberta Sterna za osobę niezdolną do zatłuczenia kogoś siekierą. Z jego nosa połał się nagle rwący potok. Kiedy celulozowa chusteczka przesiąkała krwistą czerwienią, musiał znów odchylić głowę do tyłu.

- Ach, tylko nie to...

Hertzlich obserwował go podejrzliwie.

- Myślałem wcześniej, że krwawienie z nosa to część przedstawienia. Czy w tym stanie nadaje się pan w ogóle do prowadzenia dochodzenia?

- Tak, to tylko lekki katar. Żaden problem.

Oderwał dwa czyste kawałki chusteczki, skrzył je i zakorkował nimi obie dziurki w nosie.

- Już wszystko gra.

- Dobrze, bardzo dobrze. Niech pan więc zwoła swoją ekipę i za dziesięć minut stawi się w moim biurze.

Engler westchnął i spojrział na zegarek. Była za piętnaście jedenasta. Bez względu na stan zdrowia musiał pilnie wyprowadzić Charliego. Biedne psisko czekało na niego w małym mieszkaniu już od ponad dziesięciu godzin.

- Proszę nie robić takiej miny, Engler. To nie potrwa długo. Niech pan przeczyta akta. Zrozumie pan, dlaczego chcę, żeby dalej dręczył pan Sterna.

Engler podniósł segregator ze stołu.

- Jak to? Co tam jest? - krzyknął za Hertzlichem, który właśnie opuszczał pokój przesłuchań.

- Nazwisko pewnego starego znajomego.

Hertzlich odwrócił się.

- Wiemy już, kim jest ofiara.

6.

Stern wsłuchiwał się w smutny głos nagrany w poczcie głosowej, kiedy dzień później około jedenastej w nocy wszedł do swojej willi. Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny Carina wielokrotnie próbowała się dodzwonić do niego. Zostawiła tylko jedną wiadomość. Ją również przesłuchano. Od dzisiejszego ranka aż do odwołania została urlopowana przez kierownictwo kliniki.

- Simon czuje się dobrze. Pyta o ciebie. Obawiam się, że właśnie zdobyłeś drugiego klienta, który pilnie potrzebuje pomocy prawnika - spróbowała zażartować. - Czy naprawdę mogą mnie oskarżyć o uprowadzenie tylko dlatego, że zabrałam Simona ze szpitala? - Carina zaśmiała się nerwowo, zanim odłożyła słuchawkę.

Stern skasował wiadomość, naciskając dwa razy siódemkę. Miał zamiar odzwonić do niej jutro, w sobotę. Chociaż tak naprawdę nie chciał już mieć nic wspólnego z tą sprawą. Własne problemy mu wystarczały

Nie zdejmując płaszcza, z pocztą pod pachą wszedł do salonu. Włączył światło i rozejrzał się. Pokój wyglądał, jakby jakaś zorganizowana banda wpadła tu i wywozła ciężarówką wszystkie drogie meble i wartościowe przedmioty. Zgasił szybko światło. Przypominało mu ono wczorajszy wieczór i przesłuchanie

prowadzone przez Englera i Brandmanna. Po wszystkich wydarzeniach tego tygodnia jedynie w półmroku był w stanie znieść widok zapuszczonego domu.

Kroki Sterna na parkiecie z wiśniowego drewna odbijały się echem od nagich ścian. W drodze do kanapy minął przewrócone krzesło ogrodowe i uszłą roślinę pokojową. Nie było regałów, zasłon, szaf czy dywanów. Tylko srebrnoszara lampa bez abażuru, stojąca obok sofy Włączona nie oświetlała jednak całego ogromnego pokoju, ponieważ brakowało w niej trzech z czterech żarówek. Głównym źródłem światła był zazwyczaj stary telewizor kineskopowy, który stał na podłodze dwa metry dalej przed pustym kominkiem.

Stern usiadł, sięgnął po pilota i zamknął oczy, kiedy ekran wypełniły białe szумы

Dziesięć lat, pomyślał, rozciągając się na pustej kanapie. Gładził szorstką skórę, szukał miejsca przypalonego przez zimne ognie, które Sophie upuściła ze śmiechu podczas jakiegoś sylwestra. Dziesięć lat temu. Wówczas od dwóch tygodni ich związek był zakończony.

W przeciwieństwie do niego Sophie udało się po śmierci Felixa uciec przed samą sobą. Schronieniem stało się dla niej drugie małżeństwo. Bądź co bądź dotychczas urodziła dwójkę dzieci - bliźniaczki. Dziewczynki były z pewnością jedynym powodem, dla którego Sophie nie utonęła w swych depresjach.

Tak jak ja.

Stern przeciął taśmę wspomnień, otwierając oczy. Wyjął korek z na wpół opróżnionej butelki wina, która już od kilku dni stała na podłodze. Smakowało obrzydliwie, ale spełniło swoje zadanie. Nigdy nie oczekiwał gości, dlatego też w lodówce nie było nic więcej - a nawet jeśli jeden z jego kumpli odwiedziłby go niezapowiedzianie, co jeszcze nigdy się nie zdarzyło, i tak by go nie wpuścił.

Nie bez powodu Stern co rok zlecał firmie ochroniarskiej zabezpieczenie okien i drzwi najnowszymi systemami antywłamaniowymi. Zdawał sobie przy

tym sprawę, że mechanicy muszą go uważać za zupełnego świra. Przecież w całym budynku nie było nic, co by przedstawiało większą wartość.

Stern nie bał się włamania. Bał się odkrywców Ludzi, którzy starali się wejść za jego starannie zbudowaną fasadę z drogich garniturów, wypolerowanych na błysk samochodów służbowych i wysprzątaných biur z widokiem na Bramę Brandenburską, aby odkryć puste obszary duszy Roberta Sterna.

Pociągnął kolejny łyk z butelki, roniąc przy tym niezdarnie kilka kropli czerwonego wina, które poplamiały jego białą koszulę. Kiedy zmęczony spojrzał na siebie, mimowolnie przypomniał sobie kolejny obraz: Sophie zauważyła to pierwsza, trzymając Felixa na rękach, świeżo po kąpieli i bez ciepłego koca, w który owinięto niemowlę zaraz po urodzeniu. Najpierw zaniepokoił się, że może chodzić o złośliwą zmianę skórą na jego ramieniu, ale lekarze szybko ich uspokoiłi. - To wygląda jak mapa Włoch - śmiała się jeszcze Sophie, kiedy nacierali go oliwką dla niemowląt. Później obiecali sobie uroczyście, że pierwszy rodzinny urlop spędzą w Wenecji. W końcu dojechali tylko do cmentarza.

Stern odstawił butelkę i zaczął przeglądać pocztę. Dwie reklamy, mandat i tygodniowy wyciąg z banku. Najbardziej osobiste było najnowsze DVD z internetowej wypożyczalni. Odkąd istniała możliwość zamawiania filmów, które przysyłano pocztą, nie wychodził już w weekend nawet do wypożyczalni wideo. Otworzył małą kartonową kopertę, nie zwracając uwagi na tytuł filmu. I tak pewnie go znał. Stern w zasadzie zamawiał wyłącznie filmy, w których nie występują dzieci i jest możliwie mało scen miłosnych. Nie miał więc zbyt dużego wyboru.

Włożył DVD do odtwarzacza i zanim ponownie opadł na poduszki, zdjął marynarkę i rzucił ją obojętnie na podłogę. Był śmiertelnie zmęczony i pewnie wytrzyma jedynie kilka pierwszych minut, zanim uśnie na kanapie, co zresztą w weekendy zdarzało mu się bardzo często. Na szczęście nie

było nikogo, kto mógłby go znaleźć tu jutro rano. Żadnej rodziny. Żadnych przyjaciół. Nawet gospodyni.

Prawnik nacisnął „play” w oczekiwaniu na jeden z tych śmiesznych filmików, których nie dało się przewinać, grożących więzieniem w przypadku, gdyby ktoś je nielegalnie skopiował.

Ale zamiast tego obraz zatrząsł się parę razy, jak przy amatorskim nagraniu z urlopu. Stern zmarszczył czoło i usiadł. Nagle rozpoznał sfilmowane miejsce. Fakt ten całkowicie go wyrwał z odrętwienia. Z sekundy na sekundę wszystko wokół niego, co miał w zasięgu wzroku, przestało istnieć. Nie czuł ani butelki wina, która wysliznęła mu się z dłoni, ani jej krwistej zawartości, która rozlała się po białej koszuli. Wszelkie zewnętrzne bodźce zostały stłumione, był teraz tylko on i telewizor. I nawet on się zmienił. Sternowi wydawało się, że nie patrzy na szklany ekran, tylko na wskroś przez zakurzony odbiornik do pomieszczenia, do którego nigdy więcej w życiu nie chciał wejść. Kiedy kamera pokazała zbliżenie, przestraszył się, że traci zmysły. Mgnienie oka później był już tego pewien.

7.

Zielonawy obraz oddziału dla noworodków zawisł, gdy zniekształcony „głos” wypowiedział pierwsze zdanie:

- Czy wierzy pan w życie po śmierci, panie Stern?

Chociaż słowa wydobywające się z głośników brzmiały okropnie metalicznie, była w nich taka siła, że Robert obejrzał się szybko, aby się przekonać, czy ich źródło nie znajduje się bezpośrednio za nim.

Po chwili przerażenia ześliznął się z sofy i na kolanach powoli zbliżył się do telewizora. Z niedowierzaniem dotknął naelektryzowanego monitora, macając cyfrowy wskaźnik daty, jakby to był brajl.

Nawet bez tej wskazówki nie miał wątpliwości, kiedy i gdzie nagrano film. Dziesięć lat temu, w szpitalu, w którym Felix z rumianymi policzkami przywitał świat i zaledwie czterdzieści osiem godzin później z ostygniętymi ustami go opuścił.

Palce Sterna powędrowały na środek ekranu, gdzie jego nowo narodzony syn leżał w pleksiglasowej wanience, która stała wśród wielu innych niemowlęcych łóżeczek. *A Felix żył!*

Poruszał kruchymi rączkami, jakby chciał dotknąć chmurkowego pojazdu, który Sophie i Robert ulepili dla niego z kulek waty na długo przed jego urodzeniem i zawiesili na metalowej podporze łóżeczka.

- Czy wierzy pan w wędrówkę dusz? W reinkarnację?

Robert odskoczył od telewizora, jakby to duch syna przemówił do niego osobiście. Nieostry obraz dziecka owiniętego w błękitny rożek tak bardzo pochłonął jego uwagę, że prawie zapomniał o metalicznym „głosie”.

- Nie ma pan pojęcia, w co pan wpadł, prawda?

Stern pokręcił głową jak w transie, jakby faktycznie był w stanie porozumieć się z anonimowym „głosem”, który przypominał chorego na raka, mówiącego przez mikrofon zamocowany na krtani.

- Niestety nie mogę się przedstawić, z powodów, które bardzo szybko pan zrozumie. Dlatego też najbardziej rozsądnym rozwiązaniem wydało mi się skontaktowanie z panem w ten sposób. Zabezpieczył pan swój dom jak jakąś twierdzę, panie Stern. Z jednym wyjątkiem - skrzynki pocztowej. Mam nadzieję, że nie weźmie mi pan za złe tego, że podmieniając DVD, nieco zakłóciłem pana

piątkowy rytuał rozrywkowy Ale proszę mi uwierzyć, to, co za chwilę panu покаże, będzie dla pana dużo bardziej zajmujące niż dokument o zwierzętach, który pan zamówił.

Z oka Sterna popłynęła łza. Ciągłe tępo wpatrywał się w Felixa.

- Muszę teraz pana poprosić o szczególną koncentrację.

Kiedy fragment obrazu zmniejszył się, a twarz Felixa stała się większa, było to dla Sterna jak kopniak w brzuch.

Kto to nakręcił? Po co?

Jedno uderzenie serca później nie był już w stanie formułować w myślach dalszych pytań. Chciał się odwrócić, pobiec do toalety i razem z mizernym śniadaniem zwymiotować wszystkie dotychczasowe wspomnienia, jednak niewidoczne imadło przytrzymało jego twarz w miejscu.

Musiał znosić gruboziarniste obrazy, na których jego syn otwiera oczy Szeroko. Ze zdziwieniem. Z niedowierzaniem.

Jakby podejrzewał, że w jego drobnym ciałku za chwilę zatrzymają się wszystkie funkcje życiowe. Felix złapał powietrze, dostał drgawek, cały zsiniał, jakby zadławił się o wiele za dużym przedmiotem.

W tym momencie Stern nie mógł się już powstrzymać. Zwymiotował na parkiet. Kiedy po kilku sekundach drżący i z dłonią przy ustach ponownie spojrział na ekran, było już po wszystkim. Jego syn, który przed chwilą jeszcze oddychał, wpatrywał się pustym wzrokiem i z otwartą buzią w kamerę, która znów obejmowała cały oddział noworodków: cztery łóżeczka. Wszystkie zajęte. A w jednym z nich było nieznośnie cicho.

- Bardzo mi przykro. Wiem, ostatnie zdjęcia Felixa z pewnością były dla pana bardzo bolesne.

Trzeszczące słowa cięły niczym brzytwa.

- Tak musiało być, panie Stern. Mam panu coś ważnego do powiedzenia i chcę, żeby potraktował mnie pan poważnie. A teraz zakładam, że poświęci mi pan całą swoją uwagę.

8.

Robert Stern poczuł się, jakby już nigdy w życiu nie był w stanie jasno myśleć. Zanim zorientował się, że mgiełka przed oczami powstała z łez, które zalewały mu twarz, minęła krótka chwila, którą bezlitosny „głos” z pewnością przewidział.

Czy to się dzieje naprawdę? Czy naprawdę widziałem przed chwilą ostatnie sekundy życia mojego syna?

Chciał wstać, wyrwać DVD z odtwarzacza, wyrzucić telewizor przez otwarte okno, a wiedział przecież, że w szoku, w jakim się znajdował, nie byłby w stanie podnieść nawet prawej ręki. Jedyne ruch, który jego ciało mogło wykonać, dokonał się bez jego woli. Nie kontrolował drżenia nóg.

Kto mi to robi? Dlaczego?

Obrazy zmieniały się, a strach coraz bardziej się potęgował.

Oddział dla noworodków ustąpił ogólnemu widokowi rudery fabrycznej, przed którą wczoraj czekał na Carine. Nagrania terenu musiały być starsze. Zrobiono je któregoś słonecznego wiosennego lub letniego dnia.

- Wczoraj po południu na terenie zrujnowanej fabryki farb znalazł pan zwłoki.

„Głos” zrobił kolejną przerwę. Stern zamrugał. Rozpoznał stertę beczek.

- Bardzo długo czekaliśmy, aż to się stanie. Piętnaście lat. W tej sprawie chłopiec rzeczywiście mówi prawdę. Po tak długim czasie powinniśmy raczej liczyć, że na ciało natknie się przez przypadek jakiś włóczęga albo pies. Ale pojawił się pan. Konsekwentny w dążeniu do celu. Z towarzystwem.

I dlatego jest pan teraz w grze, panie Stern. Czy pan tego chce, czy nie.

Kamera wykonała obrót o trzysta sześćdziesiąt stopni, pokazując krótko walące się budynki i samochód dostawczy bez widocznego logo firmy, i zatrzymała się na spalonej budowlu, do której Robert kilka godzin temu wszedł za Simonem.

Co to ma znaczyć? Co ma to wszystko wspólnego z Felixem?

- Kto zabił tego mężczyznę? Odpowiedź na to pytanie jest dla mnie w tej chwili najpilniejszą sprawą.

Stern spojrział na niebieskawy wyświetlacz odtwarzacza DVD, jakby powód jego duchowych cierpień siedział w srebrnej metalowej obudowie.

- Chcę, żeby przyjął pan sprawę Simona. Gdyby pan wiedział, kim jestem, zrozumiałby pan, dlaczego sam nie mogę tego zrobić. Musi pan zostać jego adwokatem. Proszę się dowiedzieć, skąd chłopiec wiedział o zwłokach.

„Głos” zaśmiał się cicho.

- Ponieważ wiem, że prawnicy nigdy nie pracują za darmo, proponuję panu biznesową ofertę. Czy ją pan otrzyma, zależy przede wszystkim od tego, jak odpowie pan na moje wstępne pytanie, panie Stern. Czy wierzy pan w możliwość ponownych narodzin?

Na ekranie zaczęło śnieżyć jak w starym czarno-białym telewizorze ze źle ustawioną anteną pokojową. Potem jakość obrazu nagle się poprawiła. Ruiny fabryki znikły. Według tego, co tym razem pokazywały cyfry, nowe kolorowe ujęcia zrobiono zaledwie kilka tygodni temu. Stern znów poczuł mdłości. Z wyjątkiem roku data odpowiadała dokładnie dniowi narodzin jego syna.

9.

- No, poznaje go pan?

Opalony chłopiec z długimi do ramion, lekko zakręconymi włosami ubrany był w spodnie i naszyjnik z czarnych koralii. Wiedział, że jest filmowany, i z wy-czekiwaniem patrzył w kamerę. Nagle wstał nieco niezdarnie z krzesła i wybiegł. Serce Sterna zatrzymało się, kiedy wpatrując się w chłopca, zauważył plamkę. Ciemnofioletowe znamię znajdowało się na jego lewym ramieniu. Wyglądało jak mały kozak.

To nie może być prawda. To niemożliwe!

Twarz Roberta płonęła, jakby go ktoś spoliczkował. Chłopiec o rysach twarzy, które wydawały mu się obce i jednocześnie boleśnie znajome, wrócił z nożem w dłoni. Ktoś spoza kadru musiał mu coś powiedzieć. Uśmiechnął się nieśmiało, odetchnął głęboko i wydał usta. Kamera powędrowała teraz jakieś dwadzieścia centymetrów w dół, namierzając na stole wiśniowy tort urodzinowy. Dopiero za drugim razem udało się dziecku zdmuchnąć dziesięć świeczek, tkwiących w bitej śmietanie.

- Proszę się dokładnie przyjrzeć, panie Stern. Proszę pomyśleć o ostatnich ujęciach Felixa, które właśnie pan widział. Proszę przypomnieć sobie trumienkę, którą pan sam niósł do grobu. I niech pan odpowie sobie na jedno proste pytanie: wierzy pan w życie po śmierci?

Robert podniósł rękę, jakby chciał wcisnąć palce w szklany ekran. Ogarnęło go nierzeczywiste wrażenie, że przegląda się w odmładzającym lustrze.

Czy to...? To niemożliwe. Felix umarł. Był zimny, kiedy wyjąłem go z ramion Sophie. Sam go pochowałem i...

- Oglądając ten film, można mieć wątpliwości, prawda?

...widziałem, jak umiera. Przed sekundą!

Stern odkaslnął. Ze strachu wstrzymał oddech, a jego płuca zaczęły właśnie domagać się tlenu, podczas gdy na ekranie nadal pojawiały się niewiarygodne bezlitosne zdjęcia. Chłopiec zaczął kroić tort.

To może być tylko... To musi być przypadek!

Dziesięcioletek był leworęczny Jak Robert.

Całe ciało Sterna drżało. Wydawało mu się, że widzi kopię samego siebie. Kiedy był małym chłopcem, wyglądał tak samo. Wszystko pasowało wręcz idealnie. Włosy, odrobinę za szeroko rozstawione oczy, lekko wystająca szczęka, dołeczek, pojawiający się przy uśmiechu tylko na prawym policzku. Gdyby z pudełek w piwnicy wygrzebał stare albumy ze zdjęciami, z pewnością znalazłby jakąś poźółkłą fotografię, na której identycznie patrzy w obiektyw aparatu. Wówczas, kiedy miał dziesięć lat.

No i jego znamię!

Oczywiście było teraz większe. Ale proporcjonalnie odpowiadało dokładnie plamce, którą odkryła Sophie, kiedy po raz pierwszy trzymała go nagiego w ramionach.

- Oto nasza umowa.

Stern ponownie skoncentrował się na „głosie”, który mó-wił teraz w sposób jeszcze bardziej nieludzki niż wcześniej.

- Odpowiedź za odpowiedź. Pan mi powie, kto piętnaście lat temu zakatował siekierą tego mężczyznę, a ja panu zdradzę, czy faktycznie istnieje życie po śmierci.

Po tych słowach solenizant zniknął, a Robert znów przeniósł się dziesięć lat wstecz do oświetlonego oddziału dla noworodków. Dwa kadry następowały po sobie w okrutnym rytmie. Felix w łóżeczku. Raz żywy, raz martwy.

- Jeśli znajdzie pan mordercę, dostanie pan nazwisko i adres chłopca, którego przed chwilą pan widział.

Żywy. Martwy. Żywy...

Stern chciał wstać, żeby wykrzyczeć swój ból, ale nie miał na to siły

Martwy.

- Jedna odpowiedź za jedną odpowiedź. Niech się pan zaopiekuje Simonem. Terapeutą my się zajmiemy. Ma pan pięć dni i ani godziny więcej. Jeśli przekroczy pan ten czas, nigdy więcej już pan o mnie nie usłyszy i nie dowie się pan prawdy. Ach tak, i jeszcze coś.

„Głos” stał się nieco znużony, jakby z reklamy jakiegoś leku ostrzegającego o ryzyku i skutkach ubocznych.

- Nie wolno się panu kontaktować z policją. Jeśli jednak pan to zrobi, zabiję bliźniaczki.

Na ekranie telewizora pojawiła się czerń.

10.

- Piłeś coś?

Sophie stała boso w korytarzu przed sypialnią, z której uciekła z telefonem w rękę, aby nie zbudzić męża. Za kilka godzin Patrick wyjeżdża w podróż służbową do Japonii i potrzebował snu. Poza tym było tuż po wpół do pierwszej i

musiałyby się gęsto tłumaczyć, gdyby chciał wiedzieć, po co dzwoni do niej w środku nocy eksmaż, choć w ostatnich latach nie robił tego nawet w jej urodziny.

- Przepraszam, że przeszkadzam. Wiem, że dzieci już śpią. Czy wszystko u nich w porządku?

Chociaż nie odpowiedział na jej pytanie, odpowiedzi domyśliła się sama. Jego głos brzmiał okropnie.

- Tak, jasne, że wszystko w porządku. Śpią. Głęboko, jak każdy normalny człowiek o tej porze. Czego chcesz, do diabła?

- Miałem dziś... - Robert przerwał w połowie zdania i zaczął jeszcze raz: - Przepraszam, ale muszę cię o coś spytać.

- Teraz? Nie możesz poczekać z tym do rana?

- To czekało już zdecydowanie za długo.

Sophie zatrzymała się na chodniku w drodze do salonu.

- O czym ty mówisz? - Późna pora, ton jego głosu, aluzje. Wszystko, co łączyło się z tym telefonem, niepokoiło ją. Nic dziwnego więc, że poczuła dreszcze, tym bardziej że do spania jak zawsze włożyła koszulkę i figi.

- Miałaś wtedy jakieś wątpliwości, czy...

Podczas gdy Robert mówił dalej, Sophie zamknęła oczy. Żadne inne słowo nie wywoływało w niej tyle negatywnych emocji, co „wtedy”. Zwłaszcza kiedy padało z ust byłego męża, który zabrał jej z rąk Felixa.

- W zasadzie nie było żadnego powodu...

- Do czego zmierzasz? - powoli stawała się coraz bardziej zła.

- Podczas ciąży nie paliłaś, Felix nie był ubrany zbyt ciepło i spał w rożku, który podtrzymywał go przed leżeniem na brzuchu. Lepiej będzie, jak skończymy tę rozmowę. – Sophie nie rozumiała, po co Robert wyrywa ją ze snu, wyliczając czynniki ryzyka występujące przy zespole nagłej śmierci dziecka. Chociaż

około czterdziestu procent wszystkich przypadków zgonów niemowląt obejmowano tym tajemni- czym pojęciem, prawdziwych przyczyn wcale nie znano. Co w zasadzie nie powinno dziwić, kiedy każdą niewyjaśnioną śmierć na pozór zdrowego dziecka podporządkowywano po prostu tej okrutnej kategorii.

- Zaczekaj jeszcze, proszę! Odpowiedz tylko na to jedno pytanie.

- Jakie? - Sophie spojrzała w lustro w garderobie i przeraziła się wyrazu swojej twarzy. Rozpoznała w nim mieszankę smutku, zwątpienia i zmęczenia.

- Wiem, nienawidzisz mnie od tamtego czasu.

- Masz gorączkę? - spytała Sophie. Robert nie tylko bełkotał, jego głos brzmiał, jakby był mocno przeziębiony.

- Nie, nic mi nie jest. Odpowiedz tylko, proszę.

- Ale ja nic nie rozumiem - wściekła się najpierw, a później stopniowo obniżała ton głosu, aby nie obudzić Patricka i bliźniąt. - Nie oddychał już, był trochę zeszywniały, kiedy udało ci się wreszcie otworzyć drzwi do łazienki.

Coś zaszeleściło, a Robert na chwilę zamilkł.

- Chciałbym wiedzieć, dlaczego mimo to nie byłaś pewna? Dlaczego mimo wszystko myślałaś, że Felix jeszcze będzie żył?

Sophie rozłączyła się, opuszczając bezsilnie rękę, w której trzymała telefon. Wcześniejsze zmęczenie zmieniło się w otepienie, uczucie, którego dotychczas doznała wyłącznie po zażyciu tabletek nasennych. Jednocześnie czuła się, jakby właśnie nakryła w domu włamywacza, który grzebał w jej bieliźnie. *Dokładnie to się stało*, pomyślała, kierując swe kroki do pokoju dzieci. Robert wdarł się tym telefonem w jej świat, otwierając szufladę w jej psychice, którą dzięki długoletniej mozolnej pracy, z pomocą nowego męża, wspaniałych bliźniąt i dyplomowanego psychologa zabiła gwoździami i zabarykadowała.

Otworzyła drzwi i wstrzymała oddech. Frida odkopała kołdrę w nogi łóżka i śniła spokojnie, tuląc się do pluszowego pingwina. Drobną klatką piersiową Natalie podnosiła się i opadała regularnie. W pierwszym krytycznym roku życia

Sophie ustawiała budzik, aby zaglądać do dziewczynek co dwie godziny Teraz przychodziła do bliźniaczek wyłącznie, kiedy sama budziła się w nocy, by skorzystać z toalety Paraliżujący strach, który wcześniej jej towarzyszył, zmienił się w troskliwą rutynę. Do teraz. Do telefonu Roberta.

Dlaczego myślałaś, że Felix jeszcze będzie żył?

Miękki materac ugiął się, kiedy Sophie usiadła na łóżku Natalie i odgarnęła z jej czoła mokre od potu włosy.

- Czasem nadal tak myślę - szepnęła. Potem pocałowała delikatnie córeczkę w głowę i zaczęła cicho płakać.

TLR

POSZUKIWANIE

*Tak jak w naszym obecnym życiu miewamy tysiące snów,
tak też nasze obecne życie jest jedynie jednym z tysięcy takich istnień,
do którego przechodzimy z innego, bardziej rzeczywistego życia,
a potem wracamy po śmierci.*

Lew Tołstoj

*Każdy człowiek jest czymś nowym na świecie,
czego dotychczas nie było, czymś pierwszym i niepowtarzalnym.*

Martin Buber

*Wrodzone bliźny i znamiona potwierdzają
powtórne życie ziemskie człowieka.*

Ian Stevenson

1.

Może był to skutek przemęczenia. Do zderzenia doszło dlatego, że nie patrzył przed siebie, bo w myślach ciągle odtwarzał płytę DVD. Wczoraj Stern nie odważył się już tego zrobić. Na pewno nie w całości. Nie chciał ponownie widzieć, jak Felix walczy o życie. Dlatego szybko przeskoczył do fragmentu pokazującego solenizanta. Bez przerwy wpatrywał się w bezimiennego chłopca. W powiększeniu, na stop-klatce, w przyspieszeniu. Po dziesiątym powtórzeniu miał już tak podrażnione oczy, że wydawało mu się, że widzi czerwone ślady zużycia DVD.

Dziś rano, po nieprzespanej nocy, Robert znów czuł się bezradny i rozbity, jak w dzień pogrzebu Felixa. Jako rozsądny prawnik od dawna wytrenował w sobie przyzwyczajenie, żeby na każdą sprawę patrzeć z dwóch stron. Klient był winny lub nie. W tym punkcie jego osobisty koszmar, który rozpoczął się wczoraj, nie różnił się niczym od tragedii, którymi zajmował się zawodowo. Również tu istniały dwie możliwości: albo Felix był martwy, albo żył. Bardziej prawdopodobna była pierwsza ewentualność. Chłopiec ze znamieniem mógł być wykapanym Sternem. Ale na pewno nie stanowiło to żadnego dowodu.

Dowodu na co?, pomyślał Robert, wysiadając ze szpitalnej windy. Jak zawsze, kiedy zastanawiał się nad jakimś trudnym problemem, zbudował wyimaginowaną białą ścianę, na której umieścił karteczki z najważniejszymi hipotezami. Na wszelki wypadek rezerwował w głowie miejsce na odwrót, z którego korzystał zawsze, gdy chciał uporządkować myśli.

FELIX ŻYJE, widniało wielkimi literami na największej karteczce.

Ale jak to możliwe?

Oczywiście zastanawiał się później, dłuższy czas po pogrzebie na Waldfriedhofie, czy Felix przypadkiem nie został podmieniony. Jednak był wtedy jedynym chłopcem na oddziale. Trzy pozostałe matki urodziły dziewczynki. Ryzyko pomyłki było więc całkowicie wykluczone. Zresztą przed obdukcją przekonał się, że oplakuje własnego syna. Bez problemu potrafi przypomnieć sobie uczucie, z jakim podnosił martwe małe ciało z metalowego stołu, aby na pożegnanie jeszcze raz pogłodzić palcami znamię.

Zatem jednak nowonarodzenie ? Reinkarnacja ?

Stern podarł w myślach karteczkę, zanim zdążył się jej dokładnie przyjrzeć. Był prawnikiem. Rozwiązując problemy, sięgał po paragrafy, nie po parapsychologię. Jakkolwiek by go to bolało. FELIX = MARTWY, napisał na trzeciej karteczce. Miał właśnie zamiar zająć się tą hipotezą, kiedy znów zaczęły napływać nowe myśli.

Po co ktoś chce zasiać w nim tyle wątpliwości na temat śmierci Felixa? Co to wszystko ma wspólnego z Simonem? Skąd na Boga ten chłopiec wiedział o zwłokach w piwnicy?

Stern zastanawiał się, co o jego stanie ducha mówił fakt, że w ten niedzielny poranek wybrał się do kliniki Seehaus, aby znaleźć odpowiedź na ostatnie pytanie. Był tak bardzo pochłonięty własnymi myślami, że nie usłyszał sanitariusza, który wiozł na wózku starszego pana na fizykoterapię. Obaj nucili właśnie refren przeboju ABBY: „Money, money, money”, kiedy Stern skręcił za rogiem i wpadł na nich z całym impetem. Uderzył w bok chromowanego wózka i stracił równowagę, rozpaczliwie szukając rękoma jakiegoś oparcia. Kiedy dłoń ześliznęła mu się z rękawa sanitariusza, podparł się na głowie pacjenta i przytrzymał się jego nadgarstka, co uchroniło go przed upadkiem. Ale w ten sposób wyrwał mężczyźnie na wózku kroplówkę, zanim runął na zieloną podłogę z linoleum.

2.

- Dobry Boże, panie Losensky? - Brodaty sanitariusz klęknął z troską przed pacjentem, który z rozbawieniem pomachał ręką.

- Nic się nie stało. Mam przecież anioła stróża. - Staruszek wyciągnął spod koszuli łańcuszek, przy którym wisiał srebrny krzyżyk. - Niech się pan lepiej zajmie naszym przyjacielem na podłodze.

Stern masował dłonie, które obtarł, próbując uniknąć upadku na twardą podłogę. Zignorował pulsujący ból w kolanach, aby nie tworzyć jeszcze bardziej żalnego obrazu samego siebie.

- Przepraszam bardzo - usprawiedliwił się Robert, gdy stanął już na nogi. - Czy wszystko w porządku?

- To zależy - mruknął sanitariusz i delikatnie odsłonił rękaw koszuli staruszka aż do łokcia. - Będziemy musieli jeszcze raz założyć wenflon - wymamrotał, spoglądając na grzbiet dłoni pacjenta. Na razie poprosił go o przyłożenie wacika w miejsce nakłucia. Zaraz potem zbadał kościste ramię, szukając siniaków i krwiaków. Chociaż miał dłonie boksera, jego ruchy były ostrożne, wręcz czułe. - Ucieka pan przed kimś? Dlaczego biega pan po oddziale neurologicznym?

Sternowi ulżyło, że sanitariusz nie zauważył nic, co wzbudzałoby niepokój.

- Nazywam się Robert Stern, proszę mi wybaczyć, panie... - Nie udało mu się odczytać porysowanej plakietki z nazwiskiem na fartuchu sanitariusza.

- Franz Marc. Jak ten malarz. Ale wszyscy nazywają mnie Picasso, bo jego obrazy bardziej mi się podobają.

- Rozumiem. Jeszcze raz przepraszam. Zamyśliłem się.

- Zupełnie tego nie zauważyliśmy, prawda, Losensky? - powiedział Franz do staruszka.

Gęste bokobrody na policzkach Picassa łączyły się w jasnobrązową brodę. Kiedy sanitariusz przy uśmiechu obnażał duże zęby, wyglądał jak dziadek do orzechów z Rudaw

- Oczywiście pokryję koszty wszelkich szkód, które spowodowałem.

Stern wyciągnął portfel z wewnętrznej kieszeni marynarki.

- Nie, nie, nie... tu się tego tak nie załatwia – sprzeciwił się Picasso.

- Źle mnie pan zrozumiał. Chciałem tylko wręczyć panu swoją wizytówkę.

- Może ją pan spokojnie zatrzymać, prawda, panie Losensky?

Staruszek na wózku przytaknął, kręcąc przy tym z rozbawieniem jedną ze swych krzaczastych brwi. W przeciwieństwie do jego raczej rzadkich włosów, gęste brwi rozciągały się łukiem nad zapadniętymi oczodołami.

- Obawiam się, że pan mnie nie zrozumiał.

- Przed chwilą nam obu napędził pan sporo strachu. A po drugim zawale Frederik nie jest już zbyt wytrzymały, prawda?

Staruszek przytaknął.

- Parę banknotów z pewnością nie wystarczy, jeśli chce pan stąd odejść, nie wzbudzając większej sensacji.

- Ile? - Stern skrzywił się nerwowo. Zastanawiał się, czy nie ma przed sobą dwóch wariatów.

- Chcemy, aby się pan pochylił.

Miał zamiar właśnie puknąć się w czoło i odejść, kiedy zrozumiał dowcip. Uśmiechnął się, podniósł czarną czapkę bejsbolową leżącą u jego stóp i oddał ją właścicielowi na wózku. Musiał mu ją wcześniej strącić z głowy.

- No tak. Teraz jesteśmy kwita. - Picasso uśmiechnął się, a jego starszy podopieczny ucieszył się jak mały uczeń.

- Jest pan ich fanem? - spytał Stern, podczas gdy staruszek gwałtownie rozprostowywał czapkę. Na jej przodzie widniał złoty napis: ABBA.

- No jasne. Ich muzyka jest boska. Jaki jest pana ulubiony kawałek?

Staruszek zdjął jeszcze raz bejsbolówkę, aby schować pod nią krnąbrny kosmyk śnieżnobiałych włosów.

- Nie wiem - odpowiedział Stern nieco zmieszany. Miał zamiar odwiedzić Simona i porozmawiać z nim o wczorajszych wydarzeniach. Nie nastawiał się na pogawędkę o popularnym szwedzkim zespole z lat siedemdziesiątych.

- Ja też nie. - Losensky się skrzywił. - Wszystkie są znakomite. Co do jednego.

Nowiutkie opony zaszumiały delikatnie po błyszczącej podłodze, gdy Picasso popchnął wózek.

- Do kogo pan przyszedł? - Sanitariusz jeszcze raz odwrócił się do niego.

- Szukam pokoju 217.

- Simona?

- Tak, zna go pan? - Stern znów przyłączył się do nich.

- Simon Sachs, nasza sierotka - powiedział sanitariusz.

Po kilku krokach zatrzymał się przy szarych drzwiach z napisem „Fizykoterapia”. - No pewnie, że go znam.

- A kto nie? - rzucił staruszek, wjeżdżając do jasnego pomieszczenia, na którego podłodze leżały rozłożone karimaty, przy ścianach stały drabinki oraz sprzęt sportowy. Brzmiał, jakby czuł się obrażony, że rozmowa nie dotyczyła już wyłącznie jego.

- Jest naszym promykiem. - Picasso uśmiechnął się, zatrzymując wózek przy ławce do masażu. - Przykra sprawa. Najpierw państwo musiało przejąć prawo do opieki nad nim, ponieważ jego aspołeczna matka prawie go zagłodziła, a teraz znaleźli w jego głowie guz. Lekarze mówią, że niezłośliwy, bo nie ma przerzutów. Ha!

Przez chwilę Stern myślał, że sanitariusz splunie na podłogę.

- Nie rozumiem, dlaczego ma być niezłośliwy, skoro ciągle rośnie i w końcu zdusi jego kresomózgowie.

Drzwi do sąsiadującego z salą biura otworzyły się i do pomieszczenia weszła asystentka ubrana w judogę i drewniaki. Najwidoczniej podobała się Losenskiemu, bo znów zaczął gwizdać piosenkę ABBY Tym razem jego „Money, money, money” przypominało zachwyty robotnika budowlanego, który zobaczył przechodzącą obok cyncastą blondynę. Na już nieco bardziej zaludnionym korytarzu Picasso wyciągnął rękę, wskazując na drugie drzwi na lewo obok pokoju pielęgniarzek.

- To tam.

- Co?

- No, **217**. Jednoosobowy pokój Simona. Ale nie wejdzie pan ot tak.

- Dlaczego?

Stern liczył się już z najgorszym. Czy Simon czuł się aż tak źle, że można go było odwiedzać wyłącznie w sterylnym ubraniu?

- Nie ma pan ze sobą prezentu.

- Co proszę?

- Odwiedzający przynoszą kwiaty lub czekoladki. Ale dziesięcioletniemu chłopcu w ostateczności wystarczy jedno z tych muzycznych czasopism albo coś w tym stylu. Nie stanie pan przecież z gołymi rękami przed dzieckiem, którego w przyszłym tygodniu może już nie być na tym świecie...

Picasso nie dokończył zdania. Stern kątem oka zauważył coś i odwrócił się w lewo, aby dokładnie zlokalizować źródło alarmu. Kiedy zobaczył migającą czerwoną lampkę nad drzwiami, pobiegł za sanitariuszem, który momentalnie ruszył na ratunek. Dogonił go tuż przed drzwiami do pokoju

217.

3.

Pierwszy raz obudził się krótko po czwartej i zaraz zadzwonił po pielęgniarkę. Carina nie przyszła, co przeszkadzało mu dużo bardziej niż wzbierające nudności. Choć pojawiały się regularnie każdego ranka, zazwyczaj udawało się je opanować dawką czterdziestu kropli MCE. Tylko jeśli za późno się obudził i bóle głowy zaczęły już dawać mocno znać o sobie, trwało czasem wiele dni, zanim powrócił na skali do swojej „czwórki”. W ten sposób Carina zawsze mierzyła jego samopoczucie. Pierwsze, co robiła po przyjściu do niego, to pytała o cyfrę. „Jedynka” oznaczała bez zastrzeżeń, „dziesiątka” nieznośny

Simon nie przypominał sobie, kiedy ostatni raz było lepiej niż „trzy”. Jednak mogłoby to się stać dzisiaj, gdyby smutny mężczyzna został przy jego łóżku trochę dłużej. Ucieszył się na widok jego twarzy

- Przepraszam, że was wystraszyłem. Chciałem tylko włączyć telewizor.
- Już dobrze. - Zdenerwowanie ustąpiło miejsca uldze, gdy okazało się, że Simon wcisnął przycisk alarmowy przez pomyłkę. Po tym, jak Picasso się upewnił, że z dzieckiem wszystko w porządku, zostawił go samego ze spiętym adwokatem.

- Carina pana lubi - zaczął Simon. - A ja lubię Carinę. A więc mogę polubić również i pana. - Chłopiec podciągnął kolana, tworząc po kołdrą odwrotne V. - Czy ona ma dziś wolne?

- Eee, nie. To znaczy, nie wiem. - Stern nieco niezdarnie przyciągnął krzesło do jedyne go łóżka w pokoju i usiadł na nim. Simon zauważył, że miał on na sobie takie samo ubranie jak przedwczoraj podczas ich spotkania w fabryce. Najwidoczniej w jego szafie wisiało wiele czarnych garniturów.

- Źle się pan czuje? - spytał.

- Dlaczego?

- Carina powiedziała by, że wygląda pan, jakby ktoś panu nadepnął na od-cisk.

- Nie spałem najlepiej.

- Ale z tego powodu nie jest się przecież w aż tak złym nastroju.

- Czasem tak.

- Ach, wiem, co panu przeszkadza. Przepraszam. - Simon sięgnął do szuflady pod stolikiem i wyciągnął z niej perukę z prawdziwych włosów. - Nic pan nie zauważył przedwczoraj, co? To są moje własne włosy Obcięli mi je, zanim profesor Muller zaczął zabawę korektorem.

- Zabawę korektorem?

Wyćwiczonym ruchem Simon nałożył perukę, zakrywając miękki meszek na głowie.

- Tak. Czasem traktują mnie tu jak małe dziecko. Oczywiście wiem, co to jest chemioterapia, ale ordynator wyjaśniał mi to jak niemowlęciu. Powiedział, że mam w głowie wielką ciemną plamę, a tabletki, które połykam, mogą tę plamę wymazać. Jak korektor.

Simon obserwował, jak wzrok prawnika wędruje po blacie stolika przy łóżku.

- Nie biorę już interferonu. Lekarz uważa, że nie muszę, ale Carina powiedziała mi prawdę.

- To znaczy?

- Skutki uboczne są zbyt niebezpieczne. - Simon skrzywił się lekko, podnosząc na krótko perukę. - Nie są w stanie tego wymazać, nie zabijając mnie przy okazji. Cztery tygodnie temu miałem zapalenie płuc i musieli mnie zabrać na oddział intensywnej terapii. Później nie było już chemii i naświetlań.

- Przykro mi.

- Mnie nie. Teraz przynajmniej nie mam krwotoków z nosa, a nudności występują tylko rano.

Simon usiadł na łóżku, wciskając za plecy poduszkę. - Ale wróćmy do pana - powiedział, starając się zabrzmieć jak jeden z dorosłych, których znał z seriali kryminalnych. - Przyjmie pan mają sprawę?

Prawnik uśmiechnął się. Po raz pierwszy wyglądał jak człowiek, którego można polubić.

- Jeszcze tego nie wiem.

- Sprawa wygląda tak. Boję się, że zrobiłem coś złego. Nie chcę...

...umrzeć, nie wiedząc, czy to rzeczywiście moja wina, miał zamiar dokończyć. Jednak dorośli zawsze tak śmiesznie reagowali, gdy zaczynał mówić o śmierci. Smutnieli i unikali jego wzroku albo zmieniali szybko temat. Simon nie powiedział nic więcej, bo wydawało mu się, że również prawnik tak go zrozumiał.

- Przyszedłem, żeby zadać ci parę pytań - odezwał się Stern.

- Niech pan pyta.

- Chciałbym się dowiedzieć, co dokładnie robiłeś w dniu swoich urodzin.

- Ma pan na myśli hipnozę u doktora Tiefenseego?

- Tak, właśnie o to mi chodzi. - Obrońca otworzył obity w skórę notes i małym długopisem robił notatki. - Chcę wiedzieć wszystko. Co tam przeżyłeś i co jeszcze wiesz o zwłokach?

- Jakich zwłokach? - Simon przestał się uśmiechać, gdy na twarzy Roberta pojawiła się konsternacja.

- No, ten mężczyzna, którego znaleźliśmy Którego ty, eee...

- Ach, chodzi o faceta, którego zabiłem siekierą. - Simonowi ulżyło wyjaśnienie nieporozumienia. Zdawało się, że tylko jego adwokat ciągle jeszcze nie mógł wyjść z osłupienia. Spróbował więc wszystko wyjaśnić. Zamknął oczy Tak było łatwiej, gdy chciał się skoncentrować na głosach w głowie i okropnych obrazach, które po każdym omdleniu nabierały ostrości.

Mężczyzna w garażu uduszony plastikową torbką.

Wrzeszczące dziecko na płycie kuchennej.

Krew na ścianach samochodu kempingowego.

Znosił te sceny tylko dlatego, że pochodziły z tak daleka. Oddalone o dziesiątki lat.

Z innego życia.

- Jest więcej ciał - powiedział cicho i znów otworzył oczy - Zabiłem wielu ludzi.

4.

- Zaczekaj. Nie tak szybko, mów powoli i po kolei.

Stern podszedł do okna i dotknął palcami rysunku, który wisiał na szybie. Kredkami woskowymi Simon narysował zadziwiająco wyrazisty kościół, przed którym rozciągała się soczyście zielona łąka. Z jakiegoś powodu podpisał swój rysunek *Pluto*.

Odwrócił się z powrotem do chłopca.

- Miałeś już... wcześniej te... - Stern nie mógł *znaleźć* odpowiedniego słowa - ... złe wspomnienia?

Zastanawiał się, jak by wyjaśnił tę rozmowę komuś stojącemu z boku. Simon najwidoczniej wierzył nie tylko w nowonarodzenie, ale również w to, że kiedyś był seryjnym mordercą.

- Nie. Dopiero od moich urodzin. - Chłopiec wziął ze stolika sok jabłkowy w kartonowym opakowaniu i wbił w niego słomkę. - Przecież nigdy wcześniej nie miałem terapii reinkarnacyjnej.

- Po prostu opowiedz. Jak to się odbyło?

- Było całkiem zabawnie. Nie podobało mi się tylko to, że musiałem zdjąć moje nowe tenisówki.

Stern uśmiechnął się do Simona z nadzieją, że uda mu się w ten sposób skierować potok słów na interesujące go aspekty.

- Doktor pracuje w fajnym domu. W pobliżu jest wieża telewizyjna, tak mi przynajmniej powiedział, ale ja jej nie zauważyłem, kiedy tam byliśmy.

- Czy dał ci coś?

Jakieś lekarstwa? Narkotyki? Leki psychotropowe?

- Tak. Gorące mleko z miodem. To też było super. Potem musiałem się położyć. Na niebieskim materacu na podłodze. Carina była przy mnie. Okryła mnie dokładnie dwoma kocami. Było naprawdę ciepło i przytulnie. Tylko głowa mi wystawała.

- Co zrobił wtedy doktor? - Stern zawahał się przed wypowiedzeniem tytułu akademickiego, gdyż podejrzewał, że Tiefensee go sfalszował lub kupił.

- Właściwie nic. Nie widziałem go.
- Ale ciągle był w pokoju?
- Tak, jasne. Coś mówił. Bardzo długo. Jego głos był łagodny i piękny Jak tego gościa z mojego słuchowiska, wiesz?

Stern zauważył, że Simon po raz pierwszy zwrócił się do niego na ty Ucieszył się z tego małego dowodu zaufania.

- O czym opowiadał pan Tiefensee?
- Powiedział: Zazwyczaj nie robię tego z dziećmi w twoim wieku.

Cóż za pociecha, pomyślał Stern pełen sarkazmu. Wyzyskiwacz oszukuje zatem zwykle tylko pełnoletnich.

- Zrobił wyjątek ze względu na moją chorobę i na Carinę.

Carina. Stern zapisał puste miejsce na kartce swego notesu literami jej imienia. Postanowił zapytać ją o jej stosunek do tego szarlatana. Z pewnością nie wybrała Tiefenseego przez przypadek.

- Pytał o wiele rzeczy O moje najpiękniejsze wspomnienia. Gdzie podobało mi się najbardziej? Na wakacjach, u przyjaciół, czy może na jarmarku? Następnie miałem wyobrazić sobie najwspanialsze miejsce na ziemi i zamknąć oczy

Wprowadzenie probanta w stan somnambuliczny. Stern nieświadomie przytaknął, gdy przypomniał sobie hasło, na które wczoraj w nocy wielokrotnie się natknął w internecie. Po nieprzemyślanym telefonie do Sophie usiadł przed komputerem. Wprowadzając jedno tylko słowo, znalazł kilka tysięcy stron prowadzonych przez parapsychologicznych wariatów i fanatyków ezoteryki. Ale były wśród nich także źródła na poważnie zajmujące się tematyką terapii reinkarnacyjnej. Większość informowała o niebezpieczeństwach. Zadziwiające, że wiele nie podawało w wątpliwość możliwości istnienia reinkarnacji, lecz ostrzegało jedynie przed konsekwencjami, przed uszczerbkiem na psychice, na przykład gdy probant podczas terapii reinkarnacyjnej musiał jeszcze raz wycierpieć wielki koszmar z przeszłości.

- Wyobraziłem sobie piękną plażę - opowiadał Simon. - Na której świętuję razem z przyjaciółmi i wszyscy jemy lody.

- Co się stało potem?

- Poczulem się zmęczony. W końcu doktor spytał, czy widzę duży włącznik.

Powieki Simona drżały, a Stern przestraszył się, że chłopiec w trakcie opowiadania straci przytomność. Na szczęście jeszcze nie kaszłał. Od Cariny dowiedział się, że od czasu zapalenia płuc kaszel zwiastował atak padaczki lub omdlenie. Tak jak przedwczoraj w piwnicy

- Szukałem w myślach tego włącznika. Takiego, którym można włączyć i wyłączyć światło.

- Znalazłeś go?

- Tak. Trochę to trwało, ale znalazłem. Przecież miałem zamknięte oczy.

Stern wiedział, co się stało później. Aby móc manipulować pacjentem, terapeuta musiał dezaktywować jego świadomość. Sugestywne wyłączenie zmysłów za pomocą zmyślonego pstryczka było ulubioną metodą. Parapsycholog mógł wtedy spokojnie wmówić pacjentowi różne rzeczy.

Stern nie wiedział tylko, jaki motyw kierował Tiefenseem.

Dlaczego Simon? Dlaczego umierający chłopiec z niedającym się zoperować guzem mózgu? I dlaczego Carina nie zorientowała się w tym wszystkim? Może i była trochę zwariowana i wierzyła w nadprzyrodzone fenomeny, jednak nigdy nie pozwoliłaby na to, żeby wykorzystać dziecko do podłych celów. W dodatku dziecko, które zaufało jej jako pacjent.

- Nie udawało mi się na początku. Nie potrafiłem go przełączyć - kontynuował Simon spokojnym tonem. - Włącznik wyślizgiwał mi się z ręki. To było nawet zabawne, ale doktor Tiefensee dał mi taśmę klejącą.

- Taśmę?

- Tak. Nie naprawdę, tylko w mojej wyobraźni. W myślach miałem zakleić włącznik na stałe. I to się udało. Włącznik znieruchomiał, a ja wsiadłem do windy.

Stern nie odezwał się, aby nie przerywać chłopcu w decydującym momencie. Zaczynała się właściwa faza terapii reinkarnacyjnej. Podróż do podświadomości.

5.

- W windzie była złota mosiężna tarcza z wieloma przyciskami. Miałem wybrać jeden. Nacisnąłem jedenastkę. Wtedy winda zatrzęsła się i ruszyła w dół. Jechała bardzo długo.

Kiedy wreszcie drzwi się otworzyły, zrobiłem krok do przodu. Wsiadłem i zobaczyłem...

...świat sprzed moich urodzin, dokończył w myślach Stern.

Zdziwił się, gdy Simon zakończył zdanie zupełnie inaczej.

- ...ciemność. Zupełne nic. Wszystko wokół mnie było czarne.

Wzrok Simona znów był spokojny. Wziął kolejny łyk soku jabłkowego. Gdy odstawił napój z powrotem na stół, podciągnęła mu się koszulka. Stern aż się wzdrygnął. Przez ułamek sekundy widoczne było podłużne znamię na kości biodrowej.

Blizny nowo narodzonych!, przyszło mu mimowolnie na myśl. Zmiana skórną w najmniejszym stopniu nie była podobna do tej, którą miał Felix. Czy też chłopiec z DVD. Ale nieuchronnie przypomniawszy mu artykuł o Ianie Stevensonie,

który przeczytał dziś rano. Nieżyjący już profesor i kierownik psychiatrii na uniwersytecie w Wirginii był jednym z niewielu badaczy istoty reinkarnacji, którego badania z powagą traktowali uznani amerykańscy naukowcy Stevenson twierdził, że znamiona i blizny to pewnego rodzaju duchowe mapy, pokazujące rany ludzi z ich wcześniejszych żyć. Kanadyjczyk zebrał setki akt pacjentów i raportów z autopsji, w których znalazł podejrzaną zbieżność zmian skórnych u rzekomo nowo narodzonych dzieci.

- Nie rozumiem. - Stern starał się znów całkowicie skoncentrować na słowach Simona. - Skąd więc wiedziałeś o zwłokach, skoro w ogóle ich nie widziałeś u doktora Tiefenseego?

- No cóż, coś tam zobaczyłem. Ale dopiero, jak się obudziłem. Carina powiedziała, że spałem ponad dwie godziny. Pamiętam jeszcze, jak bardzo byłem smutny. To były przecież moje urodziny, a na zewnątrz zrobiło się już ciemno.

- I gdy się obudziłeś, przyszły do ciebie te złe wspomnienia?

- Nie od razu. Dopiero gdy już siedziałem w samochodzie i Carina mnie spytała, jak było. Wtedy jej opowiedziałem. O obrazach.

- Jakich obrazach?

- Tych w mojej głowie. Widzę je bardzo rozmyte. Jakbym śnił i zaraz miał się obudzić. Znasz to uczucie?

- Tak, może. - Stern co prawda wiedział, o czym mówił Simon, ale jego marzenia od dawna nie były aż tak chore. Chyba że myślał o Feliksie.

Simon odwrócił głowę do okna i patrzył przez nie w zamyśleniu. Najpierw Stern pomyślał, że dziecko znudziło się już rozmową i zaraz sięgnie po leżącą na stoliku grę wideo. Później jednak zauważył, że jego usta się poruszają. Simon najwidoczniej szukał odpowiednich słów, aby móc dokładniej wyjaśnić swoje wrażenia.

- W domu dziecka musiałem raz zmienić żarówkę w piwnicy - zaczął cicho. - Nikt z nas nie chciał tego zrobić. Wszyscy baliśmy się tam zejść. Ciągnęliśmy

zapałki i ja wylosowałem najkrótszą. To było naprawdę nieprzyjemne. Goła żarówka wisiała na drucie wystającym z sufitu. Wyglądała jak piłka do tenisa. Pożółkła, pokryta pajęczyną i kurzem. I wydawała dźwięki. Jak Jonas. To mój przyjaciel. On potrafi dość głośno strzelać palcami. To brzmiało prawie identycznie. Światło gasło i zapalało się, a za każdym razem trzaskało, jakby Jonas miażdżył sobie palce. Przestał to robić dopiero, jak któryś z dorosłych opowiedział coś o gościu i reumatyzmie.

Stern nie chciał wtrącać żadnych pytań. Pozwolił mu opowiadać dalej. Patrzył tylko na swoje dłonie, które nieświadomie złożył jak do modlitwy.

- Gdy wszedłem do piwnicy, głośno strzelało, a żarówka migotała. Zapalała się i gasła. Nawet gdy robiło się jasno, nie widziałem wszystkiego dokładnie. Żarówka była po prostu zbyt brudna. A ponieważ tak migotała, wszystko się ruszało. Wiedziałem, że z jednej strony schła pościel i ręczniki. Z drugiej stały kosze z naszymi spodniami i koszulkami. Światło drżało mocniej niż ja. Bałem się, że za prześcieradłami stoi mężczyzna, który może mnie złapać. Byłem wówczas dużo mniejszy i prawie narobiłem ze strachu w spodnie.

Stern zmarszczył czoło i przytaknął jednocześnie. Po pierwsze, ponieważ rozumiał strach chłopca. Po drugie, powoli zdawał sobie sprawę, co chciał mu przez to powiedzieć.

- Czy teraz też tak jest? Z obrazami, które widzisz?

- Tak. Kiedy przypominam sobie poprzednie życie, jest wtedy jak tego dnia w domu dziecka. Znowu jestem w piwnicy, a brudna żarówka migocze.

Trach. Trach.

- Dlatego widzę tylko zarysy cienie. Wszystko jest rozmyte... Ale wydaje mi się, że światło z dnia na dzień jest coraz silniejsze.

- Chodzi ci o to, że po obudzeniu się możesz sobie wszystko lepiej przypomnieć?

- Tak. Wczoraj na przykład nie byłem już wcale pewien, czy rzeczywiście zabiłem tamtego mężczyznę. Siekierą. Dziś rano jednak wszystko się wyjaśniło. Dokładnie jak ta cyfra.

Trach.

- Jaka cyfra?

- Sześć. Była namalowana.

- Gdzie?

Trach. Trach.

- Na jakichś drzwiach. Z metalu. One są gdzieś blisko wody.

Sternowi zachciało się nagle pić. Na języku czuł niemiły posmak. Musiał go spłukać. Podobnie jak straszne przeczucie, które wywołały w nim słowa Simona.

- Co tam się stało? - spytał, chociaż wcale nie chciał tego wiedzieć.

Co się stało za drzwiami? Za drzwiami z numerem sześć.

Jakiś facet zaczął gwizdać na korytarzu, jego kroki oddalały się od pokoju. Ale umysł Sterna filtrował wszelkie zewnętrzne odgłosy, koncentrując się wyłącznie na zdaniach Simona. Zdaniach, które opisywały walkę z mężczyzną, którego dwanaście lat temu Simon zamordował.

Dwa lata przed swoim urodzeniem,

Stern zapragnął, żeby im ktoś przeszkodził. Nie miał ochoty wysłuchiwać wszystkich szczegółów o zębatym nożu, którym ofiara mogła jeszcze przed śmiercią zranić napastnika. Mniej więcej w tym miejscu, gdzie znajdowało się brązowe znamię Simona.

Robert spojrzął bezradnie w stronę drzwi, te jednak pozostały zamknięte. Żaden lekarz ani pielęgniarka nie przerwali strasznych opisów scen, które Simon przedstawiał bez większego zaangażowania. Znów zamknął swe duże oczy.

- Znasz adres? - wykrztusił Stern, gdy chłopiec wreszcie skończył. Krew tak mocno dudniła mu w uszach, że sam nie słyszał tego, co mówił.

- Nie wydaje mi się. Chociaż może.

Simon powiedział tylko jedno słowo. Wystarczyło ono, żeby na całym ciele Sterna pojawiła się gęsia skórka. Robert znał to miejsce. Wcześniej często chodził tam na spacer. Z Sophie. Gdy była w ciąży.

6.

- Nie, nie mam nakazu przeszukania. Nie jestem policjantem.

Stern zastanawiał się, czy typek z kolczykami w nosie i brudnymi włosami kiedykolwiek chodził do szkoły. Jego górna warga szeroko odsłaniała dziąsła, co razem z tyłozgryzem jeszcze bardziej podkreślało nieszczerzy uśmiech.

- No to sorry, Winnetou - wymamrotał Sly, kładąc nogi na biurko. Facet przedstawił się tym śmiesznym pseudonimem, gdy Stern wszedł kilka minut wcześniej do małego biura firmy transportowej, mieszczącego się na parterze.

- Co chce pan robić w szóstce? Wydaje mi się, że już nie wynajmujemy garaży z jednocyfrowymi numerami.

W szpitalu Simon tylko częściowo przypomniał sobie adres. Ale jedna wskazówka wystarczyła - „garaże nad Szprewą”. Stern znał te walące się magazyny nad kanałem w Alt-Moabie. Główną siedzibą starej berlińskiej firmy była piaskowego koloru budowla z palonej cegły stojąca tuż nad wodą. Z tyłu znajdowały się baraki tymczasowo używane przez paru klientów do magazynowania mebli, sprzętu elektronicznego i innych rupieci. Interesy nie szły już tak dobrze, odkąd obcokrajowi robotnicy godzili się taskać pralki za trzy euro za godzinę. Dlatego właściciel nie inwestował pieniędzy w remonty w ostatnich latach. W obskurnym biurze śmierdziało dymem z papierosów i toaletą, prawdopodobnie

dzięki drzewku zapachowemu, które Sly zawiesił na żyrandolu, żeby oszczędzić sobie regularnego wietrzenia. Nic dziwnego, że ślady pleśni ciągnęły się po zasłoniętych żaluzjach aż do sufitu. Stern nie mógł zrozumieć, dlaczego akurat w tak pochmurny jesienny dzień, jak dziś, odgradzano się od resztek słonecznego światła.

- Jestem wykonawcą testamentu. Szukam spadkobierców ogromnego majątku - zaczął Stern swoją śpiewkę, którą wymyślił w drodze ze szpitala. - Mam nadzieję znaleźć w garażu numer sześć wskazówki, które mogą okazać się pomocne.

Ciągle mówiąc, otworzył portfel i wyjął dwa banknoty Sly zdjął nogi z biurka, nie przestając się głupkowato uśmiechać.

- Nie zaryzykuję przecież roboty dla jednej stówki - udawał oburzenie.
- Myślę, że właśnie tak zrobisz.

Gdy do biura z hałasem wpadł zdyszany mężczyzna, Stern schował z powrotem pieniądze i odwrócił się w jego kierunku.

- Cholera, śmierdzi tu jak w szurzej łaźni - zaklął spocony łysielec, którego postura przypominała wyprostowanego Buddę. Na plecach Andiego Borcherta bez obaw można było zamontować telewizor panoramiczny, a ten i tak nie wystawałby poza jego ramiona.

- Coś pan za jeden? - spytał Sly, podskakując. Uśmiezek momentalnie zniknął z jego twarzy.

- Nie rób sobie kłopotu z mojego powodu. Możesz spokojnie dalej siedzieć. Borchert wręcz wcisnął go w fotel i podszedł do gabloty z kluczami, która wisiała na ścianie obok sporego planu Berlina.

- Robert, o który garaż chodzi?

- Szóstka. - Stern zastanawiał się, czy dobrze zrobił, dzwoniąc wcześniej do swojego dawnego klienta i prosząc go o pomoc. Znał oryginalne metody rozwiązywania problemów przez Andreasa Borcherta, to właśnie przez nie dwa lata te-

mu omal nie wylądował w więzieniu. Borchert był jeszcze wówczas producentem kiepskich filmów dla dorosłych i dzięki tanim pornosom dorobił się niemałego majątku. Pewnego dnia jedna z aktorek została brutalnie zgwałcona na plażynie. Wszystko wskazywało na to, że Borchert był sprawcą, ale podczas nagłośnionego procesu Sternowi udało się przekonać sąd o jego niewinności. Andi dostał karę w zawieszeniu po tym, jak po swoim uniewinnieniu na własną rękę znalazł prawdziwego napastnika i go solidnie poturbował.

- Jeśli zadzwonisz po gliny, to się jeszcze spotkamy - sapnął Andi w kierunku Slya, zabierając odpowiedni klucz. - I to u ciebie w domu, rozumiemy się?

Stern nie mógł się powstrzymać od uśmiechu, gdy jego były klient wyszedł po tych słowach z biura. Nie czekał na nieśmiałe kiwnięcie głową pracownika firmy transportowej.

Dołączył do Borcherta i razem brnęli dalej po nieutwardzonej drodze w kierunku garaży

- No to powtórz wszystko jeszcze raz dla ludzi bez matury.

To, że co drugi krok Andi wpadał w kałużę, w ogóle mu nie przeszkadzało. Krople potu spływały po jego skroniach. Skłonność do pocenia się przy najmniejszym nawet wysiłku przysporzyła mu wielu ksyw. Mr. Rubens, Sumo, Gruczoł... Borchert znał je wszystkie, chociaż nikt nie odważył się nazwać go tak wprost.

- Przez telefon zrozumiałem jedynie, że potrzebujesz pomocy, bo dziesięcioolatek zamordował jakiegoś gościa.

- Niejednego, mówiąc dokładnie. - W drodze przez teren firmy transportowej Stern opowiedział zwariowaną historię. Mówił tym szybciej, im większe niedowierzanie rysowało się na twarzy Borcherta. Zatrzymali się w końcu przy zardzewiałym kontenerze na śmieci budowlane, do którego akurat wdrapywał się czarny kot.

- Zabił? Piętnaście lat temu, we wcześniejszym życiu? Uważasz mnie za idiotę?

- Myślisz, że zwróciłbym się do ciebie, gdybym miał inny wybór? - Stern zaczesał ręką włosy do tyłu i dał znak kompanowi, aby ten towarzyszył mu dalej do garażu. – Od wczoraj, kiedy znalazłem te zwłoki, sprawą zajmuje się Martin Engler. Komisarz, który i tobie zaszedł za skórę.

- Tak, pamiętam tego gnoja.

- A on pamięta o tym, jak zniweczyłem jego wielkie śledztwo.

TLR

Podczas dochodzenia Engler zaniedbał jedną rzecz. Nie zadał sobie trudu, żeby sprawdzić kartę chorobową Borcherta. Andi od młodości cierpiał na częścione zaburzenia erekcji. Był prawie impotentem, który jedynie po długiej grze wstępnej i w przyjaznym otoczeniu osiągał erekcję. Andi nie mógł zgwałcić tej młodej dziewczyny

Borchert był dozgonnie wdzięczny Sternowi za uniewinnienie i za to, że rozprawa toczyła się bez obecności mediów.

Producent filmów porno, któremu nie stawał, zostałby pośmiewiskiem. Choć dzięki Sternowi nie wyciekły żadne pikantne szczegóły, Borchert zrezygnował z działalności w branży filmowej i zajął się prowadzeniem świetnie dziś prosperujących dyskotek w Berlinie i okolicach.

- Bardzo chciałby mnie o coś oskarżyć.

- Oczywiście pomogę ci, ale wybaczone, nic z tego nie rozumiem. Dlaczego dałeś się w to wplątać? - Borchert kopnął puszkę po piwie.

- Przyjąłem sprawę tego chłopca. Wystarczy? - Stern wymigał się od odpowiedzi.

Nie chciał opowiadać teraz Borchertowi o DVD, chociaż natychmiast wyjaśnić to, dlaczego potrzebował ochroniarza. Andi był jedyną znaną mu osobą, która zachowywała zimną krew i bez zbędnych wyjaśnień gotowa była dla niego grzebać w brudach. Bał się, że jego dawny klient zacznie uważać go za wariata, jeśli przyzna, z jakich faktycznie powodów poszedł drogą, którą Simon kroczył we wcześniejszym życiu.

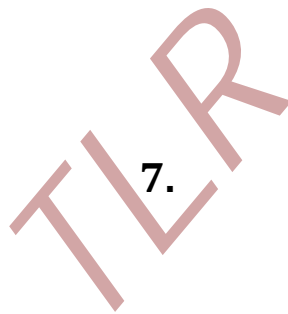
A może rzeczywiście zwariowałem?, pomyślał. Z jednej strony ten dwuminutowy film, z drugiej wszelkie prawa natury, zaprzeczające przypuszczeniu, że Felix może jeszcze żyć. Ale zaprzeczały one też temu, że Simon mógł pamiętać morderstwa, które popełniono wiele lat przed jego urodzeniem.

- Dobrze. Nie mam więcej pytań, wysoki sędzie. - Borchert podniósł ręce, jakby Stern wycelował w niego pistolet. - Tylko nie mów mi teraz, proszę, że szukamy tu kolejnych zwłok.

- Niestety Dopiero co widziałem się z Simonem w szpitalu. Podał mi ten adres.

Mżawka lekko osłabła, dzięki czemu Stern mógł znów patrzeć przed siebie, nie mrużąc oczu przed małymi kroplami deszczu. Metalowa brama garażowa z numerem sześć oddalona była jeszcze o jakieś pięćdziesiąt metrów, rzut beretem do Szprewy.

- Simon powiedział, że dwanaście lat temu odrąbał delikwentowi nogi, żeby ten zmieścił się w lodówce.



Stern w zasadzie nie wiedział, czego ma się spodziewać, gdy otwierał bramę. Może kłębowiska szcurów, szarpiących ludzkie ramię na kamiennej posadzce, albo wibrującej ławicy much owocówek i plujek, które jak czarna chmura wisiałyby nad na wpół otwartą lodówką. Instynktownie nastawił się na wszelkie zwiastuny śmierci i właśnie dlatego rzeczywisty widok tak bardzo go zaskoczył, chociaż powinien raczej poczuć ulgę. Garaż był pusty. Żadnych mebli. Żadnych sprzętów elektronicznych. Żadnych książek. Światło z przykurzonej żarówki padało wyłącznie na dwie małe skrzynie pełne starych naczyń i na zniszczone krzesło biurowe. Nic więcej. Stern miał wrażenie, że otwiera się w nim wentyl, przez który umyka wszelka nadzieja. Zdał sobie sprawę, z jaką irracjonalną siłą pragnął, aby w garażu leżało czyjeś ciało. Im mocniej manifestowały się w teraz-

niejszości niezrozumiałe wspomnienia wywoływane przez Simona, tym większy sens miała wiara w istnienie związku między Felixem a dziesięcioletkiem, który miał znamię na ramieniu.

Stern nie mógł pojąć, że naprawdę stworzył w podświadomości to irracjonalne równanie.

- To by było na tyle, jeśli chodzi o to całe gówno z feng shui - mruknął Borchert. Robert nawet nie próbował mu wyjaśnić, że tradycyjna chińska filozofia aranżacji przestrzeni nie ma nic wspólnego z wędrówką dusz i reinkarnacją. Dla dyskotekowego biznesmena wszystko, czego nie mógł dotknąć, było spirytualnymi bredniami o psychologii, wymyślonymi przez ludzi, którzy mieli zbyt dużo wolnego czasu.

To proste podejście do życia Stern do niedawna uważał za niezwykle sympatyczne.

- A tobie co? - zainteresował się Borchert, gdy Stern nagle opadł na kolana i na czworakach posuwał się po posadzce do przodu. Nie odpowiedział, dalej szukał wgłębień w zakurzonej podłodze. Zdał sobie sprawę z bezsensowności swoich działań, jeszcze zanim je zakończył.

- Pudło - powiedział w końcu, strzepując kurz ze swojego płaszcza z wielbłądziej sierści. - Nie ma podwójnego dna. Nic.

- Zabawne. Twoja historia brzmiała dotychczas całkiem rozsądnie - naśmiewał się Borchert. Z jakiegoś powodu na jego czole znów pojawiły się krople potu, chociaż przez ostatnią minutę nie ruszył się z miejsca.

Wychodząc, Stern jeszcze raz obrzucił spojrzeniem wnętrze garażu, zgasił światło i pozwolił swojemu towarzyszowi zamknąć dużą bramę.

- Nie wiem - wymamrotał do siebie. - Coś tu nie gra.

- Teraz, kiedy o tym wspomniałeś, też to zauważyłem. - Borchert wyjął klucz i wyszczerzył zęby do Sterna. - Może chodzi o to, że na jakimś zadupiu szukamy w deszczu czyichś zwłok?

- Nie, nie o to mi chodziło. Gdybyś był ze mną przedwczoraj, zrozumiałbyś mnie. Ten chłopiec ostatnie miesiące spędził w szpitalu, a wcześniej w domu dziecka. Skąd mógł wiedzieć o zabitym, leżącym w piwnicy? Znał też przybliżoną datę śmierci.

- Czy zostało to jakoś potwierdzone?

- Tak - odpowiedział Stern, nie podając źródła. Chwilowo musiał zaufać „głosowi” z DVD.

- W takim razie ktoś musiał mu o tym powiedzieć.

- Też tak sądzę, ale mimo to nie wszystko tu pasuje.

Borchert wzruszył ramionami.

- Słyszałem kiedyś, że małe dzieci mają niewidocznych przyjaciół, z którymi rozmawiają.

- Może kiedy mają cztery lata. Simon nie choruje na schizofrenię, jeśli o to ci chodzi. Nie ma urojeń. Ten facet z roztrzaskaną czaszką był prawdziwy. Sam go znalazłem. I tu. Szóstka. - Stern wskazał na bramę. Farba, którą namalowano cyfrę, mocno już się złuszczyła. - Ktoś ją tu namalował, tak jak opisał to Simon.

- Pewnie był tu kiedyś i to widział.

- On wychowywał się w domu dziecka. W Karlshorst. Stąd prawie godzina drogi samochodem. Jest to zatem mało prawdopodobne. A jeśli nawet, to nie miałoby sensu. Dlaczego Simon uważa, że jest mordercą, skoro ktoś mu o tym tylko opowiedział?

- Co to ma być? Teleturniej? Skąd mam wiedzieć? - parsknął Borchert, ale Stern wcale go nie słuchał. Pytania zadawał bardziej po to, żeby uporządkować własne myśli niż w oczekiwaniu na znaczące odpowiedzi.

- Okej, przyjmijmy, że istnieje ktoś, kto wykorzystuje Simona. Dlaczego morderca wybiera małego chłopca, żeby ten zaprowadził nas do ciała? Po co tyle trudu? Mógłby przecież sam spokojnie zadzwonić na policję?

- Hej, wy tam! - krzyknął nagle ktoś z wejścia do głównego budynku. Lekko pochylony niski mężczyzna w kombinezonie roboczym człapał przez podwórze w ich kierunku.

- To stary Do niego należy firma transportowa - wyjaśnił Borchert. - Nie dziw się, przez dźwiganie skrzyń nabawił się dyskopatii i odtąd chodzi trochę pokrzywiony.

- Co robicie na moim terenie, gnojki? - wrzasnął, wymachując rękami. Stern już się przygotował wewnątrz na następną sprzeczkę. Ale właściciel firmy zatrzymał się nagle i zaśmiał gardłowo.

- Ach, to ty, Borchert! Teraz już wiem, dlaczego mój bezużyteczny bratanek ma pełne gacie.

- Nie było cię, a nam się spieszyło, Giesbach.

- Okej, w porządku. Mogłeś chociaż zadzwonić.

Staruszek odebrał Borchertowi klucz i spojrzał na Steraa.

- Numer sześć, tak?

Robert z chęcią przyjrzałby się bliżej wysmaganej przez wiatr twarzy właściciela firmy transportowej, ale musiał się odwrócić, kiedy zobaczył strużki śliny, wypływające z ust Giesbacha przy każdym słowie, jakby właśnie przeżuwał kawałek pizzy

- Czego właściwie tam szukacie?

- Mój kumpel rozgląda się za drugim mieszkaniem - mruknął Borchert.

- Tylko pytam. Akurat w szóstce?

- Dlaczego akurat? - zainteresował się Stern.

- To był jedyny garaż, który wynajmowałem na stałe.

- Komu?

- Chłopczyku. Myślisz, że mnie to interesuje, kiedy ktoś płaci gotówką? Za dziesięć lat z góry?

- A po co ktoś wynajmuje pusty garaż?

- Pusty?

W chwili, gdy staruszek uśmiechnął się drwiąco, Stern zorientował się, na co nie zwrócił uwagi wcześniej w garażu.

Ślady po przesuwaniu. W kurzu.

- Był załadowany po sam dach. Posprzątaaliśmy tam w ubiegłym tygodniu, po wygaśnięciu umowy

- Co? - spytali jednocześnie Stern i Borchert.

- Dokąd wszystko wywieźliście?

- Tam, gdzie powinno się znaleźć. Na śmieci.

Serce Sterna zamarło na chwilę, kiedy podążył za wzrokiem koślawego spedytora. I nadzieja nagle powróciła.

- Powinniśmy byli tak zrobić już dwa lata temu. Usunąć te graty. Zupełnie przegapiliśmy, że umowa wygasła, bo w zasadzie nie wypożyczamy już jednocyfrowych garaży. Będziemy je wyburzać.

Robert obrócił się i szedł, jak w spowolnieniu, w kierunku przerdzewiałego kontenera, który już wcześniej mijali.

Gdy był wystarczająco blisko, aby zająrzeć do środka, czarny kot nadal tam siedział. Przyczał się na stosie starych gazet przed poźółkłą skrzynią. Najwidoczniej spodobało mu się miejsce, gdzie z nieszczelnego urządzenia skapywała blade-żółta ciecz. W każdym razie nie zareagował na Sterna, kiedy ten wskoczył do kontenera. Dalej lizał gumową uszczelkę starej lodówki. Tego modelu z pewnością nie można było dostać na rynku od co najmniej dwunastu lat.

- Jak to sobie wyobrażasz?

Carina zatrzasnęła nogą drzwi samochodu i z komórką przy uchu pobiegła w górę szpitalnego podjazdu. Musiała zostawić auto przed kliniką, ponieważ wszystkie wolne miejsca parkingowe zajmowały pojazdy, które z całą pewnością nie były do tego uprawnione. Jeśliby się temu dokładniej przyjrzeć i tak nie miała czego szukać na szpitalnym parkingu. Oficjalnie została urlopowana. Nieoficjalnie mogła już zacząć się rozglądać za nową pracą.

- Klinika nie jest przecież szczególnie chroniona. - Słuchała Sterna, którego głos przerywał uliczny zgiełk. – Na pewno nadarzy się okazja, żeby wyciągnąć stamtąd Simona.

Przebieg rozmowy wcale się jej nie spodobał. Dwa dni czekała na jakiś znak życia od Roberta. A teraz to! Zamiast porozmawiać z nią w spokoju o niezrozumiałych wydarzeniach, najwidoczniej zmierzał do przysporzenia jej jeszcze większych kłopotów. Jakby dotychczasowe nie wystarczały.

- Czego chcesz od Simona?

- Tego, o co mnie poprosiłaś. Podążam za jego słowami.

Świetnie.

To też szło na jej konto. W końcu to ona doprowadziła do ich spotkania. Chciała, żeby się zaopiekował chłopcem.

Ale nie w ten sposób!

Nie jako obrońca. Aranżując spotkanie, miała naiwne życzenie. Przede wszystkim chodziło jej oczywiście o Simona. To z powodu jej idiotycznego pomysłu z terapią reinkarnacyjną jego strach przed śmiercią zastąpiły jeszcze większe zmartwienia. Wierzył, że jest mordercą. Musiała wszystko na nowo wyprostować.

Nie potrzebowała Roberta w wyprawie do piwnicy Możliwe, że nawet Picasso przydałby się tam bardziej. Jej chodziło o to, żeby zapoznać Roberta z

Simonem. Mocno wierzyła, że obaj mogą wejść w związek, w którym adwokat pomógłby chłopcu pozbyć się koszmarnych myśli, przez co może sam bardziej by się otworzył na ludzi. Prawdziwie niezrozumiała umiejętnością Simona było właśnie to, że pomimo ciężkiej choroby samą swoją obecnością wyczarowywał uśmiech na twarzy smutnych pacjentów i rozwiewał ich chmury depresji i melancholii.

Tak, jestem idiotką. Co krok to błąd.

Carina spojrzała na zegarek. Zastanowiła się, czy rzeczywiście upłynęły zaledwie dwadzieścia cztery godziny od momentu, kiedy rozpoczęło się to szaleństwo. Było tuż przed jedenastą. Nie przypominała sobie, żeby kiedykolwiek dotychczas przyjeżdżała do kliniki o tej porze.

- Co chcesz jeszcze od niego usłyszeć? – szepnęła ochrypnięta do komórki. Pozdrowiła przechodzącą obok koleżankę, unosząc rękę, w której trzymała pustą torbę sportową. Carina wróciła w zasadzie tylko po to, aby zabrać z szafki rzeczy osobiste i pożegnać się z kolegami. W planach dnia nie przewidziała prośby Sterna.

- Byłem dziś rano u niego. Dał mi kolejną wskazówkę. Nie uwierzysz, ale naprawdę znaleźliśmy kolejne.

- Kolejne co? - Carina wbiegła do holu kliniki. Poryw wiatru zmierzwił jej włosy. Miała dreszcze, jakby ktoś przez słomkę dmuchał mokre powietrze w jej kark.

- Ciało. Znaleźliśmy je w lodówce. Uduszony plastikową torebką, dokładnie, jak to opisał Simon.

Z ust Cariny znikł uśmiech, którym chciała przywitać portiera. Skierowała się szybko w stronę windy.

Zrobiło się jej niedobrze. Zawsze podejrzewała, że znajomość z Robertem Sternem któregoś dnia sprowadzi na nią poważne kłopoty. Od trzech lat ignorowała wszystkie wewnętrzne i zewnętrzne głosy, które ostrzegały ją przed psy-

chicznym niebezpieczeństwem zarażenia. Jego przygnębiające usposobienie działało niczym promieniowanie radioaktywne. Niewidoczne, lecz wywołujące najgorsze działania uboczne u wszystkich, którzy byli na nie wystawieni. Również ona obawiała się przedawkowania złej energii, jeśli zbyt blisko się z nim zwiąże. Pomimo to co chwila szukała jego bliskości, nie wkładając ubrania ochronnego. Jednak tym razem wydawało się, że podeszła zbyt blisko. Ich wspólne przeżycia zagrażały już nie tylko duszy

- Przy zwłokach odkryliśmy coś jeszcze.

My? Zastanowiła się, ale postawiła znacznie ważniejsze pytanie:

- Co?

Na przycisku do przywoływania windy pozostał mokry ślad, kiedy zabrała z niego palec.

- Kartkę. Leżała przy zamordowanym. Dokładniej mówiąc, tkwiła między jego rozkładającymi się paluchami.

- Co jest na niej? - Nie chciała słuchać dalej opisu ciała.

- Już ją raz widziałas.

- Słucham?

- U Simona. W jego pokoju.

- Chyba żartujesz.

Drzwi do windy otwierały się powoli. Carina uderzała nerwowo paznokciami o aluminium. Chciała tak szybko, jak to możliwe, zniknąć w kokonie zamkniętej kabiny

- Dziecięcy rysunek - wyjaśnił Stern. - Mały kościół na łące.

Nie wierzę.

Carina nacisnęła przycisk neurologii i zamknęła oczy.

Rysunek z okna Simona. Narysował go dopiero trzy dni temu. Po terapii reinkarnacyjnej.

- Rozumiesz teraz, dlaczego muszę się z nim zobaczyć?

- Tak - szepnęła, chociaż właściwie nic już nie rozumiała. Znów czuła się jak trzy lata temu, gdy rozpadł się ich związek. Kiedy Stern zaciągnął hamulec, gdyż dla niego wszystko działo się za szybko.

- Przyrowadź, proszę, Simona do zoo – powiedział Stern. - Spotkamy się za półtorej godziny przy wybiegu dla słoni. Tam nikt nie zwróci na nas uwagi.

- Po co tak komplikujesz? Nie możesz sam przyjechać do kliniki?

- To już drugie ciało, które znalazłem. Jak myślisz, które miejsce zajmują na liście podejrzanych u Englera?

- Rozumiem - wyszeptała. Winda się zatrzymała, a Carina musiała przezwyciężyć ochotę, aby po prostu zjechać z powrotem na dół. W tej chwili chciała jedynie zniknąć.

- Dlatego zmyłem się, zanim przyjechała policja. Ale to tylko kwestia czasu, kiedy zorientują się, że znów ja znalazłem zwłoki. Mam małą przewagę i muszę ją wykorzystać.

- Do czego?

Stern odetchnął głęboko, zanim odpowiedział. Carinie wydawało się, że usłyszała w jego głosie cień nieufności, gdy otwierała drzwi do pokoju 217.

- Jestem umówiony z twoim przyjacielem.

W normalnych warunkach natychmiast by spytała, jak ma to rozumieć. Teraz zabrakło jej słów. Wiedziała, że Simon o tej porze zazwyczaj ogląda powtórkę swojego ulubionego serialu kryminalnego. Również i teraz grał telewizor.

Ale łóżko stało puste.

- Zatem zamierza go pan przesłuchać?

Profesor H. J. Müller podpisał się całkowicie nieczytelnie na liście do ordynatora z Moguncji i zamknął teczkę z dokumentami. Potem sięgnął po srebrny nóż do otwierania kopert i usunął nim niebieskawy brud spod paznokcia.

- Przesłuchanie nie jest najlepszym określeniem w tej sytuacji. - Policjant, który usiadł naprzeciwko, chrząknął. - Chcemy mu zadać tylko kilka pytań.

W jakiej sprawie?, pomyślał Müller, lustrując mężczyznę, który przedstawił mu się jako komisarz Brandmann. Z pewnością nie chodziło o zwykłą ankietę.

- Naprawdę nie wiem, czy mogę się zgodzić na takie metody. Czy coś takiego jest w ogóle dozwolone?

- Tak, oczywiście.

Na pewno? Müller nie wyobrażał sobie, żeby nie wymagało to specjalnego zezwolenia. Od komendanta albo chociaż od jakiegoś prokuratora.

- A gdzie pana partner? - Müller spojrzał na terminarz przed sobą. - Moja sekretarka zapowiedziała niejakiego pana Denglera.

- Englera - poprawił go Brandmann. - Kolega kazał przeprosić, musiał pojechać w inne miejsce, które prawdopodobnie bezpośrednio łączy się z tą sprawą.

- Rozumiem. - Ordynator ściągnął kącik ust, jak zazwyczaj, gdy kogoś badał.

Siedzący na krześle przed biurkiem otyły mężczyzna na chwilę przestał być policjantem i został pacjentem, któremu Müller doradziłby oprócz diety pilne badanie tarczycy.

Pokręcił głową i odłożył nóż na bloczek recept.

- Nie. Moja odpowiedź brzmi nie. Zdecydowanie. Nie pozwolę wystawić pacjenta na niepotrzebny stres. Chyba pan zna diagnozę? - Müller splótł chude

dłonie. - Simon Sachs ma prymitywny guz neuroektodermalny w kresomózgowiu, który powoli rozprzestrzenia się z prawej półkuli na lewą. Oznacza to, że przemieszcza się on teraz przez *corpus callosum*. Osobiście przeprowadzałem biopsję i po otwarciu czaszki stwierdziłem, że guz jest nieoperowalny. - Ordynator wyraźnie zmusił się do uprzejmego uśmiechu. - Takiemu laikowi jak pan przedstawię to inaczej: Simon jest ciężko chory

- Właśnie dlatego chcemy możliwie szybko poddać go temu testowi. Jemu oszczędzi to wielu dokuczliwych przesłuchań, a nam mnóstwo czasu. Jak słyszałem, chłopak o mało nie umarł na zapalenie płuc?

Ha. Więc stad wieje wiatr.

Dziecko było ich najważniejszym świadkiem. Chcieli je przesłuchać, dopóki jeszcze mogli.

Po tym, jak chemioterapia i naświetlania wywołały niebezpieczne zapalenie płuc, Muller wbrew poradzom kolegów zdecydował przerwać agresywne leczenie. Co prawdopodobnie nie wydłuży życia, ale przynajmniej zmniejszy cierpienia pacjenta.

- To prawda - odpowiedział profesor. - Obecnie Simon dostaje jedynie kortyzon na obrzęk mózgu i karbamazepinę przeciwko padaczce. Zarezerwowałem mu miejsce na jeszcze jedno badanie kontrolne, podczas którego powinno się okazać, czy mamy ewentualnie wznowić naświetlanie, ale prognozy są niestety nad wyraz pesymistyczne.

Neurolog wstał od biurka i podszedł do masywnej mównicy, stojącej przy oknie.

- Jak daleko doprowadziły pana inne wskazówki? Wie pan już kim był zamordowany, którego znaleźliście wczoraj z pomocą Simona?

- - Proszę pozwolić, że odpowiem tak... - Brandmann wyciągnął pomarszczoną szyję w stronę profesora jak jakiś żółw. - Jeśli Simon faktycznie przeszedł reinkarnację, to we wcześniejszym życiu oddał nam wielką przysługę.

- Zwłoki należały więc do jakiegoś bandyty?

- Tak. Najgorszego. Piętnaście lat temu Harald Zucker przepadł bez śladu.

Od tego czasu Interpol podejrzewał, że macza palce w okropnych zbrodniach w Ameryce Południowej. Najwidoczniej jednak się nie wymknął.

- Zucker? - Muller zamyślony przeglądał odręczne notatki na wykład, które leżały na mównicy

Rozległo się pukanie. Drzwi otworzyły się, zanim zdążył powiedzieć „proszę”. Najpierw rozpoznał pielęgniarza, którego wszyscy w klinice nazywali Piccassem, chociaż Muller nie mógł się w nim dopatrzeć niczego z artysty Prawa dłoń Picassa spoczywała na ramieniu chłopca. Delikatnie wprowadził go do środka.

- Cześć, Simonie - Brandmann stoczył się z krzesła i pozdrowił chłopca jak dobrego kumpla. Simon skinął tylko nieśmiało głową. Miał na sobie błękitne dzinsy z naszytymi kieszeniami, sztruksową kurtkę i nowiutkie białe tenisówki. Przy szyi dyndały słuchawki do odtwarzacza mp3.

- Jak się dziś czujesz? - zapytał lekarz, wychodząc zza mównicy.

Chłopiec wyglądał dobrze, ale mógł to być efekt peruki, która odwracała uwagę od jego bladej twarzy

- Całkiem okej. Jestem tylko trochę zmęczony.

- W porządku. - Muller prostował się, rozmawiając z Simonem. Chciał nieco zniwelować wyraźną przewagę wzrostu komisarza.

- Ten pan jest z policji kryminalnej. Chciałby zadać ci kilka pytań związanych z wczorajszymi wydarzeniami. Dokładniej mówiąc, chce poddać cię testowi, a ja nie jestem pewien, czy powinienem wyrazić zgodę.

- Jakiemu testowi?

Brandmann odchrząknął. Zadał sobie wielki trud, aby posłać chłopcu ujmujący uśmiech.

- Simonie, wiesz, co to jest detektor kłamstw?

10.

W okolicy Hackeschen Markt nigdy nie można było znaleźć wolnego miejsca do parkowania. Borchert zostawił więc swoją terenówkę w drugim szeregu, gdy dotarli do prywatnego gabinetu przy Rosenthalerstrasse. Podróż z Moabitu do centrum Stern wykorzystał na wykonanie kilku telefonów. Między innymi do informacji, gdzie natychmiast usłyszał o doktorze Johannie Tiefenseem. Ze zdziwieniem stwierdził, że facet funkcjonował nie tylko jako psycholog, ale również psychiatra. Lekarz po studiach. Może nawet zrobił habilitację w dziedzinie hipnozy terapeutycznej na Uniwersytecie Humboldta.

- Zaczekaj chwilę, Robert.

Stern poczuł, jak dłoń Borcherta z siłą imadła zamyka się wokół jego nadgarstka, kiedy próbował odpiąć pasy.

- Jeśli chcesz, możesz robić w bambusa Carinę, mnie nie nabierzesz.

- Nie rozumiem.

Stern chciał wyrwać rękę, ale mu się nie udało.

- Dlaczego bawisz się w grabarza? Obrońca, którego znam, opuszcza swoją willę tylko wtedy, gdy może komuś wystawić za to rachunek. W żadnym razie nie pracuje dla chorego na umyśle dziecka. Stój, pozwól mi dokończyć.

Andi tak mocno zacisnął palce, aż ręka Sterna zaczęła drętwieć. Borchert zupełnie nie zwracał uwagi na klaksony przejeżdżających samochodów.

- Nie jestem idiotą. Tacy prawnicy jak ty nie uciekają bez powodu przed policją. Wyjaśnij mi więc, dlaczego nie zaczekaliśmy w firmie transportowej.

- Chciałem uniknąć starcia z Englerem.

- Bzdura. Jeśli stary Giesbach zacznie paplać, będziesz w dwa razy większych tarapatach. Gadaj, o co chodzi?

Robert patrzył przez przyciemnioną szybę na szeroki chodnik żywej ulicy. Był dopiero koniec października, co wcale nie przeszkadzało, aby w witrynie kawiarni na rogu wystawić już Świętego Mikołaja.

- Masz rację - wydusił w końcu. Kiedy Borchert go wreszcie puścił, zdrewniałymi palcami rozpiął kurtkę. Wyciągnął z kieszeni płytę DVD, na widok której jego kompan zrobił wielkie oczy - Znalazłem to wczoraj w skrzynce pocztowej.

- Co tam jest?

Zamiast odpowiedzieć, Stern wsunął płytę do odtwarzacza, a mały wyświetlacz systemu nawigacyjnego automa- tycznie się włączył.

- Sam zobacz.

Zamknął oczy i czekał, aż trujący „głos” wleje się przez głośniki do wnętrza samochodu. Jednak zamiast tego usłyszał tylko pobrzmiwające trzaski.

- Robert? Dobrze się czujesz?

Speszony Stern otworzył oczy i spojrzał na wyświetlacz.

- Nie rozumiem - nacisnął przycisk, wyjął pośpiesznie płytę z odtwarzacza i sprawdził z obu stron, czy nie ma zadrapań. - Musi być uszkodzona! Przecież wczoraj jeszcze wszystko na niej było!

A może ślady zużycia wcale nie były optycznym złudzeniem?

- Wszystko co? - spytał Andi.

- No wszystko. „Głos”, oddział dla noworodków... - Stern stał się nerwowy, czuł, jak wzbiera w nim panika - ...nagranie momentu śmierci Felixa. I ten mały chłopiec, który wygląda, jakby był moim synem.

Kiedy zobaczył minę Andiego, zaczął jeszcze raz od początku. Wyjaśnił mu, jak tylko umiał, jak szokującą propozycję otrzymał wczoraj wieczorem.

- Dlatego nie mogę pójść na policję. On chce zabić bliźniaczki. Sam muszę odkryć, skąd Simon wie o morderstwach. Mam jeszcze na to cztery dni - zakończył Stern, jednocześnie zdając sobie sprawę, jak bardzo się ośmiesza. Gdyby jeszcze dwa dni temu ktoś mu opowiedział tak niewiarygodną historię, wyśmiałyby go i posłał do diabła.

Bez słowa komentarza Andi wziął DVD i włączył oświetlenie w samochodzie. Na zewnątrz ciągle mżyło, zachmurzyło się jak w tureckiej łaźni.

- Co o tym sądzisz? - spytał Robert ostrożnie, kiedy Borchert po minucie milczenia nadal nie wydobył z siebie słowa.

- Wierzę ci - powiedział w końcu i oddał mu srebrzystą płytę.

- Naprawdę?

- Wierzę ci, że wczoraj coś na niej było. To jest EZ-D.

- Co?

- Dysk ulegający samozniszczeniu. Gdy robiłem w branży filmowej, słyszałem o takich prototypach. Jest na nich specjalne poliwęglowe pokrycie, które wchodzi w reakcję z tlenem. Po odtworzeniu i wyjęciu z odtwarzacza płyta staje się bezużyteczna. Stworzono ją na potrzeby wypożyczalni, żeby nie trzeba było zwracać filmów

- Świetnie, ale to jest dowód. Co mam zrobić z takim DVD? Były na niej informacje, których nie mogę nikomu dalej przekazać.

- Robert, nie bierz mi tego za złe, ale... - Borchert drapał się po łysej głowie - ...najpierw znajdujemy zwłoki, a teraz szantażuje cię jakiś nieznajomy, który sądzi, że twój syn nadal żyje. Może ten „głos” istnieje jedynie w twojej głowie?

Stern spojrzał na Borcherta i zrozumiał, że to pytanie było całkowicie uzasadnione. Może faktycznie śmierć Felixa sprzed dziesięciu lat pozbawiła go rozumu? Najwidoczniej tak się stało. Wszystkie obiektywne fakty potwierdzały jednoznacznie, że Felix zmarł. Jednak okrutny „głos” z DVD i wspomnienia Simona z bezlitosną trafnością zasiały w jego duszy coś, o czym dotychczas nie

miał pojęcia. Łatwość odbierania ponadnaturalnych zjawisk. Zszokowany Stern musiał przyznać, że gdyby jakaś siła wyższa umożliwiła mu spotkanie z synem, brak jakichkolwiek logicznych uzasadnień nie miałby znaczenia. Borchert miał rację.

Był bliski utraty zmysłów Do oczu napłynęły mu łzy, kiedy kładł dłoń na ramieniu Andiego.

- Tylko trzy razy miałem go na rękach, wiesz?

Stern sam nie wiedział, po co o tym wspomniał.

- W tym raz, gdy już był martwy

Nie kontrolował wypowiedzianych słów.

- Czasem budzę się w nocy. Jeszcze teraz. I wtedy znów go czuję. Jego zapach. Kiedy Sophie oddała wreszcie Felixa, jego ciało było już zimne. Ale nadal pachniał, jak tego ranka, gdy pierwszy raz wziąłem go na ręce i nacierałem emulsją.

- A teraz na poważnie chcesz wyjaśnić, czy on...

Stern zauważył, jak trudno przeszło to zdanie Borchertowi przez gardło.

- ...czy on żyje w innym ciele?

- Tak. Nie. - Robert się skrzywił. - Nie wiem, Andi. Ale muszę przyznać, że nie jestem w stanie wytłumaczyć sobie tego podobieństwa.

Opowiedział mu o znamieniu chłopca, który zdmuchiwał świece na urodzinowym torcie.

- Znajduje się ono dokładnie w tym samym miejscu, gdzie miał je Felix. Na ramieniu. To bardzo nietypowe, bo zazwyczaj spotyka się je na twarzy albo szyi. Oczywiście teraz jest dużo większe, ale o niesamowitym kształcie. Wygląda jak kozaczek.

- A Felix... - Borchert wstrzymał się na chwilę. - A co z niemowlęciem, które pochowaliście? Czy też to miało?

- Tak, sam widziałem. Przed i po śmierci.

Stern zamknął oczy, jakby mogło mu to pomóc w przebiciu muru wspomnień, w który właśnie walił głową. Nie zapomniał szpitalnego pokoju ani metalowego stołu do sekcji zwłok, na którym leżał jego syn.

- Przykro mi. - Stern podrapał się nerwowo po czole, odczekał chwilę, by w końcu wysiąść. - Zrozumiem, jeśli mi nie uwierzysz i nie będziesz chciał mieć z tym szaleństwem nic więcej wspólnego.

Zatrzasnął za sobą drzwi i skierował się w stronę wejścia do budynku, nie czekając na reakcję Borcherta.

Krótkie spojrzenie na tablicę z nazwiskami przy wejściu wykonaną z kutego żelaza wystarczyło, aby się przekonał, że jest u celu. Piąte piętro, po lewej stronie. Stern zamierzał właśnie zadzwonić, kiedy zauważył mały klin, blokujący drzwi przed zatrzaśnięciem. Nie wiedząc, czy będzie potrzebował klucza do windy, co w wielu domach czynszowych w Berlinie było konieczne, wybrał schody. Na ostatnie piętro dotarł, ciężko dysząc. Oparł się o wysłużoną poręcz na klatce schodowej i zatrzymał wystraszony. Jednak nie brak kondycji przysporzył mu zmartwień, lecz drzwi do prywatnego gabinetu.

Stały otwarte na oścież.

11.

- Simonie, dobrze się czujesz? - spytał profesor Muller, przytrzymując przy-cisk mówienia. Na pokój badań, w którym stał śnieżnobiały rezonans magne-

tyczny, patrzył przez grubą szybę z sąsiedniego pomieszczenia. Simon, ubrany jedynie w T-shirt i bokserki, leżał w tunelu, do którego wsunięto go kilka minut temu jak do pieca. Już po raz piąty w ciągu dwóch lat musiał bez słowa protestu znosić półgodzinną procedurę. Obraz jego mózgu wykazał niestety tylko niekontrolowany rozrost komórek. Dziś jednak w drodze wyjątku przedmiotem badania nie był guz.

- Tak, wszystko okej.

Głośniki wyraźnie oddały głos Simona.

- Czy to na pewno zadziała? - Muller puścił przycisk mikrofonu, żeby chłopak nie usłyszał ich rozmowy. To, że zgodził się na przeprowadzenie tego testu, wynikało wyłącznie z jego zaciekawienia neuroradiologicznym eksperymentem, o którym dotychczas tylko czytał. Teraz miał okazję doświadczyć go na własne oczy. Oprócz niego i komisarza w pokoju komputerowym znajdowała się jeszcze androginiczna blondyna, która krzątała się właśnie tuż przed nim pod stolikiem z monitorem. Przedstawiono mu ją jako posiadającą medyczne wykształcenie ekspertkę od przesłuchań z Krajowego Urzędu Kryminalnego.

- Tak. Ta metoda jest dokładniejsza niż test przy zastosowaniu tradycyjnego wariografu. Zresztą nie zezwolił pan na zabranie Simona w takim stanie z kliniki. Wykorzystajmy więc wykrywacz kłamstw należący do kliniki. - Brandmann roześmiał się. - Chociaż do dziś nie mieliście zielonego pojęcia, że w waszym szpitalu coś takiego w ogóle jest, prawda?

- Profesorze Muller? - z pokoju obok odezwał się Simon.

- Tak?

- Swędzi mnie.

- Żaden problem. Jeszcze możesz się poruszać.

- O co mu chodzi? - spytał Brandmann.

- Urządzenie redukujące natężenie hałasu w jego uchu.

Swędzi zawsze, gdy tworzywo piankowe się rozgrzeje.

- Okej, jestem gotowa. - Blondyna z gumą do żucia w ustach wyczołgała się spod stolika. Najwidoczniej udało się jej podłączyć swój komputer do komputera szpitalnego. Przyciągnęła sobie krzesło, usiadła przed wózkiem, na którym stał mały szary monitor, i włączyła interkom.

- Cześć, Simonie, jestem Laura - jej głos brzmiał zaskakująco przyjaźnie.

- Cześć.

- Za chwilę postawię ci kilka pytań. Na większość z nich wystarczy, że odpowiesz tak lub nie, okej?

- Czy to już było pierwsze pytanie?

Dorośli nie powstrzymali uśmiechu.

- Świetnie, rozumiemy się. Możemy zatem zaczynać.

Jeszcze tylko jedna rzecz. Cokolwiek się będzie działo, nie wolno ci pod żadnym pozorem otworzyć oczu.

- W porządku.

- Drodzy panowie. - Laura wykonała zapraszający gest ręką.

Wprawnymi ruchami Muller włączył elektroniczny system rezonansu magnetycznego. Badanie rozpoczęło się od typowych rytmicznych dźwięków, jakby ktoś wbijał kołek.

Pomimo zamkniętych dźwiękoszczelnych drzwi nie tylko słyszeli dudniący hałas, ale również go odczuwali. Po kilku minutach niskie basy ucichły.

- Podaj mi, proszę, najpierw swoje imię i nazwisko - poprosiła Laura.

- Simon Sachs.

- Ile masz lat?

- Dziesięć.

- Jak nazywa się twoja matka?

- Sandra.

- A ojciec?
- Nie wiem.

Laura spojrzała na Mullera, który wzruszył tylko ramionami.

- To sierota socjalna. Matka go oddała. Ojca nigdy nie poznał.

Funkcjonariuszka postawiła jeszcze dziesięć pytań, na które Simon odpowiadał tak albo nie, zanim przeszła do następnej części testu.

- Okej, Simonie, teraz trochę trudniejsze zadanie. Chciałabym, żebyś mnie oszukał.

- Dlaczego?

- Widziałeś już komputerowe zdjęcia twojego mózgu? - odpowiedziała kolejnym pytaniem.

- Tak. Wygląda jak przepołowione orzechy włoskie.

Laura zaśmiała się.

- Dokładnie. W tej chwili znów robimy takie orzechowe nagranie. Później będziesz mógł sobie obejrzeć film. I jeśli mnie teraz okłamiesz, zobaczysz potem coś zupełnie niesamowitego.

- Świetnie.

Laura popatrzyła krótko na Brandmanna i profesora, by zacząć kolejną turę pytań.

- Czy masz prawo jazdy?

- Tak.

Muller wpatrywał się z pełnym zachwytem w trójwymiarowy obraz o wysokiej rozdzielczości. Przy wszystkich wcześniejszych odpowiedziach nic się nie działo. Teraz nagle pojawiło się czerwone odchylenie w przedniej nowej korze mózgu.

- Jakim jeździsz samochodem?

- Ferrari.

- A gdzie mieszkasz?

- W Afryce.

- Widzi pan? - Laura szepnęła do Mullera. - Nadmierna aktywność mózgu w rejonie wzgórza i jądra migdałowatego. Proszę też zwrócić uwagę na pomiary w innych częściach, które odpowiadają za emocje, kontrolę myśli i wchodzenie w konflikt. - Zgryzionym długopisem stuknęła w inną czerwoną plamę na ekranie. - To całkiem typowe. Gdy probant mówi prawdę, nic się tu nie dzieje. Ale gdy kłamie, musi wysilić swoją wyobraźnię i znacznie bardziej się skoncentrować. Nasz software zaznacza podejrzaną napięcia mózgu na czerwono, klasyfikując je w ten sposób jako kłamstwo.

- Fantastycznie - odezwał się Muller. Nic dziwnego, że ten nowy system przewyższa tradycyjne wykrywacze kłamstw. Normalny wariograf mierzy tylko typowe zmiany tętna, ciśnienia, oddechu i wydzielanego potu. Dobrze przygotowany, wytrenowany psychologicznie probant był w stanie stłumić przy kłamstwie niektóre z tych odruchów. Ale nikt nie potrafi kontrolować procesów biochemicznych zachodzących w mózgu.

Laura połknęła gumę do żucia i ponownie włączyła interkom.

- Bardzo dobrze, wspaniale współpracujesz, Simonie. Teraz przejdziemy do ostatniej serii pytań i na tym zakończymy Tym razem musisz mówić już wyłącznie prawdę, okej?

- Nie ma sprawy.

- Jaki prezent dostałeś na urodziny?

- Tenisówki.

- Co jeszcze?

- Terapię reinkarnacyjną.

- U doktora Tiefenseego?

- Tak.

- Od Cariny?

- Tak.
 - Zostałeś zahipnotyzowany?
 - Nie wiem. Wydaje mi się, że wcześniej usnąłem.
 - Skąd to wiesz?
 - Od Cariny i doktora. Ale może to pani sama sprawdzić.
 - W jaki sposób? - Laura wyglądała teraz na tak samo zdumioną jak komisarz Brandmann. Nie oczekiwali takiej odpowiedzi.
 - Doktor Tiefensee nagrał całą sesję na wideo. Możecie to obejrzeć.
 - Okej, dzięki za wskazówkę. Co się stało, gdy znów się zbudziłeś?
 - Miałem w pamięci wspomnienie.
 - Jakie?
 - O zwłokach w piwnicy
 - Czy to wspomnienie pojawiało się już kiedyś wcześniej?
 - Nie.
 - Czy ktoś w twojej obecności wymienił kiedyś nazwisko Harald Zucker?
 - Nie.
 - Kto ci powiedział, że powinieneś pojechać do fabryki?
 - Nikt. Spytałem Carinę, czy może mi załatwić adwokata.
- Muller spojrzał na Brandmanna, który nawet na chwilę nie mógł oderwać wzroku od monitora. Na razie nie pojawiło się choćby najmniejsze odchylenie.
- Dlaczego chciałeś mieć adwokata?
 - Chcę zgłosić się na policję. Zrobiłem przecież coś złego. Muszę o tym komuś powiedzieć. A w filmach zawsze pytają na początku o adwokata.
 - Dobrze, zaraz kończymy. Zadam ci teraz najważniejsze pytanie, Simonie. Czy zamordowałeś człowieka?
 - Tak.
 - Kiedy to było?
 - Jedną osobę piętnaście lat temu, drugą trzy lata później.

Muller podszedł krok bliżej do monitora, jakby stał się nagle krótkowidzem.

- Simonie, proszę cię teraz, żebyś przypomniał sobie wszystkich, z którymi rozmawiałeś w ostatnich tygodniach i miesiącach. Nieważne, czy tu w szpitalu, czy na zewnątrz. Pomyśl o Robercie Sternie, Carinie Freitag, doktorze Tiefenseem, twoich lekarzach, o kim chcesz. Czy był ktokolwiek, kto ci kazał opowiedzieć nam tę historię?

- Nie. Wiem, że myślicie, że kłamię. - Simon wydawał się teraz bardzo zmęczony i dlatego sprawiał wrażenie bardziej smutnego niż oburzonego. - Że chcę stać się sławny, albo coś takiego. Że tylko powtarzam, co mi ktoś wcześniej przekazał.

Laura i Brandmann przyłapali się jednocześnie na skinięciu głową.

- Ale tak nie jest - kontynuował Simon. Mówił coraz głośniej: - Zrobiłem to. Zabiłem. Po raz pierwszy piętnaście lat temu. Pierwszego mężczyznę zabiłem siekierą, drugiego udusiłem. Później było jeszcze kilka innych ofiar, lecz nie jestem pewien, jak dużo.

Laura odwróciła się do Brandmanna i Mullera, kręcąc bezradnie głową.

To, co akurat działo się na ekranie, było po prostu niepojęte.

12.

Otwarte drzwi w Berlinie to nic nadzwyczajnego, szczególnie jeśli prowadzą do gabinetu lekarskiego. Opuszczona recepcja i pusta poczekalnia za nią już tak. Stern musiał stłumić wrodzony instynkt samozachowawczy, kiedy wchodził do środka, wołając głośno psychiatrę:

- Halo? Doktorze Tiefensee? Jest pan tu?

Już sam szklany, delikatnie świecący szyld przy wejściu nie odpowiadał typowemu standardowi, jakim znachorzy zwracali zazwyczaj na siebie uwagę. Również przytulne wyposażenie wnętrza różniło się od wielu innych gabinetów lekarskich, które Stern dotychczas odwiedził. W przestrzeni dla pacjentów ustawiono skórzane fotele w staroangielskim stylu, na których można było się wygodnie rozsiąść.

Stern sięgnął po komórkę i wybrał numer, który przekazała mu kobieta z informacji. Kilka sekund później w jednym z dalszych pokoi rozbrzmiał dzwonek telefonu. Stern słyszał teraz głęboki głos psychiatry płynący jednocześnie z komórki i oddalonego o jakieś dwadzieścia kroków pomieszczenia.

W połowie drogi korytarz skręcał w lewo. Stern szedł dalej, a nagranie z sekretarki Tiefenseego stawało się coraz głośniejsze. Lekarz informował właśnie o godzinach przyjęć. Dziś była sobota. Wizyty wyłącznie po wcześniejszym umówieniu.

Może akurat prowadzi sesję? Czy dlatego nie odbiera telefonu?

Stern zapukał do pierwszych zamkniętych drzwi, za którymi spodziewał się znaleźć milczącą już automatyczną sekretarkę. Kiedy nikt się nie odezwał, wszedł do środka i od razu rozpoznał pokój, który dziś opisał mu Simon. Na podłodze leżała jasnoniebieska sportowa mata. Panował pedantyczny porządek i czystość. Pomimo przyćmionego jesiennego światła, które z trudem przebijało się przez okna, pokój emanował ciepłem.

- Jest tu kto? - Stern spróbował jeszcze raz. Zaraz potem zrobił piruet, słysząc tępy hałas w pokoju obok.

Co to?

Łomot powtórzył się. Suchy, jakby kość upadła na drewniany parkiet. Stern wybiegł z powrotem na korytarz i zatrzymał się przy najbliższych drzwiach. Nacisnął łukowatą mosiężną klamkę. Nadaremnie. Drzwi były zamknięte.

- Doktorze Tiefensee? - Uklęknął, żeby spojrzeć przez dziurkę od klucza. Potrzebował chwili, by jego oczy przyzwyczyły się do nagłej zmiany światła. Lampka na biurku psychiatry stała tak niefortunnie, że niemal całkowicie go oślepiła. Stern zamrugął i po chwili widział wyraźniej. Krzesło. Leżało przewrócone z oparciem na podłodze. W pierwszej chwili nie zorientował się, co rzucało cień, poruszający się po parkiecie niczym chwiejąca się zasłona. Jednak gdy usłyszał rżenie, nic więcej go już nie interesowało. Złapał za klamkę i zaczął nią szarpać z całych sił. Bezskutecznie. Napał więc na drzwi. Raz. Potem drugi: z rozbiegu. Lakierowane sosnowe drewno drgnęło, a zawiasy zakrzypiały. Dopiero przy czwartej próbie udało mu się je wyważyć.

Stern usłyszał głośny hałas. Wpadając niezdarnie do schludnego gabinetu, rozdarł rękaw marynarki o długi drewniany odprysk.

13.

Proszę, tylko nie znów to samo!

Stern zakrył dłonią usta i wpatrywał się nieruchomo w nogi Tiefenseego. Tkwiły w szarych, świeżo wyprasowanych flanelowych spodniach i kurczowo podrygiwały metr nad podłogą. Spojrzał wyżej. Z trudem powstrzymał się od odwrócenia głowy. Nie mógł znieść widoku wypływających z oczodołów gałek ocznych, które nagle się na nim skoncentrowały. Ale nie to było jeszcze najgorsze. Dłonie psychiatry z pewnością będą go odtąd nawiedzać w najczarniejszych

koszmarach. Palce Tiefenseego zsuwały się raz za razem z drucianej pętli, zaciśniętej mocno wokół jego szyi.

Hak w stiukowym suficie przeznaczony był do zawieszania masywnych żyrandoli. Dlatego też bez problemu utrzymał ciężar dojrzałego mężczyzny.

Stern stracił cenne sekundy, stawiając z powrotem krzesło. Z jakiegoś powodu psychiatra wisiał za wysoko. Nie sięgał stopami krzesła, z którego skoczył.

Albo został zepchnięty?

Chciał złapać lekarza za nogi, ale ten kopał zbyt mocno. Nie udało mu się postawić ich na swoich ramionach, aby podeprzeć jego ciało.

Cholera, cholera, cholera...

- Niech pan wytrzyma jeszcze trochę - krzyknął do Tiefenseego, próbując przyciągnąć ciężkie biedermeierowskie biurko w stronę umierającego mężczyzny, który wierzgał już coraz słabiej. Mijały kolejne sekundy i dopiero kiedy gwałtowne ruchy psychiatry spowolniały, Stern zostawił biurko. Sam stanął teraz na krześle, objął Tiefenseego w okolicy kolan i uniósł do góry.

- Za późno.

Zniekształcony przez połączenie telefoniczne „głos” tak zaskoczył Sterna, że ten o mało nie puścił doktora.

- Kto to? - wykrztusił z siebie, niezdarnie próbując odwrócić się do tyłu.

- Nie poznaje mnie pan?

Ależ oczywiście! Nawet gdybym chciał, nie mógłbym zapomnieć twojego głosu.

- Gdzie pan jest?

- Tu. Tuż obok pana.

Stern spojrzał w dół na blat biurka, który wcześniej zupełnie go nie interesował. Świecąca na czerwono kamera internetowa przy monitorze komputerowym skierowana była dokładnie na niego. Morderca komunikował się z nim przez internet!

- Co to ma znaczyć? - zawołał Stern, ciężko oddychając. Z każdym słowem Tiefensee stawał się coraz cięższy. Zastanawiał się, jak długo jeszcze da radę go utrzymać.

- Wydaje mi się, że może już go pan puścić – doradził „głos”.

Stern spojrział w górę. Głowa Tiefenseego zwisała luźno z otwartymi ustami gotowymi do ostatniego krzyku. W oczach nie tliła się już choćby iskierka życia. Pomimo to Robert nie chciał zwolnić uchwytu i pozostał na miejscu. Poddanie się teraz byłoby czymś w rodzaju zdrady.

- O co tu chodzi?! - wrzasnął w przestrzeń pustego pokoju.

- Pytaniem jest raczej, co pan tu robi? Mieliśmy przecież umowę. Pan zajmie się chłopcem, my psychoterapeutą.

- Dlaczego go zabiliście?

- Ależ wcale tego nie zrobiliśmy. Dostał uczciwą szansę. Gdyby zdradził mi nazwisko mordercy, nadal by żył.

- Ty skurwysynu!

- Proszę. Nie popadajmy w emocjonalne tony. My tylko porozmawialiśmy sobie z tym człowiekiem w bardzo przyjacielskiej atmosferze.

Ramiona piekły Sterna z wysiłku, jakby obejmował rozgrzaną płytę kuchenną. Nie wytrzymał dłużej i puścił Tiefenseego. Hak w suficie zaskrzypiał ponownie pod ciężarem.

- Tiefensee mógł szybko zakończyć swoje męczarnie. Jednak pozostał nieugięty. Moi pracownicy postawili go więc na oparciu krzesła, a ja mogłem z domu wygodnie obserwować, jak długo będzie w stanie utrzymać równowagę, stojąc na palcach. Dwanaście minut i czterdzieści cztery sekundy. Całkiem nieźle, jak na mężczyznę w jego wieku.

- Perwersyjny czubek! - Stern chwiejnym krokiem podszedł do komputera.

- Ależ dlaczego? Właściwie powinien być pan zadowolony Niech mi pan wierzy, gdyby Tiefensee wiedział, skąd Simon znał miejsce, gdzie leżały zwłoki, powiedziałby mi to najpóźniej, gdy zaczął się chwiać.

Komórka Sterna zawibrowała w kieszeni spodni, ale ją zignorował.

- Oznacza to, że ma pan teraz jednego podejrzanego mniej. Jednak od tej chwili powinien pan lepiej wykorzystać czas.

- Kim pan jest?

Robert chwycił za myszkę, a wygaszacz monitora wyłączył się. Nie zauważył nic szczególnego. Chciał właśnie sprawdzić przeglądarkę internetową, kiedy dioda kamery zgasła. „Głos” przerwał połączenie. Jednocześnie zewnętrzny program wykasował wszystkie dane połączenia i zresetował komputer. „Głos” zatarł po sobie wszelkie cyfrowe ślady

Kurwa mać!

Stern zlany potem opadł na fotel i wpatrywał się w martwe ciało psychiatry, które niczym wahadło grozy bujało się pod sufitem. Chwilę potem zauważył, że przed nim na nowoczesnym telefonie biurowym ciągle miga połączenie.

- Jest pan tam jeszcze? - spytał.

- Oczywiście - odpowiedział „głos”. - Ale niech pan już lepiej się rozłączy.

- Dlaczego?

- Nie słyszy pan?

Stern wstał, odszedł od biurka i spojrzał w stronę drzwi.

Faktycznie. Z klatki schodowej docierał dźwięk przypominający napinanie się metalowej liny

Winda.

- Zaraz będzie pan miał towarzystwo. Niech pan spojrzy w terminarz Tiefenseego.

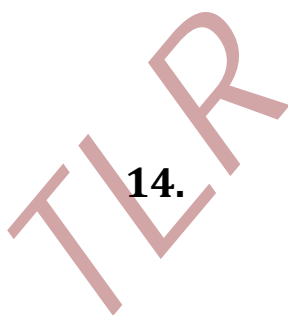
Źrenice Sterna rozszerzyły się, gdy przeczytał podkreślony na czerwono wpis: POL. PRZESŁUCHANIE - KOM. MARTIN ENGLER.

Spojrzał na zegarek. „Głos” się śmiał.

- Przypuszczam, że za jakieś trzydzieści sekund będzie na górze.

Cholera. Dlaczego Borchert mnie nie ostrzegł? Stern wyjął komórkę z kieszeni. Zrobiło mu się niedobrze, gdy zobaczył kilka nieodebranych połączeń. Niechcący musiał przełączyć telefon na tryb wyciszony.

W tej samej chwili znów błysnęło. Zaraz potem doszedł do niego ostry dźwięk. Dużo głośniejszy niż wcześniej. Piszczący alarm wypełniał już nie tylko pokój, ale wszystkie pomieszczenia gabinetu, łącznie z korytarzem i recepcją. Stern po sekundzie zorientował się, że hałas nie pochodzi z jego komórki. Ktoś dzwonił do drzwi. Engler.



- Halo? Doktorze Tiefensee?

Słowa komisarza docierały przez długi korytarz do gabinetu psychiatry. Od wczoraj przeziębienie Englera wyraźnie się pogłębiło i przerzuciło się na oskrzelka. Podnoszenie głosu i głośnie wołanie lekarza sprawiało mu trudność.

- I co teraz? - szepnął Stern do słuchawki. Opcję głośnomówiącą już wyłączył, żeby policjant nic nie usłyszał. Komisarz ciągle stał przy recepcji. Za chwilę pewnie pójdzie korytarzem, skręci za rogiem i zobaczy wyważone drzwi.

A wtedy...

- Jest tam kto? - krzyknął Engler jeszcze raz. Później odkaszlnął. Nienaoliona klamka zazgrzytała cicho. Stern jeszcze mocniej przycisnął słuchawkę do

ucha. Miał problem ze zrozumieniem zniekształconego głosu. Dodatkowo zagłuszała go tętniąca w uszach krew.

- Mam panu pomóc? - zaśmiał się cicho szantażysta. - Akurat ja?

- Jeśli nie chce pan, żebym porozmawiał z policją, niech mnie pan stąd wyciągnie - syknął wściekle Stern. - Jest tu ja- kieś tylne wyjście?

- Nie. I niech pan nie próbuje przez okno. Bardzo ryzykowne.

- Zatem w jaki sposób?

Engler musiał mieć na sobie okute skórzane buty Parkiet trzeszczał pod jego krokami. Opuścił już recepcję i wszedł na korytarz. Stern usłyszał głucho trzaskanie drzwiami.

- Niech pan podejdzie do drzwi i stanie tuż przy szafie z lekami.

W porządku.

Robert starał się nie wydać żadnego dźwięku, przechodząc przez pokój. O mały włos potknąłby się o segregator, który leżał na podłodze. W ostatniej chwili zachował równowagę, opierając się o ciało Tiefenseego. Hak w suficie zgrzytnął groźnie, gdy zwłoki znów zaczęły się kołysać.

- Co teraz? - Dotarł do drzwi. Płytko oddychając, stał pomiędzy futryną i białą szafą ze szlifowanymi szybami.

- Niech pan otworzy szafę.

Stern zrobił, co mu kazano.

Trzy pokoje dalej Engler nacisnął na klamkę. Systematycznie przemieszczał się do przodu. Pokój za pokojem.

Również te drzwi zatrzasnął rozczarowany

- Widzi pan nożyczki na drugiej półce od dołu? Stern sięgnął po błyszczący chłodny kawałek metalu.

- Dobrze. Niech je pan weźmie i poczeka, aż wejdzie Engler. - „Głos” również zaczął teraz szeptać. - Odczeka pan aż do chwili, kiedy zobaczy ciało. Wtedy moment zaskoczenia będzie po pana stronie.

- I co potem?
- Wepchnie mu pan nożyczki prosto w serce.
- Oszalał pan?

Metal w dłoni Sterna zaczął go nagle palić żywym ogniem. Czy to wszystko było snem? Czy rzeczywiście stał uzbrojony w pokoju, w którym pod sufitem wisały zwłoki, i rozmawiał przez telefon z jakimś psychopata?

- Widzi pan jakieś lepsze wyjście?
- Nie, ale nie zabiję człowieka!
- Czasem jest to najlepsze rozwiązanie.

Na korytarzu znów zatrzeszczało. Engler przechodził do kolejnego pokoju.

Zniekształcony „głos” zaśmiał się zimno.

- No dobrze, rozumiem. W takim razie muszę inaczej pana wesprzeć.

Stern na mokrej od potu twarzy poczuł przeciąg, jakby ktoś otworzył okno. To nie mógł być Engler, bo akurat szedł dalej korytarzem. Jeszcze dwa kroki. Najwyżej trzy. Skręci za rogiem i zauważy drzazgi na podłodze. W każdej chwili liczył się z tym, że w progu zobaczy czubki butów policjanta.

- Halo? - usłyszał nagle czyjeś wołanie. Serce waliło mu jak młotem, tłocząc coraz wolniej płynącą krew.

To nie może być prawda.

„Głos”. Przez cały czas był tu obecny. W następnym pokoju. W przeciwieństwie do kroków Englera gumowe podeszwy mordercy nie wydawały żadnego dźwięku.

- Szuka mnie pan?

Stern wstrzymał oddech i zeszywniał, aż trzasnęło mu w uszach. Nagle zaczął słyszeć wszystko wokół siebie znacznie wyraźniej. Jednak nie był w stanie przyporządkować nowego głosu jakiegokolwiek znanej twarzy.

- Proszę wybaczyć mój strój, przeprowadzam właśnie pewien eksperyment - odezwał się mężczyzna, bez sztucznego zniekształcenia. Ale i tak jego głos brzmiał głucho, jakby mówił przez chusteczkę.

- Doktor Tiefensee? - spytał nieufnie komisarz.

- Nie, doktor poszedł akurat coś zjeść. Chociaż zaraz, co ja mówię. Ma pan szczęście. Właśnie wraca.

- Gdzie? - było ostatnim słowem Englera, które usłyszał Stern. Po nim nastąpiło krótkie stłumione stęknienie, wywołane elektrostatycznym trzaskiem. Brzmiało jak przepalająca się żarówka, tylko znacznie głośniej.

Paralizator elektryczny, pomyślał Robert. Wszystko krzyczało w nim, aby pobiec do drzwi i zobaczyć, co się dzieje na korytarzu. Jednak strach był większy. Nie przed Englerem. Nie przed aresztowaniem. Przed wariatem, którego naturalny głos usłyszał po raz pierwszy.

Oderwał dłoń od ust, nie pamiętał, kiedy ją tam przystawił. Usłyszał kroki. Gumowe podeszwy oddalały się.

Stern ostrożnie odsunął się od ściany, o którą się opierał, i na drżących nogach wyszedł z pokoju. W odpowiednim czasie, aby zobaczyć długowłosą postać, za którą zatrzasnęły się ciężkie drzwi wejściowe. Stern wzdrygnął się i spojrzął na Englera. Jak się spodziewał, inspektor leżał nieruchomo na podłodze z nienaturalnie wyciągniętymi ramionami i nogami, jakby wypadł z pędzącego auta.

Stern pochylił się nad nim i sprawdził tętno. Z ulgą, że komisarz ciągle żył, ostrożnie wycofał się do wyjścia. Przyspieszył nieco kroku, gdy wyszedł z gabinetu i pokonał pierwsze stopnie schodów. Na wysokości trzeciego piętra zaczął biec.

Jedną ręką trzymał się poręczy, zbiegając szybko w dół klatki schodowej. Kiedy wypadł z budynku na ożywioną ulicę, zdał sobie sprawę, że się spóźnił. I to bardzo. Długowłosa mężczyzna w białym lekarskim kitlu, który dopiero co unieru-

chomił Englera i wcześniej zamordował Tiefenseego, dawno już zniknął w tłumie turystów, biznesmenów i przechodniów. A razem z nim zniknęła cała prawda o Feliksie.

15.

Terraria nocnych zwierząt znajdowały się w piwnicy budynku drapieżników. Przyciemnione światło przypomniało Sternowi wypadki do kina, kiedy spóźniony odnajdywał swoje miejsce przy jaśniejszych scenach filmu. Wdychał wilgotne ciepłe powietrze.

Simon poprowadził go do grubej szyby, za którą frygały jakieś futrzaki z szeroko otwartymi oczami. Z jakiegoś powodu ludzie zaczęli szeptać, jak tylko wchodzili do ciemnego pomieszczenia. Również chłopiec szeptał.

- Te są fajne.

- Lori mały - odczytał Stern ze słabo oświetlonej tablicy informacyjnej, nawet nie spoglądając na drobne małpiatki. Ciągłe był w dużym szoku. Po ucieczce z gabinetu, Borchert przywiózł go tu na umówione spotkanie z Cariną. Stał teraz wśród nocnych zwierząt berlińskiego zoo, absolutnie nieprzygotowany na jakiegokolwiek nowe wrażenia. Po głowie kołowały mu te same pytania, które ciągle pozostawały bez odpowiedzi.

Kim jest „głos”? Skąd Simon wie o ciałach? Kto zamordował ich wszystkich w przeszłości? I dlaczego ktoś zabija teraz, starając się tego dowiedzieć?

Zaskoczony musiał przyznać, że te pytania nurtowały go wyłącznie z jednego powodu. Odpowiedzi na nie mogłyby zwrócić mu syna. Zamknął oczy.

Co za szaleństwo.

Z czasem zaczął mieć mocną nadzieję, że wspomnienia Simona stanowią dowód na nowonarodzenie. A co za tym idzie również na to, że Felix żyje. Wbrew obiektywnym faktom.

- Słucham?

Stern pochylił się do Simona, który pociągnął go za rękaw. Chłopiec powiedział coś, ale jego słowa rozmyły się gdzieś w ciemności.

- Carina zaraz przyjdzie? - powtórzył pytanie Simon.

Robert przytaknął. Przed chwilą poszła do toalety, aby w spokoju się wypłakać.

Kiedy spotkali się przed wybiegiem dla słoni, Carina był wściekła na niego jak nigdy dotąd. Tylko z pomocą zaprzyjaźnionego pielęgniarza udało się jej wyciągnąć Simona ze szpitala. Natychmiast chciała wiedzieć, dlaczego musiała wziąć na siebie takie ryzyko. Robert wszystko jej opowiedział. Szeptem, aby Simon nic nie usłyszał podczas spaceru po wyludnionym zoo. O DVD, chłopcu ze znamieniem i o niewiarygodnym zadaniu, jakie zlecił mu „głos”. Inaczej niż Borchert, Carina niemal od razu mu uwierzyła. Stern widział, z jaką otwartością przyjęła możliwość nowonarodzenia Felixa, znacznie szybciej, niż sam był na to gotów.

Gdy jednak opowiedział jej o okrutnej śmierci Tiefenseego, zrozumiała niebezpieczeństwo, w jakim się znalazła. Carina co prawda nie straciła panowania nad sobą, uwalniając się z jego ramion, ale wiedział, jak to odebrała. Błędem byłoby pobic za nią. Chciała zostać sama.

- Tak, zaraz do nas wróci - odpowiedział Robert i podeszli do kolejnego wybiegu.

- To dobrze. Bo Picasso powiedział, że przed czwartą musimy być z powrotem. Inaczej będzie musiał nas wydać.

Picasso? Stern przypomniał sobie wizerunek barczystego pielęgniarza. Choć dziś rano wpadł na niego i na starego fana ABBY, to wydawało się, że ta scena pochodzi z zupełnie innego życia. Przynajmniej tyle łączyło go Simonem.

- Nie martw się - uspokajał, głaskając chłopca po głowie. - Tak samo jak wykrywaczem kłamstw

- Zdałem - takie było pierwsze słowo, którym go przywitał. Stern wiedział, co chłopak musiał przeżywać. Wynik testu uwolnił go od podejrzenia o kłamstwa, ale jednocześnie naznaczył jako mordercę. Simon mówił prawdę. Informacja ta ucieszyła Roberta, czego trochę się wstydził. Im bardziej zagadkowa stała się dla niego tajemnica Simona, tym większą wiązał nadzieję z Felixem.

- Naprawdę nie musisz się bać - powtórzył Robert, zatrzymując się z Simonem przed terrarium z gryzoniami podobnymi do szczurów

- Jak to? Przecież wszystkie są w klatkach.

- Nie to mam na myśli. Mówię o twoich koszmarnych wspomnieniach. Nie napawają cię lękiem?

- No tak, trochę. Ale...

- Ale co?

- Ale może to jest moja kara.

- Za co?

- Może dlatego choruję. Bo wcześniej robiłem tak okropne rzeczy.

- Nie wolno ci tak myśleć, słyszysz? - Stern złapał chłopca za ramiona. - Ktokolwiek zabił tych ludzi, to Simon Sachs, który stoi teraz przede mną, nie ponosi za to żadnej odpowiedzialności.

- A kto?

- Właśnie próbuję się tego dowiedzieć. I dlatego potrzebuję twojej pomocy
Stern cieszył się, że piwnica z nocnymi zwierzętami była jeszcze mniej uczęszczana niż reszta zoo. Żaden przypadkowy zwiedzający nie mógł usłyszeć tej dziwacznej rozmowy. Postanowił na chwilę bardziej zagłębić się w urojenia Simona o reinkarnacji. Ruszyli dalej.

- Czy wtedy, piętnaście lat temu, miałeś inne nazwisko?

- Nie wiem.

- Wyglądałeś inaczej?

- Nie mam pojęcia.

Chłopiec stuknął palcem w szybę małego terrarium, w którym widać było usypaną z ziemi górkę i różne rośliny, ale żadnych zwierząt.

Dołączyła do nich Carina. Trzymała się nieco z tyłu, jakby nie chciała przeszkadzać w rozmowie. Sternowi przyszło na myśl, że to może nie był przypadek, że o ezoterycznych sprawach rozmawiali akurat przed klatką dla nietoperzy Żyjący tu, fruujący krwiopijcy „postrzegali” swoją rzeczywistość w obrazie odbicia fal ultradźwiękowych.

- Wiesz, dlaczego zabiłeś tych mężczyzn? - spytał.

Jeśliby ktoś przypadkowo usłyszał choćby tylko to zdanie, od razu zawiadomiłby ochronę.

- Nie wiem. Wydaje mi się, że byli źli.

Trach. Trach.

Stern przypomniał sobie mrugającą żarówkę w piwnicy, którą dziś rano opisał mu Simon.

Włączona. Wyłączona.

Zanim go spytał, czy może sobie coś jeszcze przypomnieć, Simon kaszlnął sucho. Stern spojrzał wystraszony na Carinę, która również to usłyszała. Natychmiast do nich podbiegła.

- Wszystko w porządku? - spytała przejęta, sprawdzając temperaturę na czole Simona. Poprowadziła go na środek pomieszczenia do dużej tablicy informacyjnej z wykazem wszystkich żyjących tu zwierząt. Było to najjaśniejsze miejsce w całej piwnicy Stern zobaczył ulgę na twarzy Cariny i sam od razu ją odczuł. Simon uśmiechnął się. Tylko się zakrztusił.

Robert wykorzystał okazję i wyjął z kieszeni płaszcza zmiętą kartkę. Biorąc pod uwagę, że przez ponad dziesięć lat leżała w dłoni martwej osoby, była w wyjątkowo dobrym stanie.

- Simonie, spójrz na to. Poznajesz?

Carina musiała odsunąć się na bok, żeby nie zasłaniać światła.

- To nie moje - stwierdził Simon.

Trach.

- Wiem. Jednak twój rysunek w klinice jest bardzo podobny.

- Troszkę.

- Kiedy go narysowałeś?

Trach.

- Po przebudzeniu. To mi się przyśniło dzień po terapii reinkarnacyjnej.

- Ale dlaczego? - Stern spojrział na Carinę, lecz ta wzruszyła tylko ramionami. - Dlaczego ta łąka?

- Przecież to nie jest łąka - powiedział Simon i znów zakasłał.

Stern zamknął oczy. Teraz był już pewien. Zakurzona żarówka zaczęła mru-gać, rzucając przerywane światło na wspomnienia Simona.

- Tylko co?

Gdzieś trzasnęły drzwi i mała dziewczynka kichnęła.

- Cmentarz - powiedział Simon.

Trach.

- A kto na nim leży?

Trach. Trach.

Stern poczuł dłoń, która wczepiła się przez płaszcz w jego ramię, jakby był złodziejem w sklepie. Był wdzięczny Carinie za ten ból. Odwrócił nieco jego uwagę od psychicznej grozy, wywołanej przez słowa Simona.

- Wydaje mi się, że ma na imię Lucas. Mogę was do niego zaprowadzić, jeśli chcecie, ale...

- Ale co?

- W grobie leży tylko jego głowa.

16.

Był taki zmęczony Najpierw mnóstwo pytań, potem usypiające szmery w ru-
rze, wreszcie świeże powietrze i na koniec mroczne światło w domu dla nocnych
zwierząt. Ale nie chciał usypiać. Wolał się przysłuchiwać. Jednak z minuty na
minutę było mu coraz trudniej. W samochodzie tak ładnie pachniało i łagodnie
kołysało.

Simon oparł głowę o miękkie ramię Cariny i zamknął oczy. Burczało jej w
brzuchu, domyślił się, że jest jej niedobrze. Nie czuła się najlepiej, odkąd zadrza-
ła w ramionach Roberta. Może też nie polubiła tłustego kierowcy, którego Stern
nazywał Borchertem i który tak dziwnie dyszał pod- czas mówienia. Chociaż na
zewnątrz było dość chłodno, miał na sobie cienki T-shirt z wycięciami w kształ-
cie półksiężyca pod pachami.

- Był ktoś z was już kiedyś w Ferch? - spytał Robert. Simon zamrugał, sły-
sząc nazwę miejscowości, o której powiedział im jeszcze w zoo. W zasadzie nie
miał już pewności, czy rzeczywiście tam znajdował się cmentarz. W tej chwili
było to jedynie mgliste przeczucie. *Ferch*, Pięć liter, które zamieniały się w
świecące wykrzykniki, jak tylko zamykał oczy

- Tak, leży niedaleko Schwielowsee, bezpośrednio za Caputh.

- Skąd to wiesz? - podejrzliwie spytał Stern kierowcę.

- Bo w pobliżu jest Titanic. To była kiedyś moja największa dyskoteka.

Carina przysunęła się bliżej do niego.

- Uda się nam przed szesnastą?

- Według nawigatora będziemy na miejscu za czterdzieści pięć minut. Może być ciężko. Nie pozostanie nam zbyt wiele czasu, żeby się rozejrzeć.

Stern westchnął, odwracając się do Cariny.

- Śpi?

Simon poczuł, jak się nad nim pochyla. Wstrzymał oddech.

- Tak, chyba tak.

- Muszę ci coś powiedzieć. Tylko proszę, odpowiedz szczerze, bo mam wrażenie, że powoli tracę rozum. Wierzysz w to wszystko?

- W co?

- Wędrowkę dusz, reinkarnację. Ze już kiedyś żyliśmy.

- Cóż, ja... - Carina zwlekała z odpowiedzią, jak ktoś, kto najpierw chce poznać reakcję rozmówcy, zanim się na coś zdecyduje. - Tak, chyba tak. Istnieją przecież niezbite dowody

- Jakie? - W pytaniu prawnika usłyszał wyraźne niedowierzenie.

- Znasz przypadek sześciolatniego Taranjita Singa?

Ponieważ nikt nie odpowiedział, Simon przyjął, że Stern przytaknął.

- Mieszka w Indiach, w Jalandharze. Zdarzyło się to naprawdę, niedawno był o tym reportaż. Reinkarnacja to stały element hinduizmu. Hindusi wychodzą z założenia, że każdy człowiek posiada nieśmiertelną duszę, która po śmierci przechodzi w inne ciało, czasem nawet w zwierzę albo roślinę.

- Nie wydaje mi się, żeby mnie to teraz interesowało - szepnął Stern bardziej do siebie i tak cicho, że Simon wcale go nie zrozumiał.

- Taranjit jest jednym z wielu dobrze udokumentowanych przypadków nowonarodzenia w Indiach. Znany naukowiec, Ian Stevenson, przeprowadził tam badania na ponad trzech tysiącach dzieci.

Stern mruknął z aprobatą.

- Słyszałem już kiedyś o nim.

- Co to za historia z tym Tanjukiem? - spytał Borchert.

- Taranjitem - poprawiła Carina. - Chłopiec twierdził, że jest nowym wcieleniem dziecka z sąsiedniej wsi, które zginęło w 1992 roku w wypadku samochodowym. Był w stanie przypomnieć sobie nieprawdopodobne szczegóły, chociaż nigdy nie opuścił swojej wioski.

- Pewnie przypadkowo usłyszał rozmowę rodziców o wypadku. Albo przeczytał o tym w gazecie.

- Tak się powszechnie sądzi. Ale posłuchajcie dalej.

Simon wyczuł, że serce Cariny zaczęło szybciej bić.

- Bardzo znany w Indiach kryminolog, Raj Singh Chauhan, szukał obiektywnego dowodu. Co więc zrobił?

- Poddał chłopca testowi na wariografie?

- Lepiej. Facet jest ekspertem w dziedzinie analizy sądowej pisma ręcznego.

Porównał próbkę pisma Taranjita z pismem zmarłego chłopca.

- Ach, proszę cię...

- Naprawdę. Tak było. Pisma były identyczne. I jak mi to wyjaśnisz?

Odpowiedź Roberta nie dotarła już do Simona. Chociaż postanowił, że przynajmniej jeszcze przez minutę postara się czuwać, nie mógł dłużej walczyć ze snem. Usłyszał imię Felixa, coś o „głosie” z płyty DVD i odpłynął. Koszmarny sen zaczął się jak zwykle. Tylko drzwi otworzyły się dziś trochę łatwiej. Nie miał też większych problemów, inaczej niż za pierwszym razem, w zejściu w dół po schodach prowadzących do ciemnej piwnicy.

Nagle szarpnięcie obudziło Simona.

- Nie możesz bardziej uważać? - warknęła Carina. Mówiła przez nos, jakby przed chwilą znów płakała.

- Sorry, myślałem, że mamy zieloną strzałkę – odburknął Borchert. Chwilę później siła odśrodkowa wcisnęła Simona jeszcze mocniej w piersi Cariny. Za zakrętem zaczęły się wertepy. Musieli jechać po bruku.

- Robercie, wiesz dlaczego dostałeś wczoraj ten film?

Simon powstrzymał się od ziewnięcia. Nie miał pojęcia, o czym teraz rozmawiali dorośli.

- Żebym wykonał brudną robotę za tych skurwieli. Mam znaleźć mordercę.

- Bzdura - zaprotestowała Carina. - Kto jest w stanie zmontować taki film, ze zdjęciami sprzed ponad dziesięciu lat, ten z pewnością nie jest zdany na pomoc obrońcy, który się przypadkowo napatoczył.

- Panienska ma rację - poparł ją Borchert.

- No to waszym zdaniem o co chodzi?

- Jeśli ktoś po wielu latach zadaje sobie tyle trudu, to w grę wchodzi dwie rzeczy. Pieniądze albo pieniądze.

- Bardzo śmieszne, Andi. Masz może jakąś bardziej konkretną teorię?

- Tak, pewnie. Simon powiedział przecież, że kołesie byli źli. Zatem bandyci. Może należeli do jednej bandy, gangu, czy czegoś tam. Myślę, że zrobili jakiś narkotykowy deal, przy którym zarobili sporo forsy. A że jeden z nich nie chciał się nią dzielić, załatwił wszystkich. Z wyjątkiem jednego.

- „Głosu” z DVD - powiedział Stern.

- No właśnie. On teraz szuka mordercy, żeby odebrać swoją dolę.

- Możliwe. Brzmi nawet przekonująco. Ale skąd mógł o tym wiedzieć Simon, skoro odrzucacie jego reinkarnację? I kim jest chłopak ze znamieniem? - zastanawiała się Carina.

- Na te pytania nie mamy odpowiedzi. Pewne jest jedno, Robercie. Jesteś wykorzystywany. Pytanie tylko, w jakim celu?

- Okej, dziewczyny. - Borchert zahamował. – Jesteśmy na miejscu.

Simon zmrużył oczy. Najpierw zatrzymał wzrok na dwóch kroplach deszczu, które niczym łzy spływały po przyciemnianej szybie. Później spojrzał na zewnątrz. Mijali równo przycięty żywopłot, za którym rozciągało się pokryte mokrymi liśćmi łagodne wzgórze. Widok poprawił się, gdy

Borchert zwolnił jeszcze bardziej. Simon uwolnił się z objęcia Cariny i przycisnął mokre od potu dłonie do zimnej szyby. Nie przypominał sobie wzgórze przed sobą. Ale piaskowego koloru kościół już kiedyś widział. Wyglądał identycznie jak na jego rysunku w szpitalnym oknie.

18.

- Nie wierzę.

Borchert zaśmiał się, przyjmując smutną minę uczestnika konduktu pogrzebowego. Czarnowłosej damie w krótkiej fryzurze z przedziałkiem pokazał język, a kiedy ta z oburzeniem się odwróciła, zrobił zeza.

- Mówię wam, ten dzień przejdzie do historii.

Również Stern musiał przyznać, że sytuacja była dosyć zabawna.

Gdy dziesięć minut wcześniej wchodzili do kościoła, nie mogli uwierzyć oczom i uszom. Przy surowym protestanckim ołtarzu stał krótko ostrzyżony mężczyzna o przyjaznym spojrzeniu. Pastor nie nosił duchownego stroju, tylko granatowy dwuczęściowy garnitur. Zamiast krawata wokół szyi miał owinięty i niezgrabnie związany zielony szal, co w pewien sposób dodawało mu sympatii. Podobnie jak mowa pogrzebowa, którą wygłaszał. Wspominał właśnie o upodobaniu zmarłego do tarzania się w błocie podczas licznych spacerów po lesie. Na dowód pokazywał zebrany nadnaturalnej wielkości zdjęcie nieboszczyka. Słuchający, w przeważającej liczbie kobiety, z nostalgią podziwiali rudego basseta, który za życia musiał ważyć co najmniej trzydzieści kilo.

„Ekumeniczne nabożeństwo w intencji zwierząt odprawiane przez pastora Ahrendta. W każdą ostatnią sobotę miesiąca”, widniało na wywieszonym przy drzwiach plakacie. Zauważyli go dopiero, gdy wychodzili za grupą ludzi z kościoła. Szutrową drogą w padającym deszczu udali się za kościół, a Stern po raz kolejny przeklinał się, że nie wziął ze sobą parasola. Mokra koszula przyklejała mu się do piersi, jakby wyjął ją prosto z prania. Jeśli dalej tak pójdzie, to podobnie jak Simon złapie zapalenie płuc. Całe szczęście, że chłopak został z Cariną w samochodzie.

- Nie mogę. - Andi zaśmiał się, jakby zakrztusił się ością. - Oni naprawdę niosą tłustego psiaka w trumnie.

- Co w tym dziwnego? Sam urządziłem taki pogrzeb mojemu pierwszemu psu.

- Jaja sobie robisz.

- Dlaczego? Byłem wtedy w wieku Simona. Bardzo się ucieszyłem, że ojciec zorganizował dla mnie wszystko. Tyle że pochowaliśmy go w ogrodzie, a nie na prawdziwym cmentarzu.

Zbliżali się do żywopłotu, odgradzającego oficjalny teren parafii od prywatnego schroniska dla zwierząt.

Stern przyspieszył kroku i dołączył do niezwykłego pastora, który akurat przytrzymał gościom furtkę. Przywitał Roberta uściskiem ręki i pełnym uśmiechem.

- Przepraszam bardzo, czy dojdę tędy na oficjalny cmentarz?

- Ach, pan nie należy do grona znajomych Hannibala? - spytał Ahrendt ze zdziwieniem.

- Niestety nie. Szukamy tu miejsca spoczynku dla... yyy.. dla ludzi. - Stern czuł się jak kiepski kłamca, chociaż nie powiedział nic niezgodnego z prawdą.

- Cóż, muszę pana rozczarować. Schronisko wydzierżawiło od nas ten teren. Naszej parafii brakuje pieniędzy, żeby zaspokoić zapotrzebowanie na miejsca pochówku dla ludzi. Musi pan pojechać do najbliższej miejscowości.

- Rozumiem.

Stern popatrzył za pastorem, który go przeprosił i poczłapał za konduktem na sam koniec zielonego pasa ziemi.

Borchert pokręcił głową, przypadkowo słysząc ostatnie zdanie wypowiedziane przez pastora.

- Zupełny świr. Prawdziwy cmentarz znajduje się dopiero w sąsiedniej miejscowości, ale dla zwierząt zarezerwowali całe cholerne boisko piłkarskie!

Łąka podzielona na parcele miała jakieś pięćset metrów kwadratowych. Mimo to zdawała się zadziwiająco mała, biorąc pod uwagę, na jaki cel została przeznaczona. Stern nie wyobrażał sobie, żeby w okolicy był aż tak duży popyt na pogrzeby dla zwierząt. Ilość rozstawionych kamieni sugerowała jednak zupełnie coś innego. Chaotycznie rozmieszczone i rozdzielone iglakami sterczały w ziemi jak krzywe zęby. Stern zdecydował się trochę rozejrzeć, zanim wróca.

- Zaczekam tu - krzyknął za nim Bordiert, zatrzymując się na suchym miejscu pod potężnym dębem.

Vertigo, Finka, Miki, Moli, Wanilia... Imiona zwierząt wyryte na nagrobkach były tak różnorodne jak ich groby. Na większości stał biały krzyż albo mały granitowy blok z prostymi inskrypcjami. Niektórzy właściciele wykazali nieco więcej inicjatywy i wynajęli ludzi do opieki nad nagrobkami. Na przykład przed Brankiem leżał świeży wieniec obok dwóch białych orchidei. A Kleopatra chyba naprawdę była królową kotów, zanim przed rokiem została zamordowana przez kierowcę samochodu. Tyle można było przynajmniej wyczytać z mosiężnej tablicy na miniaturowej piramidzie Cheopsa, która przyozdabiała grób.

- To przecież nie ma sensu - usłyszał krzyk Borcherta. - Nie znajdziesz tu Lucasa.

- Skąd możesz to wiedzieć? - Stern odwrócił się. W pobliżu dębu Borchert znalazł zieloną gablotę, którą od razu się zainteresował.

- Mam tu kompletną listę wszystkich zwierząt, które pochowano na tym cmentarzu. Od Abakusa do Żaby.

Krople wielkości rodzynek rozbijały się w nieregularnych odstępach o kark Sterna. Czuł się, jakby stał pod mokrym drzewem, którym ktoś mocno trząsał.

- Lucasa nie ma. Spadajmy stąd. Nie przekopujemy przecież całego cmentarza, nie wkurzając tamtych dziewczyn.

Stern spojrzał jeszcze raz na pastora, który odwrócony do nich plecami jakieś pięćdziesiąt metrów dalej kończył przemowę. Wiejący od jeziora Schwielow wiatr niósł ze sobą jego ostatnie słowa.

- Okej, idziemy - zgodził się w końcu Stern. *Na dziś wystarczy mi już martwych ciał.* Schylił się szybko, żeby zdjąć z czubka buta brązowy liść dębu, i zatrzymał się nagle.

Tu nie ma Lucasa - ostatnie słowa Borcherta powtórzył w myślach. Zasłonił ręką oczy przed deszczem i spróbował połączyć szczegóły obrazka, który widział

przed sobą, w logiczną całość. Obserwował przy tym otoczenie, jak przez brudną przednią szybę samochodu ze starymi wycieraczkami. Im częściej mrugał, tym bardziej rozmyty stawał się ogólny obraz.

Mała grupa z pastorem. Piramida Cheopsa. Orchidee.

Coś tu nie pasowało. Właśnie zobaczył coś niezwykle istotnego, ale nie potrafił tego do niczego przyporządkować. Jak ważny termin, zapisany w kalendarzu w złej rubryce.

- Co jest? - spytał Borchert, który musiał zauważyć napięcie Sterna.

Robert podniósł palec wskazujący lewej ręki, a drugą ręką wyjął komórkę. Jednocześnie wrócił do rzędu grobów na cmentarzu dla zwierząt.

- Simon śpi? - spytał. Carina odebrała telefon po pierwszym dzwonku.

- Nie, ale dobrze, że dzwonisz - nie usłyszał zmartwienia w jej głosie, ponieważ sam miał obawy. Przed pytaniem, które zaraz zada Simonowi.

- Daj mi go.

- Nie mogę.

- Dlaczego nie?

- On nie może teraz rozmawiać.

Stern klęknął przed jednym z tańszych nagrobków. Przeszywający ból promieniował od czoła do oczu, musiał odchylić głowę, żeby ból nieco zelżał.

- Źle się czuje?

- No pewnie. Co chcesz jeszcze od niego usłyszeć?

- Spytaj, proszę, co było na rysunku, który narysował w szpitalu. Proszę, to bardzo ważne. Spytaj, jak go podpisał.

Odłożono słuchawkę. Sternowi wydawało się, że słyszy skrzypnięcie drzwi, ale nie był pewny. W tle szeleściło i gwizdało jak przy kiepskiej jakości odbiorze radiowym. Trwało co najmniej pół minuty, zanim coś pisnęło na linii. Carina musiała przez przypadek nacisnąć jakiś przycisk, kiedy ponownie wzięła telefon.

- Słyszysz mnie?

- Tak. - Palce Sterna drżały, gdy przeciągał nimi po wyrytym w granicie napisie. Litera po literze. Odczytał imię w tej samej chwili, kiedy podała mu je Carina.

- *Pluto*. Simon podpisał obrazek *Pluto*. Ale powinieneś jak najszybciej do nas wrócić.

Stern już jej nie słuchał, jego odpowiedzi padały automa- tycznie.

- Dlaczego? - spytał cicho, ciągle patrząc na nagrobek z imieniem bohatera filmów rysunkowych. Z powodu deszczu wyglądał jak zatopiony w ropie.

- Natychmiast wracaj - zażądała Carina. Wreszcie zareagował na przebijają- cy w jej głosie strach. Nie mógł zrozumieć, kto lub co leżało w tym grobie i dla- czego.

Zwierzę ? Człowiek? Głowa?

Zastanawiał się, po co Simon przyprowadził ich w to miejsce, które odpo- wiadało rysunkom stworzonym przez chłopca i jedną z ofiar. W tym momencie mógł tylko wyjaśnić, dlaczego Carina była bliska wrzaśnięcia na niego.

- Co się stało, na Boga?

- Simon - odpowiedziała. - Twierdzi, że znów chce to zrobić.

- Ale co? - Stern wstał z kolan i spojrzał na Borcherta. - Co on chce zrobić?

Ico oznacza „znów”?

- Pospiesz się. Lepiej będzie, jak sam ci to powie.

Nikogo już tam nie było. Kościół stał pusty. Z trudem wyobraził sobie, że istnieją ludzie, którzy znajdują pocieszenie w tak prostym wnętrzu. Stern zdjął mokry płaszcz i przełożył go przez ramię. Natychmiast tego pożałował, gdy zaszkoczył go zimny przeciąg. W powietrzu unosił się zapach kurzu i starych śpiewników. Może i dobrze, że przez kolorowe witraże nie przebijało dziś słońce, bo odpadający tynk jeszcze bardziej rzucałby się w oczy. Stern nie dziwił się, że kościelny przymocował umierającego Chrystusa na ścianie, zakrywając w ten sposób kolejne oznaki starości budynku.

O intymnej atmosferze nie mogło być tu absolutnie mowy.

- ... nie wiem, co dalej. Czy robię dobrze? Źle? Powinienem to zrobić czy raczej...

Stern wstrzymał oddech i zwrócił uwagę na świszczący szept, dochodzący z przednich rzędów ław. Zauważył go oczywiście już przy wejściu. Simon. Z tej odległości wyglądał jak niska dorosła osoba. Stary zamyślony facecik, prowadzący dialog ze swoim Stwórcą. Stern zbliżał się powoli do szepczącego głosu. Jego podeszwy głośno trzeszczały na zakurzonej kamiennej posadzce.

- ...proszę, daj mi jakiś znak, czy...

Simon zająknął się i spojrzał do góry. Rozluźnił złożone ręce, jakby mu się zrobiło głupio, że został przyłapany na modlitwie.

- Przepraszam, nie chciałem ci przeszkodzić.

- Nie ma sprawy

Chłopak przesunął się o jedno miejsce.

Nic dziwnego, że coraz mniej osób chodzi do kościoła, skoro ławki są takie twarde, przemknęło Sternowi przez myśl, kiedy siadał.

- Zaraz skończę - szepnął Simon, kierując wzrok na ołtarz przed siebie.

Stern miał ochotę go złapać i wybiec z nim na zewnątrz, do Cariny, która z papierosem w ręku czekała razem z Borchertem przed kościołem.

- Modlisz się do Boga? - spytał cicho. Chociaż byli sami, mówili szeptem, jak wcześniej wśród nocnych zwierząt.

- Tak.

- Chcesz od niego coś konkretnego?

- To zależy

- Rozumiem, to nie moja sprawa.

- Nie o to chodzi. Uważam tylko...

- Co?

- No, yyy.. Raczej tego nie zrozumiesz. Ty przecież nie wierzysz w Boga.

- Kto tak twierdzi?

- Carina. Ponoć przydarzyło ci się coś strasznego i od tamtego czasu nikogo już nie kochasz. Nawet samego siebie.

Stern spojrzał na niego. W półmroku kościoła natychmiast zrozumiał, co mają na myśli wolontariusze w krajach rozwijających się, kiedy donoszą o pustych twarzach dzieci żołnierzy. Mali chłopcy z gładkimi buziami i śmiercią w oczach. Odchrząknął.

- Mówiłeś coś przed chwilą o jakimś znaku. Jakiej właściwie wskazówki oczekujesz od Boga?

- Czy mam dalej to robić?

On znów chce to zrobić, Stern przypomniał sobie słowa Cariny

- Co?

- No właśnie to.

- Chyba cię nie rozumiem.

- Usnąłem wcześniej w samochodzie.

- I znów coś ci się przyśniło?

Trach.

Świeca na ołtarzu zmieniła się w piwniczną lampę, która oświetlała we śnie wspomnienia Simona.

- Tak.

- Morderstwa?

- Dokładnie. - Simon odwrócił dłoń wnętrzem do góry i zerkał na nią ukradkiem. Jakby przed szkolnym dyktandem napisał na skórze kilka trudnych wyrazów. Ale oprócz delikatnych linii papilarnych Stern nie odkrył żadnej ściągawki, która pomogłaby teraz Simonowi znaleźć odpowiednie słowa.

- Już wiem, dlaczego podpisałem rysunek *Pluto*.

Trach.

- Dlaczego?

- To był jego ulubiony pluszak.

- Czyj?

- Lucasa Schneidera. Miał tyle lat co ja. To znaczy wtedy. Dwanaście lat temu.

- Myślisz, że go zabiłeś?

Wtedy. We wcześniejszym życiu?

Ból głowy Sterna wzrastał się, im bardziej zbliżał się w myślach do tego szaleństwa.

- Nie. - Simon spojrzał na niego zagniewany. Życie wróciło do jego oczu, chociaż gniewne. - Nie zabijałem przecież dzieci!

- Wiem. Ty nie, ale inni tak. Bandydzi?

- Tak.

- W takim razie byłeś kimś w rodzaju mściciela?

- Może.

Simon zadrżał.

Stern chciał już zawołać Carinę, mając nadzieję, że ma przy sobie odpowiednie lekarstwa, w razie gdyby nastąpił teraz kolejny atak. Wtedy zauważył łyżę na policzkach chłopca.

- Już dobrze, chodź. - Niepewnie wyciągnął rękę w stronę płaczącego dziecka. Jakby istniało niebezpieczeństwo poparzenia się. - Wyjdźmy stąd.

- Nie, jeszcze nie. - Simon pociągnął nosem. – Jeszcze nie skończyłem. Muszę go najpierw spytać, czy naprawdę mam to zrobić.

Trach. Trach. Trach.

Wydawało się, że już się uspokoiła, lecz piwniczna lampa migiała teraz szybciej niż dotychczas.

- Ale co?

- Nie wykonałem wtedy całego zadania.

- Nie rozumiem, Simonie. O co chodzi? Czego nie do-kończyłeś?

- Zabiłem wiele osób. Wiem to dobrze. Nie tylko tych dwóch, których już znalazłeś. Było ich więcej. Dużo więcej.

Ale nie załatwiłem jeszcze ich wszystkich. Brakuje jeszcze jednego.

Tym razem to Stern z trudem powstrzymał łzy. Chłopak pilnie potrzebował psychologa, a nie prawnika.

- I dlatego jeszcze raz wróciłem. Tak mi się wydaje. To moje zadanie. Muszę zrobić to jeszcze raz.

Proszę nie. Proszę, przestań już mówić.

- Zabić. Ostatni raz. Pojutrze, w Berlinie. Na moście.

Simon odwrócił się i skupił wzrok na figurze Chrystusa nad ołtarzem. Złożył ręce, zamknął oczy i zaczął się modlić.

POZNANIE

*Śmierć nie jest częścią bytu, tylko zjawiskiem pośrednim,
przejściem z jednej formy istoty śmiertelnej w drugą.*

Wilhelm von Humboldt

*Jeśli dusza wędruje, to tylko w stałej masie ludzi. Ale dziś jest ich
ponad sześć miliardów. Czy dzielą między sobą odłamki dusz?
Czy dziewięćdziesiąt dziewięć procent z nich to puste naczynia?*

Z dyskusji na internetowym forum
o możliwości reinkarnacji

*Nauka stwierdziła, że nic nie ginie bez śladu. W naturze nie ma
unicestwienia, jest przemiana. Wszystko, czego nauka mnie
nauczyła i nadal uczy, wzmacnia moją wiarę
w kontynuację naszej duchowej egzystencji po śmierci.*

Werner von Braun

*Jeśli wszyscy, o których się sądzi, że we wcześniejszym życiu
byli świadkami ukrzyżowania Chrystusa, rzeczywiście byliby
przy tym obecni, to podczas tego wydarzenia nie wystarczyłoby*

już miejsca dla Rzymian.

Ian Stevenson

TLR

Nie znajdował słów, by określić, jak bardzo frustrowała go sytuacja, w której się znalazł. Przełożył nad głową elastyczną taśmę policyjną i jednym gestem wskazał patologowi miejsce zbrodni. Engler zaplanował sobie wcześniej, że popołudnie spędzi przed telewizorem z paką chusteczek, czterema aspirynami i zgrzewką piwa, podczas gdy inni wykonają robotę za niego. Zamiast tego musiał teraz w ulewnym deszczu szukać czyichś zwłok. Albo raczej tego, co z nich pozostało. Głowa, którą znaleźli w grobie rottweilera, była tak mała, że mogliby ją zapakować w pudełko po damskich pantoflach.

Engler przedzierał się wściekły przez kałuże w stronę prowizorycznego namiotu z plandeki tuż za żywopłotem, który dawał jako takie schronienie. Odkąd zaczęło padać,

deszcz wzmagął się z minuty na minutę. Brandmann musiał regularnie walić kijem w dach, żeby wezbrana woda spłynęła po ścianach namiotu.

- Cholera! - usłyszał przeklinającego głośno Brandmanna. Woda wlała mu się za kołnierz, a Engler nie po raz pierwszy zachodził w głowę, w jaki sposób ktoś tak niezdarny dostał się do BKA. Gotów byłby zmówić trzy zdrowaśki, gdyby tylko ten palant zniknął. Wszyscy mogliby wtedy wrócić do sprawdzonej metody pracy, do której byli tak przyzwyczajeni.

- Jak tam pańska głowa? - zaczepił Brandmann Englera, kiedy ten trzęsąc się, wchodził do namiotu.

- Głowa? Gnojek trafił mnie paralizatorem prosto w plecy

- A jest pan pewny, że to nie był Stern?

- Ile razy jeszcze będzie mnie pan o to pytał? – Engler z trudem powstrzymał się od splunięcia na ziemię. - Maską chirurgiczna zasłaniała prawie całą jego

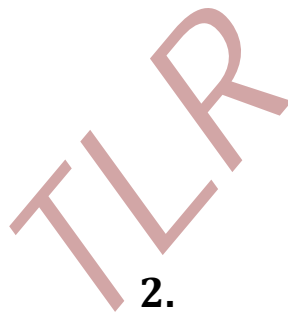
twarz. Ubrany był w fartuch lekarski i najprawdopodobniej nosił perukę. Nie, nie jestem pewien. Ale mówił inaczej i chyba był trochę niższy.

- Dziwne. Idę o zakład, że na miejscu znajdziemy odciski palców Sterna.
- A ja się założę, że...

Engler utknął w środku zdania, wyjął z kieszeni wibrujący telefon i spojrzał na obdrapany wyświetlacz, który sygnalizował połączenie z ukrytym numerem.

Przyłożył palec wskazujący do ust, chociaż Brandmann i tak nie miał zamiaru teraz nic powiedzieć, i otworzył klapkę telefonu.

- Halo?
- Miałem rację? - usłyszał znajomy głos Roberta Sterna.



Engler pociągnął nosem i przyjął z wdzięcznością kubek parującej kawy od policjantki w cywilnym ubraniu.

- Tak, niestety W grobie leży czaszka.
- Ludzka?
- Tak. Ale po co nas pan o tym informuje? I skąd znowu wie pan o tym grobie?

Stern zamilkł na chwilę, jakby szukał odpowiedzi.

- Od Simona - wyznał w końcu.

Engler po chwili zastanowienia ustawił telefon na funkcję głośnomówiącą. Służbowa komórka była marnej jakości i Brandmann musiał podejść bliżej, żeby nie stracić żadnego słowa z rozmowy

- Bzdura, Stern. Niech pan się przyzna. W jaki sposób jest pan zamieszany w tę sprawę?

- Nie mogę tego panu powiedzieć.

Dwóch rozmawiających głośno policjantów zbliżyło się do namiotu. Engler wściekłym machnięciem ręki zmusił ich do milczenia, a oni ostrożnie się wycofali.

- To w takim razie dlaczego znów pan dzwoni?

- Potrzebuję czasu. Proszę, by pan przyjął wskazówkę o cmentarzu jako dowód, że nic przed panem nie ukrywam. Simon jest dla mnie taką samą zagadką, jak dla pana. Ale rozgryzę go. Uda mi się to, gdy zostawi mnie pan w spokoju.

- Obawiam się, że jest już za późno.

- Dlaczego? Nie popełniłem żadnego przestępstwa.

- Mam trochę inne zdanie. Znaleźliśmy pana samochód.

Zupełnie przypadkowo zaparkowany w pobliżu firmy transportowej w Moabicie.

- Wlepcie mi mandat, jeśli stanąłem w niedozwolonym miejscu.

- Opis mężczyzny, który otworzył tam lodówkę ze zwłokami, dziwnym trafem pasuje do pana. Zadziwiające, co? A propos złego parkowania. Czarny jeep stał dziś przy Hackeschen Markt zaparkowany na drugiego. Przed prywatną praktyką Tiefenseego. Był tam pan?

- Nie.

- A niejaki Andreas Borchert? Sprawdziliśmy numer rejestracyjny. Wygląda na to, że znowu jest pan blisko z tym gwałcicielem.

- Andi został uniewinniony.

- OJ. Simpson też. Zostawmy to. Ważniejsze jest, że z pana powodu znowu musiałem kazać odgrodzić miejsce przestępstwa.

- Czy przekazałbym panu te informacje, gdybym faktycznie zabił tych ludzi?

- Nie. Nie wierzę też, że jest pan mordercą, Stern.

To były jedyne słowa, które gładko przeszły Englerowi przez gardło.

- Tylko co?

Słońce już zaszło. Z każdym kolejnym zdaniem zapadała wokół nich coraz większa ciemność. Engler był wdzięczny za latarkę, która dawała pod namiotem trochę światła. Odczekał chwilę i spojrzał pytająco na Brandmanna.

Naprawdę powinien to zrobić? Wszystko w nim sprzeciwiało się temu, lecz ponieważ psycholog kryminalny przytaknął zachęcająco, Engler trzymał się strategii, którą uzgodnili wcześniej z komendantem Hertzlichem.

- Świetnie, coś panu teraz zdradzę. Ale tylko dlatego, że jutro przeczyta pan o tym w każdej gazecie. Mężczyzna z siekierą w głowie to Harald Zucker. Ten z lodówki to Samuel Probtjeszki. Pierwszy przypadł piętnaście lat temu, drugi dwanaście. Chce pan wiedzieć, dlaczego do dziś kompletnie nas to nie obchodziło?

- To byli przestępcy.

- Zgadza się. I to najgorszego typu. Morderstwa, gwałty, prostytutka, tortury. Popelnili najpoważniejsze wykroczenia zapisane w kodeksie karnym, pozostawiając za sobą krwawy ślad w całym kraju. Nie nadążaliśmy po nich sprzątać.

Engler usłyszał, jak Brandmann zapala papierosa.

- Sądzymy, że Zucker i Probtjeszki należeli do jednej grupy psychopatów. Oni nie są jedynymi, którzy w ostatnich latach zaginęli bez śladu. W sumie mamy siedem niewyjaśnionych przypadków.

W oddali funkcjonariusze od zabezpieczania śladów sprawdzali, przyświecając sobie lampami halogenowymi, mokrą ziemię. Dwóch jego ludzi ubranych w białe kombinezony siedziało w kucki w błocie i odkrywało kolejny grób. Możliwe, że Pluto nie był jedynym kamuflażem. Engler przypomniał sobie Charliego.

Na szczęście biednym zwierzęciem opiekowała się dziś przyjaciółka, właścicielka labradora Gassiego. Pewnie wyszli na spacer, chociaż wątpił, by przy tej pogodzie sprawiło to psu przyjemność.

- A co z ostatnim znaleziskiem? - spytał Stern trochę roztargniony Jakby trawił jeszcze ostatnie informacje. – Jak to pasuje do całej reszty? To było dziecko, prawda?

- Tak. Przypuszczamy, że to Lucas Schneider. Idzie na konto Probtjeszkiego. Ofiara nieudanego wymuszenia okupu. Ciało chłopca znaleźliśmy dwanaście lat temu na wysypisku śmieci. Głowy nie udało nam się odnaleźć. Do dziś.

Engler sięgnął do kieszeni spodni po chusteczkę do nosa. Spóźnił się i kichnął głośno, zakrywając dłonią nos. Ktoś mu kiedyś powiedział, że w ten sposób zwiększa ciśnienie w czaszce i ryzykuje przez to apopleksję, ale nie wyobrażał sobie, że miecz Opatrzności powali go akurat na cmentarzu dla zwierząt.

- Po co opowiada mi pan to wszystko? - usłyszał pytanie Sterna.

Engler skinął głową i spojrzał zły na Brandmanna. Dokładnie to pytanie zadał wcześniej podczas narady z Hertzlichem. Ich podstęp był tak marny, że każdy głupek by się zorientował. A tym bardziej Stern.

- Bo pana przejrzałem - odpowiedział niechętnie, co wcześniej ustalili.

- Ooo, teraz jestem bardzo ciekaw.

- Stern, pan nie jest zawodowcem. Popełnia pan zbyt wiele błędów. Jediną mądrą rzeczą, którą pan dotychczas zrobił, była zamiana komórki na telefon satelitarny, z którego właśnie pan do mnie dzwoni. Ale to pewnie był pomysł Borcherta.

- Ja nie uciekam. Nikogo nie zamordowałem.

- Przecież wcale tego nie powiedziałem.

- Tylko co?

- Okej, wyliczę panu wszystkie fakty. Po pierwsze, w ostatnich latach znikło z pola widzenia siedmiu psychopatów. Jeden po drugim. Po drugie, dwóch z nich właśnie nam pan dostarczył. Martwych. I po trzecie, jest pan obrońcą.

Stern jęknął po drugiej stronie linii.

- A co to ma wspólnego ze sprawą?

- Pana zawodem jest zadawanie się z wyrzutkami społeczeństwa. Simon nie ma z tym wszystkim nic wspólnego. Został podstawiony. Przypuszczam nawet, że któryś z pana zboczonych klientów zdradził panu miejsca, w których ukryte są ciała.

- Po co miałyby ktoś to robić? Z jakiego powodu?

- Może ten klient ukrył przy ofiarach coś, co teraz musi pan dla niego odebrać? Nie mam pojęcia. Ale zdradzi mi to pan. Najpóźniej, kiedy pana złapię.

- To jest śmieszne. Kompletny absurd.

Engler rozgonił niewidoczną chmurę dymu z papierosa Brandmanna, która szczypała go w oczy

- Tak pan myśli? Sąd uznał to za bardzo przekonujące, gdy pół godziny temu podpisywał nakaz aresztowania. Zresztą również dla Cariny Freitag i Borcherta za współudział w uprowadzeniu dziecka.

Engler rozłączył się. Zdziwił się, gdy Brandmann wyciągnął do niego swoją grubą łapę.

- Co jest? - spytał wzburzony rozmową, która jego zdaniem już od początku zmierzała w złym kierunku.

- Komórka - poprosił Brandmann.

- Co chce pan z nią zrobić?

- Oddać technikom, może jednak uda im się coś namierzyć. Również przy ukrytych numerach...

- ...istnieje możliwość namierzenia rozmówcy A, wiem. - Engler rzucił mu swój aparat i podszedł krok bliżej. - To był ostatni raz. Nigdy więcej nie wezmę w tym udziału, jasne?

- W czym?

- W tym teatrze. Może się mylę, a Stern faktycznie ma coś wspólnego z tymi morderstwami. Ale sami strzelamy sobie w kolano, kiedy wtajemniczamy go w nasze dochodzenia.

- Jestem innego zdania. Nie słyszał pan jego głosu? Podnosił go z minuty na minutę. Oznacza to, że wzbudził pan w nim strach. Stern jest amatorem. Niedoświadczonym, nerwowym cywilem, który ucieka z chorym na raka chłopcem. Jeśli stanie się jeszcze bardziej nerwowy, popełni błąd. Potknie się, upadnie i wtedy będziemy mogli go, jak by to powiedział Hertzlich... - Brandmann rzucił niedopałek na udeptaną ziemię - ...rozgnieść jak muchę.

Przydeptując żar papierosa, psycholog kryminalny przeniósł cały ciężar ciała na prawą nogę, jakby chciał wbić długi gwóźdź w grubą belkę. Później opuścił namiot bez słowa pożegnania i pomaszerował przez kałuże w stronę samochodu.

Engler popatrzył za nim. Podczas gdy psycholog powoli zniknął z jego pola widzenia, zastanawiał się, czy zna kogoś w BKA, kto mógłby udostępnić mu teczkę personalną tego dziwnego komisarza.

3.

Stern przycisnął rozpaloną twarz do powierzchni lustra.

W ostatnich latach znikło z pola widzenia siedmiu psychopatów.

Słowa policjanta odbijały się echem w jego myślach, gdy patrzył na błyszczący parkiet do tańca dwadzieścia metrów pod sobą.

Biuro właściciela dyskoteki górowało niczym szklane orle gniazdo nad sercem kompleksu, który zaprojektował chyba jakiś pożałuj Boże kapitan. Ogromna dyskoteka już z daleka przypominała statek. Jej znak rozpoznawczy, pomalowany na różowo komin na śnieżnobiałym dziobie głównego budynku, wskazywał spragnionej tańca młodzieży drogę przez nocny Magdeburg. Borchert ciągle miał klucz, dlatego też Titanic dał im schronienie, przynajmniej na najbliższy czas. Dopóki nie zostanie otwarta dyskoteka dla gości.

Stern wybrał się na dół do trzech towarzyszących mu osób. Jak w pięciogwiazdkowym hotelu zjechał przeszkloną windą na poziom parkietu. Po drodze zastanawiał się, w jaki sposób przekazać im tę informację. Od tej chwili musieli się ukrywać. Byli poszukiwani. Borchert znalazł to uczucie. Ale dla Cariny z pewnością była to premiera. Drzwi windy otworzyły się i dopiero teraz usłyszał głośną muzykę.

- Hej, ten mały ma gust - krzyknął Andi. Stał na drugim końcu parkietu obok Simona i kręcił biodrami. Chłopak śmiał się żywo i klaskał w rytm rockowej piosenki.

- Podłączył do sprzętu iPoda Simona - wyjaśniła Carina. Stern drgnął, gdyż zupełnie nie zauważył, kiedy do niego podeszła.

Piętnaście metrów dalej Borchert odchylił głowę i pociągnął za sobą wyimaginowany mikrofon jak psią smycz.

- Musimy oddać się w ręce policji - Stern od razu przeszedł do rzeczy. Wy tłumaczył Carinie, że są poszukiwani. - Przykro mi - zakończył przedstawianie swej rozmowy z Englerem. Na próżno szukał w jej oczach jakiegoś znaku zaniepokojenia.

- Niepotrzebnie. Wszystko zrobiłam z własnej woli. To była moja decyzja - odpowiedziała Carina. - To ja doprowadziłam do waszego spotkania. Beze mnie nie wpadłbyś w takie tarapaty

- Dlaczego jesteś taka spokojna? - Stern przypomniał sobie nagle pewną scenę sprzed dwóch lat. Na parkingu przy McDonalddie. Kiedy z nią zrywał, a ona się uśmiechała.

- Bo się opłacało.

- Nie rozumiem.

- Spójrz tylko. Znam Simona już od półtora roku. Jeszcze nigdy nie widziałam go tak szczęśliwego.

Stern patrzył na Borcherta, który machał w ich kierunku. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek będzie potrafił patrzeć na świat oczami Cariny, Byli ze sobą niecałe dziesięć dni, kiedy postanowił się z nią rozstać. Na tyle wcześnie, żeby się w niej na całego nie zakochać. Gdy na pożegnanie dotknęła delikatnie jego policzka, dowiedział się o sobie czegoś najważniejszego. W jednej chwili zorientował się, że brakuje mu tego życiowego filtra, który tworzyła Carina, w każdej koszmarnej sytuacji eliminując z otoczenia negatywne czynniki i na koniec znajdując na skraju pola walki piękną różę.

Teraz znów widział błysk w jej oczach, małe zmarszczki od śmiechu. W tym momencie nie istnieli dla Cariny żaden bandyci, żaden rak mózgu i żaden pościg. Cieszył ją widok szczęśliwego chłopca, który po raz pierwszy w życiu tańczył w dyskotecie. Stern natomiast był coraz bardziej smutny. Żałował dziecka, na które nigdy się nie rozzłości, kiedy w weekend za późno wróci z tańców do domu, bo ze swoją pierwszą miłością zbyt długo zabawił w dyskotecie.

Rozpoczęła się następna piosenka, idealnie pasująca do jego smutnych myśli. Dźwięki melancholijnej ballady wypełniały salę.

- Hej, grają waszą piosenkę! - wyszczerzył się Borchert i zniknął za jonizującym słupem. Chwilę później coś syknęło i po parkiecie rozlała się chmura suchego lodu.

- Ekstra - ucieszył się Simon i usiadł. Jedyne brązowa czupryna wystawała ze sztucznej chmury.

- Musimy go odwiedzić do szpitala - zaprotestował Stern, gdy poczuł dłoń Cariny.

- Proszę. Jeszcze minutę.

Pociągnęła go za sobą na parkiet, tak samo jak pierwszej nocy poprowadziła go do swojej sypialni. Teraz też nie wiedział, dlaczego się na to zgodził.

- Nie możemy tu...

- Ciiii... - Przyłożyła palec do jego ust i pogłaskała go lekko po włosach. Przyciągnęła go do siebie w momencie, kiedy rozpoczął się refren.

Zawahał się. Jeszcze nie odwzajemnił jej ostrożnego objęcia. Czuł się jak przesyłka z nalepką „Ostrożnie szkło”.

Ze strachu, że coś w sobie uszkodzi, gdy ją mocniej przytuli, wstrzymał oddech. W końcu przewyciężył swoje głupie obawy i wyciągnął ramiona.

Pomyślał o przelotnym spojrzeniu, kiedy we wstecznym lusterku w samochodzie Borcherta zobaczył Simona śpiącego w jej ramionach. W pierwszej chwili nie potrafił opisać tego uczucia. Ale teraz wiedział, że była to mieszanka tęsknoty i żalu, która znów go wypełniała. Tęsknota za Felixem i za tak samo czułym dotykiem. Żal za tym, że odmówił Carinie obydwu tych rzeczy podczas nagłego rozstania. Własnego dziecka oraz mężczyzny w ramionach, do którego najwidoczniej nadal czuła pociąg. Chociaż niczym na to nie zasłużył.

Carina wyraźnie zdawała sobie sprawę ze sprzecznych emocji, jakie się w nim rozpałyły. Przekroczyła ostatnie psychiczne bariery, napierając na niego swym rozgrzanym ciałem. Stern zamknął oczy. Żal zniknął. Niestety tylko na krótką chwilę. Magiczna sekunda, podczas której wydawało mu się, że jej puls

tętni równo w takt muzyki, została przerwana przez nagły, ostry pisk. Zamarł w objęciu Cariny.

Jak to możliwe?

Borchert powiedział mu przecież, że nikt nie zna tego numeru. A mimo to na telefon satelitarny, który trzymał w kieszeni, przyszedł SMS.

4.

- Cholera, co tu się dzieje?

- Nie mam pojęcia.

Borchert wpisał nazwę strony internetowej i kliknął „przejdź”.

- Powiedziałeś przecież, że nikt nie zna tego numeru.

- Tak, tak mówiłem. Używam go wyłącznie w nagłych przypadkach. A nawet wtedy dzwonię ja, jasne?

Podobnie jak niektórzy berlińscy przedstawiciele gastronomii Borchert nie wszystko zapisywał w oficjalnych księgach. Kiedy księgowym, przekupnym dostawcom napojów czy nielegalnym pracownikom chciał zaproponować nie do końca zgodne z prawem warunki umów, ze względów bezpieczeństwa zawsze kontaktował się z nimi przez telefon satelitarny. A kiedy wszyscy według jego zaleceń wyjęli ze swoich komórek baterie, masywny aparat stanowił ich jedyny kontakt ze światem zewnętrznym.

- Co w takim razie się dzieje?

- Sądzę, że zaraz się dowiemy

Borchert wstał od biurka, ustępując miejsca Sternowi, który usiadł przed monitorem. Wszyscy natychmiast wrócili do biura po tym, jak odczytali SMS:

<http://gmp.sorbjana.org/net.fmx/eu.html>

Najpierw nic się nie wyświetliło. Serwer nadal pokazywał stronę domową dyskoteki Titanic.

- Sprawdź ustawienia proxy - odczytała Carina informacje na dole ekranu.

Wtedy cały ekran zrobił się nagle czarny. Na środku pojawił się jasny link i dziesięć sekund później otworzyło się okienko wideo wielkości kartki pocztowej. Stern nie znalazł nic istotnego. Nic, oprócz kilku migających światełek, które w nieregularnych odstępach przemykały po ekranie jak spadające gwiazdy.

Borchert ustawił głośniki na cały regulator. Bez efektu.

- Bez obrazu, bez dźwięku - mruknął. - Co za...

Kiedy dokończył zdanie, mówiąc „gówno”, telefon satelitarny znów zadzwonił. Kwadratowy wyświetlacz zasignalizował tym razem nieznaną numer.

Gdy Stern odbierał telefon, żołądek podszedł mu do gardła.

5.

- Nie trzymał się pan umowy!

Zniekształcony głos brzmiał trochę inaczej. Był teraz bardziej ludzki i pewnie dlatego też robił znacznie groźniejsze wrażenie niż na DVD.

Stern zastanawiał się, dlaczego mężczyzna nie zrezygnuje całkowicie ze sztucznej zmiany głosu. I tak przecież już raz słyszał jego naturalną barwę w ga-

binecie Tiefenseego.

Chociaż tylko kilka słów

- Skąd pan o tym wie? - Stern spróbował uniknąć odpowiedzi. Na próżno.

- Niech mnie pan nie okłamuje. Niech pan nawet o tym nie myśli. Tak pogrywać może pan sobie z policją. Oni są ograniczeni. Ja nie.

- Przyznaję. Rozmawiałem z Englerem. Ale wyłącznie po to, żeby zyskać na czasie. Nie powiedziałem mu nic o DVD i naszej umowie.

- Wiem o tym. Inaczej już byś nie żył.

Obraz na monitorze mignął i zmienił się kolor. Wyglądało to, jakby kamerzysta użył innego szablonu kolorów. Zielona poświata rozlała się po pomieszczeniu. Stern mógł wreszcie rozpoznać obraz. Kolana się pod nim ugięły.

- Uważam, że mój noktowizor daje idealny obraz cmentarza, czyż nie? Widzicie naszego przyjaciela Englera tam z tyłu? - spytał „głos”. - A Brandmann, jego gruby partner, pali spokojnie papierosa bez filtra. Na szczęście siedzę w suchym miejscu, podczas gdy te biedne psy z waszego powodu wyrabiają nadgodziny w deszczu.

- Skąd ma pan ten numer? - Ze wszystkich pytań, akurat to najbardziej nurtowało Sterna.

- Mój drogi adwokacie, czasem naprawdę się dziwię, jak bardzo jest pan naiwny. Przecież powinien już się pan dowiedzieć, w jaki sposób zarabiam pieniądze. Moje królestwo to internet. Tu wystawiam przedmioty na sprzedaż. I stąd też czerpię informacje. Proszę spytać Borcherta, w jaki sposób opłaca rachunek za telefon.

- Przez internet - mruknął Andi.

- Widzi pan. Jestem dobry nie tylko w zacieraniu po sobie śladów w sieci. Jestem także mistrzem w zdobywaniu informacji.

- Po co pan dzwoni?

- Chcę wam coś pokazać.

Stern poczuł, jakby za jego błoną bębenkową pękło naczynko krwionośne. W uchu pojawił się gwizd, potem usłyszał szum, który w końcu zmienił się w nieprzyjemne uczucie ogłuszenia.

- Poznaje je pan?

Carina przyłożyła dłoń do ust. Z ekranu znikło zielone nagranie z nocy Teraz wszyscy stali się świadkami niemiłosiernie powolnego ruchu kamery. Ujęcie zaczęło się od ogólnego widoku drzwi do pokoju dziecięcego, które ktoś odepchnął, a skończyło na zbliżeniu dwóch śpiących dziewczynek. Frida i Natalie.

Stern nie widywał często dzieci Sophie, ale nie miał najmniejszych wątpliwości, że to były jej bliźniaczki.

- Dlaczego pan to robi?

- Żeby pokazać, że mogę.

Przekaz był jasny i oczywisty. „Głos” był wszechobecny Kontrolował każdy ich krok. I nie cofnie się przed zamordowaniem dwóch czteroletnich dziewczynek, aby osiągnąć swój cel. Carina miała rację: Kto był tak bezwzględny i dysponował takimi możliwościami technicznymi, ten z pewnością nie korzysta z usług informatorów. Czego więc naprawdę chciał od niego morderca?

Kiedy Stern zastanawiał się nad tym pytaniem, na monitorze pojawiła się odpowiedź w formie kolejnego ujęcia. Najpierw zobaczyli tylko szarą betonową powierzchnię. Dygotała, jakby ktoś podczas joggingu filmował asfalt jakiejś ulicy Jakość nagrania była bardzo zła, więc Stern nie mógł zbyt wiele rozpoznać. Później kadr powędrował w górę.

- Tam z tyłu są drzwi - pierwsza odezwała się Carina. Stern i Borchert zauważyli je niemal jednocześnie.

- Co to jest? - spytał Robert w słuchawkę.

„Głos” zaśmiał się.

- Naprawdę pan nie poznaje?

- Nie. - Stern nie miał pojęcia, czemu mają służyć te kiepskie amatorskie nagrania.

Rozmyty obraz kogoś, kto biegł w stronę zamkniętych drzwi. Zupełnie nic nie przychodziło mu do głowy, aż wreszcie Borchert jęknął:

- Kurwa, to niemożliwe.

Otwartą dłonią uderzył się w ogoloną głowę.

- Jak to? Co się dzieje?

- Andi?

Zawołali Stern i Carina, ale Borchert nie zwracał na nich uwagi. Wysunął górną szufladę biurka, potem drugą. W ostatniej znalazł to, czego szukał. Do ręki wziął dziewięciomilimetrowy pistolet.

- Co to za drzwi?! - Stern krzyknął tak głośno, że siedzący na kanapie Simon zakrył dłońmi uszy

Borchert nie odpowiedział. Wskazał na czerwony przycisk na biurku, z prawej strony obok komputera, który migał.

Włączony, wyłączony, włączony..

- Wejście dla personelu - odezwał się zachrypnięty Borchert. - Ktoś właśnie zadzwonił.

6.

Miłość to...

Tylko kartka z pozdrowieniami. Nic więcej.

Gdy otworzyli drzwi i Borchert wyskoczył na zewnątrz z odbezpieczoną bronią, Stern liczył się z tym, że będzie bezradnym świadkiem egzekucji.

- On nie jest sam. *Zabiją* cię. *Zginiesz*, jeśli tam wyjdiesz!

Borchert skwitował wszystkie ostrzeżenia jednym spojrzeniem, które Sternowi nie pozostawiało wątpliwości. Andi sprawiał wrażenie, jakby od tej chwili kontrolę nad nim przejęły najniższe instynkty

Wypadł na zewnątrz, ale nie było tam nikogo, z kim Borchert mógłby walczyć. Nic oprócz zafoliowanej kartki formatu A4 z pozdrowieniami w kolorze łośosiovym.

Stern podniósł kartkę z wycieraczki, podczas gdy Borchert wykrzykiwał swój nadmiar agresji:

- Wyłaź, ty gnoju! Tchórz! Zaraz cię załatwię...

Jego głos dochodził aż do lasu, dokąd musiał uciec doręczyciel.

„Miłość to... - Stern rozłożył kartkę. - ...gdy można sobie wszystko wyznać". Odczytał nadrukowaną naiwną formułkę. Pod nią wielkimi literami dopisał ktoś odręcznie: CO NOWEGO?

- No, podoba się wam mój drobny upominek?

Biegnąc na dół do wejścia dla personelu, Stern cały czas trzymał telefon przy uchu, żeby nie stracić nawet jednego słowa wypowiedzianego przez „głos". Teraz znów do niego mówił.

- Po co ten cały cyrk? - Robert ze wstrętem splunął na ziemię. Dopiero teraz zorientował się, jak wpłynął na niego wybuch Borcherta. Może nie był to dobry pomysł, żeby wrzeszczeć na potencjalnego mordercę. A może i tak nie mieli już nic do stracenia. - Pan jest chory.

- Kwestia podejścia.

Głęboki „głos" mimo sztucznego zniekształcenia brzmiał przenikliwie, jak basy podczas koncertu rockowego.

- Pierwszy dzień pańskiego ultimatum właśnie się skończył. Interesowałoby mnie, co udało się panu dotychczas ustalić.

Stern usłyszał w słuchawce klakson ciężarówki z oddali.

- Dlaczego mnie pan pyta? Przecież sam pan wie wszystko lepiej. Facet w lodówce. Głowa dziecka na cmentarzu. Boże, pan jest nawet tu na miejscu! O czym jeszcze mam panu opowiedzieć?

- O czymś, co mnie doprowadzi do mordercy Haralda Zuckera i Samuela Probtjeszkiego. Proszę się zastanowić. Co jeszcze wyznał panu dziś chłopiec?

- Nie za wiele. - Stern przełknął ślinę. Ochrypl już trochę od mówienia. Możliwe też, że się przeziębził przy tej fatalnej pogodzie. - Sam nie wiem, co mam o tym sądzić - zaczął niezdecydowanie. - Simon powiedział, że nie jest jeszcze gotowy. Znow chce kogoś zabić.

Cisza. Po raz pierwszy Stern odniósł wrażenie, że wyprzedzał przeciwnika o krok, nawet jeśli nie wiedział, w co grali.

- Chcę z nim porozmawiać.

- Z chłopcem?

- Tak, niech pan go da do telefonu.

Stern podniósł wzrok. Zupełnie nie zwrócił uwagi na to, dokąd doszedł za Cariną i Borchertem. Stali teraz na parterze tuż przy parkiecie do tańca. Odtwarzacz mp3 Simona ucichł, ale w powietrzu nadal unosił się słodkawy zapach suchego lodu, który wkrótce zadymi papierosami prawie trzy tysiące gości.

- To niemożliwe. - Stern spojrział na Simona. Chłopak znalazł sobie miejsce przy barku z szampanem, gdzie kręcił się na skórzanym stołku.

- To nie była prośba. - Z każdym słowem „głos” stawał się coraz bardziej natarczywy - Niech mi go pan da. Chcę z nim porozmawiać. Natychmiast! Czy mam panu jeszcze raz pokazać nagranie bliźniaczek? Chce pan, żeby skończyły jak Tiefensee?

Stern zamknął oczy, tak mocno zaciskając powieki, że ciemność wypełniła się jasnymi błyskami. Zrobiło mu się niedobrze na myśl, co będzie musiał zaraz zrobić Simonowi.

7.

- Tak, słucham?

- Cześć, Simonie.

Chłopca zaskoczyło dziwne brzmienie głosu.

- Śmiesznie pan mówi. Skąd pan zna moje imię?

- Robert mi je podał.

- Ach tak. A jak się pan nazywa?

- Ja nie mam imienia.

- Eee? Jak to? Każdy przecież ma imię.

- Nie. Nie każdy. Bóg na przykład. On też nie ma imienia.

- Ale pan nie jest chyba Bogiem?

- Nie, chociaż jestem do niego bardzo podobny

- Naprawdę?

- Tak, ja też czasem mogę sprawić, że ludzie umierają. Tak po prostu. Rozumiesz mnie? Tacy ludzie jak Carina i Robert. A ty ich lubisz, prawda?

Simon otworzył i zamknął lewą dłoń. Swędziała go ręka i wiedział, co to oznaczało. Lekarze zawsze robili zatroskane miny, kiedy im o tym wspominał. Potem robili mu badania i puszczali impulsy elektryczne przez palce. Do dziś nie

mógł pojąć, dlaczego jego nerwy wariowały w lewej części ciała, podczas gdy guz usadowił się przecież w prawej półkuli mózgowej.

- Boję się pana - szepnął Simon, przytrzymując się błyszczącej chromowanej poręczy wokół baru. Ostrożnie wstał z krzesła, jakby zakręciło mu się w głowie.

- Przestaną, jeśli odpowiesz mi na jedno pytanie.

- Nic pan im wtedy nie zrobi?

- Słowo honoru. Jednak muszę się czegoś o tobie dowiedzieć.

- Czego?

- Robert powiedział, że chcesz jeszcze kogoś zabić. Czy to prawda?

- Nie. Nie chcę tego. Ale wiem, że to się stanie.

- Okej. Wiesz. A kto to będzie? Kogo masz zamiar zabić?

- Nie znam jego imienia.

- Jak on wygląda?

- Też nie wiem.

- Pomyśl o Robercie i Carinie. Przyjrzyj im się bardzo dokładnie. Nie chciałbyś chyba, żeby umarli, prawda?

Simon podążył za poleceniami „głosu” i odwrócił głowę.

Carina i Robert towarzyszyli mu przy barze. Telefon satelitarny nie miał opcji głośnomówiącej, dlatego stanęli bardzo blisko, żeby usłyszeć każde nawet pojedyncze słowo koszmarnego dialogu.

- Nie, nie chcę, żeby umarli.

- Dobrze. Jedno musisz wiedzieć. To, czy przeżyją, zależy wyłącznie od ciebie. Tylko od ciebie.

Swędzenie w ręce Simona nasilało się i słabło falowo. W tej chwili był szczyt.

- Ale co mam panu powiedzieć? Znam tylko datę, kiedy to się stanie.

- Kiedy?

- Pojutrze.
- Pierwszego października?
- Tak. O szóstej rano.
- A gdzie?
- Nie mam pojęcia. Spotkam jakiegoś mężczyznę. Na moście.

Simon odłożył telefon, kiedy okropny chichot stawał się coraz głośniejszy

8.

- Dobra, już wystarczy

Stern przejął telefon. „Głos” po drugiej stronie linii brzmiał, jakby właśnie dopadł go atak astmy. Robert odniósł wrażenie, że był wyśmiewany

- Co jest takiego śmiesznego w tym, co powiedział panu Simon?
- Nic. Pozdrawiam.

Trzask.

Poczuł, jakby zatrzasnęły się w nim jakieś drzwi. Ogarnęło go zimno.

- Co to znaczy? Co mam teraz zrobić?
- Zupełnie nic.
- A kiedy.. - Zmieszany zaczął się jękać. - Kiedy znów się pan do mnie odezwie?

- Nigdy więcej.

Trzask.

Drzwi zaryglowały się, odcinając mu ostatecznie dojście do wszystkiego, co tu się wydarzyło.

- Ale... nie rozumiem. Przecież nie podałem panu jeszcze żadnego nazwiska. - Kątem oka Stern widział Simona, który właśnie siadał na kanapie.

- Tak, i dlatego nasza umowa w tym momencie wygasła.

- Nie powie mi pan, co pan wie o Feliksie?

- Nie.

- Dlaczego?! Co zrobiłem źle?

- Nic.

- Proszę dać mi jeszcze trochę czasu, tak jak wcześniej ustaliliśmy. Powiedział pan, że mam pięć dni. Dziś jest dopiero sobota. Zdobędę dla pana nazwisko mordercy, a pan powie mi, kim jest chłopak ze znamieniem.

Stern spostrzegł z daleka zdziwione spojrzenie Cariny. Sam jeszcze nigdy nie słyszał tak błagalnego tonu w swoim głosie.

- Och, to mogę zdradzić panu już dziś. To pana syn Felix. Mieszka w przepięknej okolicy z przybranymi rodzicami.

- Co? Gdzie?

- Czemuż miałbym to panu powiedzieć?

- Bo trzymam się umowy. Zaprowadzę pana do mordercy. Obiecuję!

- Obawiam się, że to już jest nieaktualne.

- Ale dlaczego?

- No, niech się pan zastanowi. Mężczyzna, pojutrze, na moście. To przecież ja.

- Nie rozumiem.

- Dobrze pan rozumie. Jestem umówiony pojutrze o szóstej. Simon chce mnie zabić. Właśnie i pan się o tym dowiedział, a to wystarczy mi jako ostrzeżenie. Nie potrzebuję już od pana żadnych informacji. Żegnaj pana, panie adwokacie.

Stern usłyszał jeszcze dźwięk cichego całusa, zanim rozmowa ostatecznie się zakończyła.

9.

Szerokie opony samochodu prowadziły rozpędzony samochód po mokrym asfalcie autostrady. Stern siedział z tyłu obok Simona. Próbował skoncentrować wzrok na szarych domach czynszowych, które mijali z dużą prędkością. Chciał widzieć coś rzeczywistego. Nie ludzi, którzy otwierali trumny czy odcinali trupy od sufitu, tylko normalne rodziny, przygotowujące kolację, w których domu grał telewizor albo w weekend przyszli przyjaciele z wizytą. Jednak światła codzienności zbyt szybko przelatwały koło niego. Prawie tak samo szybko, jak jego myśli.

Przestępcy. Najgorszego typu. Morderstwa, gwałty, prostytutka, tortury. Popelnili najpoważniejsze wykroczenia zapisane w kodeksie karnym.

- Co masz na myśli? - spytała Carina.

Spinała sobie właśnie włosy w koński ogon. Stern zupełnie nie zauważył, że głośno myślał.

- Jeśli Engler mówił prawdę, to zamordowani byli znani ze swej brutalności.

Pozostawili za sobą krwawy ślad w całym kraju. Nie nadążaliśmy po nich sprzątać.

- Dopóki nie pojawił się ktoś, kto zabił morderców - odezwał się Borchert, mlaskając. Żuł już trzecią gumę, odkąd wyjechali spod Titanica w stronę Berlina.

Miał przy tym brzydkie przyzwyczajenie, żółte gumy przyklejał na deskę rozdzielczą.

- Tak. Mściciel, jeśli uwierzemy Simonowi. Załatwił ich wszystkich po kolei. Z wyjątkiem jednego. - Stern wychylił się do przodu. - Możliwe, że „głos” jest szefem całej bandy.

Zaczął rozmasowywać napięty kark. Mięśnie były twarde jak kości.

- To by przynajmniej wyjaśniało bezwzględny pościg za mordercą jego kumpli. - Borchert spojrział we wsteczne lusterko. - Biorąc pod uwagę cały jego wysiłek, to musi być sprawa osobista.

Mogłoby to również oznaczać, że największy psychopata jest jedyną osobą, która wie coś więcej o Feliksie. Możliwe nawet, że go przetrzymuje. Stera zachował tę myśl dla siebie, chociaż i tak wiedział, że Carina wyczuwała jego obawy

- Nie mogę się wycofać - powiedział cicho, bardziej do siebie niż do pozostałych. - Nie mogę teraz się poddać.

Zdawał sobie sprawę, że jego decyzja bazowała na dwóch szalonych hipotezach. Po pierwsze, wychodził z założenia, że wizja mordu, którą miał Simon, potwierdzi się w przyszłości tak samo, jak jego wspomnienia o przeszłości. Po drugie, wierzył „głosowi”, że jego syn żyje. Obie sytuacje były nieprawdopodobne, chociaż istniały obiektywne dowody na ich potwierdzenie. „Głos” wiedział o moście, znał dokładną datę!

- Wierzysz, że Simon znów się nie myli? - spytał Borchert, jakby potrafił czytać w Roberta myślach. Do dzisiaj Robert przypisywał tę właściwość tylko Carinie.

- Nie wiem.

Być może istniał ktoś, kto pojutrze o szóstej rano zjawi się na tym moście. Żeby zabić.

Ale kogo?

Pomimo wszystko Stern nie mógł uwierzyć, że Simon był wcieleniem seryjnego mordercy, który ponownie wrócił na ziemię, żeby ostatni raz zabić. Musiał istnieć inny realny mściciel. I Stern musiał go odnaleźć, jeśli chciał odkryć tajemnicę Felixa.

Kluczem jest most. Muszego znaleźć.

Miał zamiar właśnie podzielić się swoimi myślami z Cariną i Borchertem, kiedy stopa Simona zaczęła bezwiednie drgać.

10.

- Stój! - krzyknął Stern do Borcherta. - Zatrzymaj się!

Właśnie minęli autostradą otwarty teren lotniska Tempelhof.

- Dlaczego, co się... o cholera. - Bordiert odwrócił się do tyłu i od razu zrozumiał, dlaczego oberwał kopniaka w plecy Simon dostał ataku. Chociaż Stern z całej siły przytrzymał jego nogę, Simon co chwila kopał w oparcie przedniego siedzenia. Przewracał jednocześnie oczami, jakby był chory na wściekliznę.

- Zjadę w prawo - zakomunikował Borchert i włączył kierunkowskaz.

- Nie, nie rób tego.

Carina odpięła pasy i przecisnęła się na tylne siedzenie. Stern nie zorientował się od razu, bo zbyt mocno był zajęty Simonem. Jego skurcze wzmagały się. Zaczął się pienieć, tak mocno walił głową we wszystkie strony, że spadła mu peruka.

- Zrób miejsce - zażądała Carina i nie czekając na reakcję Roberta, wpełzła na siłę między niego i Simona. Stern przesunął się w prawo, ale i tak Karina niemal siedziała mu na kolanach.

- Moja torebka - rozkazała. - Gdzie jest moja cholerna... dzięki.

Borchert podał ją do tyłu. Rozsunęła zamek błyskawiczny, wyjęła białe etui mniej więcej wielkości kosmetyczki i zaczęła w nim grzebać.

- Dlaczego się nie zatrzymamy? - spytał zdumiony Stern.

- Kradzionym samochodem na pasie postojowym awaryjnego? Jak to sobie wyobrażasz?

Carina znalazła w torebce z lekami jednorazową strzykawkę. Rozerwała opakowanie zębami, po czym wypluła pod nogi kawałek folii. Wyjęła małą szklaną ampułkę, potrząsnęła nią i odwróciła do góry dnem, by wbić w nią igłę.

- Jedziemy dalej. Nie możemy zwracać na siebie uwagi.

Borchert skinął głową. To kombi „wypożyczyl” z podziemnego garażu Titania, i nie można było wykluczyć, że jego właściciel już powiadomił policję.

- Nie zwracać uwagi? - Stern zdenerwował się jeszcze bardziej. - I dlatego pozwolisz Simonowi umrzeć? Żeby nas nie aresztowano?

- Robert? - Carina wyjęła napełnioną strzykawkę z ampułki i podstawiła mu ją pod sam nos.

- Co?

- Po prostu zamknij się na chwilę!

Płaską dłonią przycisnęła Simona do oparcia i jednym wprawnym ruchem wstrzyknęła całą zawartość w prawy kącik ust. Jakby za wyciągnięciem niewidocznej wtyczki chłopiec uspokoił się w kilka sekund. Noga przestała drgać, za-

mknął oczy, a oddech powoli się stabilizował. Po kolejnej minucie Simon usnął zmęczony w ramionach Cariny.

- To jakieś szaleństwo. Musimy z tym skończyć. - Ponieważ Borchert ciągle jeszcze nie miał zamiaru się zatrzymać, Stern przesiadł się na miejsce z przodu, żeby mieć lepszą kontrolę nad sytuacją. - Skręć na najbliższym zjeździe i pędź prosto do szpitala. Sami przecież widzieliście. Chłopak natychmiast potrzebuje pomocy lekarza. Jego miejsce jest w szpitalu, a nie w tym koszmarze.

- Ach tak? Dlaczego?

- Dlaczego? Ślepa jesteś? Sama dopiero widziałaś...

- Wiesz, czego nienawidzę w was, prawnikach? – Carina wpadła mu w słowo. - Wy cholerni mądrale nie macie pojęcia o prawdziwym świecie, ale zawsze macie coś do powiedzenia. To był najzwyklejszy atak padaczki. Nie wyglądał pięknie. Nie jest to jednak przypadek dla oddziału intensywnej terapii. Gdyby Simon trochę wcześniej wziął karbamazepinę, uniknąłby tego drastycznego zabiegu.

- Co za brednie opowiadasz? Ważniejsze jest nie to, co go dopadło, tylko dlaczego. Pod czaszką rośnie mu guz. W takim stanie nie chodzi się do zoo, nie mówiąc już o odkopywaniu czyichś zwłok.

- Sam mówisz głupoty! Nie masz najmniejszego pojęcia, co dolega Simonowi. Nawet przez chwilę nie zainteresowałaś się jego chorobą. Nie zaprzeczysz temu. Simon ma guza w przodomózgowiu. Ale to nie oznacza, że przez dwadzieścia cztery godziny na dobę musi być pod nadzorem lekarza. Potrzebne jest to tylko podczas chemioterapii i naświetlania. Chłopiec co sześć tygodni przyjeżdża do szpitala, i to tylko na dwa tygodnie. Gdyby profesor Muller nie zdecydował, że powinni go teraz poddać kolejnemu naświetlaniu, spędzałby noce w normalnym domu dziecka.

- I to byłoby dla niego lepsze niż jazda z nami z jednego nocnego klubu do drugiego.

Borchert zaproponował, żeby spędzili noc w dyskotecie jego znajomego. Na zapleczu był tam tajemny pokój, który najpewniej oparłby się największej obławie policyjnej.

- Wiesz, co by nam Simon teraz powiedział, gdyby nie spał? - rzucił wściekle Stern i zaraz sam odpowiedział: - Zostawcie mnie w spokoju.

Carina pokręciła energicznie głową.

- Absolutnie wręcz przeciwnie. Powiedziałyby: „Nie zostawiajcie mnie samego”. Wiem, że nie lubi nocy Boi się ich. W domu dziecka i w szpitalu. Sami zauważyliście, jak bardzo się wcześniej cieszył. W zoo, w samochodzie, w tańcu.

- I płakał, widział trupy i miał atak.

- Te symptomy ma tak czy inaczej. Możemy je złagodzić, będąc przy nim, kiedy się obudzi. Oprócz tego wydaje mi się, że kompletnie nie rozumiesz jednej rzeczy, Robercie Stern. Nie chodzi tu o ciebie i Felixa, tylko przede wszystkim o Simona. Biedak umrze. Nie chcę, żeby umierał w przekonaniu, że kogoś zamordował, rozumiesz? Dlatego zwróciłam się do ciebie. Nie możemy zapobiec jego śmierci. Ale możemy zdjąć z niego wyrzuty sumienia. Nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo on jest wrażliwy. Świadomość, że wyrządził komuś innemu krzywdę, niszczy go doszczętnie. Po prostu nie zasłużył sobie na to po całym cierpieniu, które go dotknęło w tak krótkim życiu.

Stern nie wiedział, co odpowiedzieć na emocjonalny wybuch Cariny. W zasadzie doszli do tego samego wniosku. Tak jak bardzo szalony był pomysł uciekania przed policją ze śmiertelnie chorym dzieckiem, aby dotrzeć do tajemnicy jego reinkarnacji, tak samo mało sensu miałyby teraz decyzja o poddaniu się. Engler przesłuchiwałby ich godzinami, a później zamknął w areszcie. Na pewno też nie uwierzyłby w ich historię i nie spróbowałby powstrzymać dwóch morderców, którzy wkrótce mają się spotkać na jakimś moście. W stolicy było więcej mostów niż w Wenecji.

Jakakolwiek zbrodnia wydarzy się pojutrze o szóstej rano, wydarzy się bez świadków. Stern nie zapobiegnie jej ani nigdy się nie dowie, co naprawdę stało się z Felixem na oddziale noworodków.

- Na pewno dobrze zadbałaś o małego? - Borchert, który nieoczekiwanie włączył się w rozmowę, spojrzął szybko na odbicie Cariny w lusterku wstecznym.

- Nie mogę niczego zagwarantować. Ale wszystko mam przy sobie. Kortyzon, jego antyepileptyki i w ostateczności diazepam.

Stern obserwował jadącego przed nimi motocyklistę, który co dziesięć sekund zmieniał pas ruchu, jakby ćwiczył slalom.

- To nie wystarczy - powiedział po krótkiej przerwie.

Uniósł obie dłonie i splótł je za głową.

- Dlaczego nie? - spytała Carina. - Przez cały czas ma przy sobie pielęgniar-
kę, prawnika i bodyguarda. Czego jeszcze mu brakuje?

- Wkrótce się przekonasz.

Stern opuścił prawą rękę i dał Borchertowi znak, żeby zjechał z autostrady w kierunku Köpenick. Dziesięć minut później zatrzymali się przed drzwiami domu, którego progu nie chciał przekroczyć właściwie nigdy w życiu.

11.

Kiedy uderzyła go otwartą dłonią w twarz, wiedział, że mogą zostać. Pierwszy ruch, połowiczny cios w pierś, był śmiesznie nieskuteczny, co jeszcze bar-

dziej rozzłościło Sophie. Przyłożyła jeszcze raz. Mógłby się obrócić, odeprzeć albo przynajmniej złagodzić uderzenie ręką, ale zamknął tylko oczy i czekał na plaśnięcie połączone z palącym bólem, który rozlał się zaraz po lewej połowie twarzy od ucha do dolnej szczęki.

- Jak mogłeś? - spytała jego była żona głosem, który brzmiał, jakby trzymała pod językiem szklaną kulkę.

Stern odczuł, że postawiła mu tym samym jednocześnie trzy pytania: *Dlaczego zabrałaś mi z rak Felixa, chociaż nie chciałam go jeszcze puścić? Po co przychodzisz do mnie dziesięć lat później z tą lafiryndą? Jak mogłeś sprowadzić wspomnienia w postaci śmiertelnie chorego dziecka do mojego domu?*

Podszedł do ceramicznego zlewozmywaka, podstawił świeżą ściereczkę do naczyń pod strumień zimnej wody i przyłożył ją do czerwonego policzka. Kuchnia w willi z jasnymi, ciepłymi meblami z drewna była najmniej odpowiednią areną na tego typu kłótnię. Tak samo jak w każdym domu jednorodzinnym w Köpenick, również i tu dało się odczuć beztroską, przyjazną atmosferę, którą stworzyła nowa rodzina Sophie.

Nic dziwnego, że nie chciała go wypuścić, gdy dwadzieścia minut temu niezapowiedzianie pojawił się na jej werandzie. Borchert odłączył się od nich i pojechał dalej w poszukiwaniu własnej kryjówki. Jedyne dlatego, że Robert trzymał na rękach śpiącego Simona, Sophie zawahała się. Trochę za długo. Stern wykorzystał moment i wszedł do środka.

- Policja już tu była. - Sophie oparła się o stojącą na środku kuchenkę, nad którą wisiała kolekcja wyglądających na antyczne mosiężnych garnków. Robert nie był pewien, czy rzeczywiście ich używała, czy stanowiły jedynie element dekoracyjny. Chociaż rozpromieniony mąż na przymocowanym do lodówki zdjęciu wyglądał na zapalonego kucharza, który wie, jak się nimi posłużyć. Po ciężkim dniu pracy stawali zapewne przy kuchni, smakowali sos do pieczeni i przeganiali z uśmiechem bliźniaczki do salonu, kiedy te próbowały podjadać.

Już z tego tylko powodu Sophie podjęła dobrą decyzję, opuszczając go. Jedyny raz, kiedy chciał ją kulinarnie zaskoczyć, nie wyszła mu nawet zamrażana pizza.

- Co im powiedziałaś? - spytał.

- Prawdę. Przyszedł komisarz Brandmann. Nie miałam przecież pojęcia, gdzie jesteś i co zrobiłeś. Szczerze, Robertcie, nie chcę też tego wiedzieć.

- Mamo?

Sophie odwróciła się do drzwi, w których stała boso Frida z lalką w ręku. Sprana koszulka ze Snoopym sięgała jej aż do kolan.

- Co się stało, kochanie? Powinnaś już dawno leżeć w łóżku.

- Tak, ale chciałam jeszcze pokazać Simonowi Cinderellę.

- Tylko szybko.

- Ale ona nie ma rajstopek!

Nadaśana blondyneczka w lokach wyciągnęła w kierunku matki nagie plastikowe stopy swej ulubionej lalki. Sophie wysunęła jakąś szufladę i wyjęła z niej dwie bawełniane skarpetki wielkości napaństwa.

- Tych szukasz?

- Tak! - Frida rozchmurzyła się, zabrała matce z ręki skarpetki i poczłapała z powrotem z kuchni.

- Zaraz przyjdę zgasić światło - krzyknęła za nią Sophie. Matczyzny uśmiech zniknął jej z twarzy, a Robert znów miał przed sobą tę samą gniewną minę. Przez dobrą minutę nikt nie odezwał się słowem. W końcu Robert wskazał na telefon przy ścianie.

- Zadzwoń na policję, jeśli chcesz. Dobrze cię rozumiem, że nie chcesz dać się wciągnąć w moje problemy. Tym bardziej że twój mąż jest w podróży służbowej.

Sophie zmrużyła oczy

- Nie zmieniłeś się, co? Nadal myślisz, że potrzebuję w domu silnego męskiego oparcia, żeby poradzić sobie z życiem?

- Nie wiem. Już cię nie znam.

- To dlaczego przyszedłeś akurat do mnie?

- Jestem szantażowany

- Przez kogo?

- Kogoś, kto pokazał mi nagranie, jak umiera Felix.

Sophie zbladła tak szybko, jakby chciała stać się niewidzialna.

- To z tego powodu dzwoniłeś do mnie w środku nocy?

Stern przytaknął i przedstawił jej całą historię na tyle łagodnie, na ile potrafił. Opowiedział o DVD, ostatnim nagraniu ich dziecka i o żądaniach anonimowego „głosu”. Świadomie pomiął wątek chłopca ze znamieniem. Tak samo jak groźby mordercy wymierzone w bliźniaczki. W przeciwieństwie do niego Sophie niemal się udało przekroczyć próg nowego życia. Kolejne wątpliwości co do śmierci Felixa wepchnęłyby ją z powrotem w świat depresji, trosk i uzalania się nad sobą. To samo stałoby się, gdyby zaczęła się bać o życie córek. Okłamał ją więc. Powiedział, że „głos” pokazał mu film jako dowód swej władzy i że grozi teraz zabiciem Simona, jeśli nie będzie z nim współpracował.

Kiedy Robert skończył przedstawiać zmienioną wersję wydarzeń, Sophie wyglądała, jakby przygniotła ją ciężka żelbetowa belka.

- Naprawdę jesteś pewien, że...? - nie dokończyła zdania i chciała zaraz zacząć jeszcze raz, ale zrezygnowała, gdy Robert przytaknął.

- Tak, sam widziałem.

- No i jak? To znaczy, jak on...

- Tak, jak powiedzieli lekarze. Po prostu nagle przestał oddychać.

Ciemna plama na kremowej jedwabnej bluzce Sophie powiększyła się, a chwilę trwało, zanim Robert się zorientował, że to przez jej łzy.

- Dlaczego? - zaszlochała cicho. - Dlaczego tak rzadko do niego zaglądałam?

Przygotowany na gwałtowne odepchnięcie podszedł i wziął ją za rękę. Nie opierała się, ale nie odpowiedziała też na uścisk jego palców.

- Byłaś zmęczona, przeszłaś ciężki poród.

Wolną ręką Sophie przeczesła sobie włosy. Spuściła wzrok. Mówiła przez łzy:

- Nie jestem w stanie sobie przypomnieć. Jego uśmiechu albo zamkniętych oczek. Niczego. Wszystko zatarte. Nawet jego krzyk ledwo pamiętam. Zapach też powoli ucieka. Ten drogi francuski olejek, który kupiliśmy, pamiętasz? Może dlatego nie chciałam przyjąć tego do świadomości. Pachniał tak świeżo, kiedy miałam go ostatni raz na rękach. A teraz...

Stern natychmiast zrozumiał, co spowodowały jego słowa. Widocznie przez te wszystkie lata nadal żyła bezsensowną nadzieją, która teraz została zniszczona.

Zbliżył się do niej, spojrzał jej w oczy i zobaczył, że łzy już wyschły. Natychmiast puścił jej rękę. Gdyby przytrzymał ją jeszcze trochę dłużej, byłoby to dla niego czymś w rodzaju gwałtu. Krótka chwila intymności minęła.

Robert i Sophie milczeli jeszcze przez moment, później on odwrócił się i zostawił matkę swojego syna samą w kuchni. Szukając Simona, Cariny i miejsca do spania, dotarł po cichu na schody do piwnicy. Słyszał szalejący na zewnątrz nieprzyjemny zimny wiatr, wspomagany smugami deszczu, odniósł wrażenie, że to tylko cicha zapowiedź niezwykle burzliwej nocy

12.

Pokój dla gości znajdował się w suterenie. Stern zdjął buty i w ubraniu położył się między Simonem i Cariną, którzy spali już tak twardo, że kompletnie nie

zwrócili na niego uwagi. Leżeli pod cienkim kocem po obu stronach dużego łóżka. Niczym stare małżeństwo, które się pokłóciło i przed zaśnięciem chciało być jak najdalej od siebie.

Stern wiedział, jak to wykorzystać, i wcisnął się w środek. Carina zwykle kręciła się podczas snu. Gdyby przyszedł pięć minut później, z pewnością zajęłaby przytulona do Simona cały materac.

Ogrzewanie ustawione było na maksimum. Ale Stern i tak miał dreszcze, kiedy powracały przerażające obrazy mijającego dnia.

Ciało w lodówce, Tiefensee, cmentarz. No i ciągle Felix.

Obrócił się na bok i spojrzał na Carine. Wyciągnął rękę ku jej nagiemu ramieniu, które wychylało się spod koca. Była bardzo delikatna, lecz miał wrażenie, że bardzo mocno mogłaby go objąć, gdyby tylko przelotnie ją dotknął. Gęste, lekko kręcone włosy Kariny rozłożyły się na poduszce niczym wachlarz. Leżała na boku.

Stern uśmiechnął się. Dokładnie w tej pozycji zobaczył ją po raz pierwszy. Z wysuniętą ręką, w spodniach i z zamkniętymi oczami. Minęły już trzy lata od chwili, kiedy w drodze do swej pustej willi uległ nagłemu impulsowi i skręcił na parking sklepu z meblami. Podczas rundki po dziale z łózkami zauważył nagle na jednym leżącego manekina, wyjątkowo ładnego, prawie jak żywego. Wtedy Carina otworzyła oczy i uśmiechnęła się do niego.

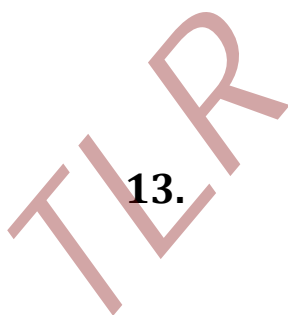
- Mam je kupić? - spytała. Godzinę później pomagał jej wnieść nowy materac na poddasze w Prenzlauer Berg.

Wreszcie zdał sobie sprawę, dlaczego od niej odszedł. Przed trzema laty. Po gorących godzinach leżał obok niej i czuł się, jakby potrafił zapomnieć. Jakby namiętne objęcia wymazały męczące wspomnienia i jakby nagle istniała wyłącznie terażniejszość. Tak samo jak wtedy, tak i teraz cofnął rękę. Czuł się winny. Nie miał prawa zaczynać nowego życia, w którym pamięć o Feliksie w końcu wyblaknie jak zdjęcia na kominku.

Następnego dnia z jakiegoś błałego powodu rozstał się z Cariną, zanim było za późno. Zanim się w niej zatracił.

Ta i tysiące innych myśli nie pozwoliły mu usnąć przez następne trzydzieści minut. W końcu jednak zmęczenie wygrało i wciągnęło go w ciemność snu. Uwięziony w nim nie czuł niespokojnych ruchów Cariny ani zimnego spojrzenia, padającego na jego kark.

Chłopiec odczekał jeszcze chwilę. Kiedy wreszcie usłyszał regularny oddech prawnika, odsunął ostrożnie koc, podniósł z podłogi perukę i na palcach wyśliznął się z pokoju.



Coś się rozbiło. Stłumiony brzdęk przedostał się przez dwoje drzwi, schody i jakieś dwadzieścia metrów pustej przestrzeni, zanim dotarł do pokoju gościnnego. Stern stęknął i sam przez to wyrwał się ze snu. Hałas usłyszał podświadomie. Ostatecznie obudziła go dłoń Cariny na jego twarzy

Robert, otumaniony zdecydowanie zbyt krótkim odpoczynkiem, uwolnił się z nieumyślnego objęcia. Przeciągnął się i docisnął zeszywniały kręgosłup do twardego materaca. Coś jednak było nie tak. Nie potrzebował dużo czasu, żeby zorientować się, co się zmieniło w ciemnym pokoju.

Stern poderwał się, zeskoczył z łóżka i wbiegł do przylegającej do pokoju łazienki. Pusta. Simon zniknął. Nie było go z nimi!

Szarpnął drzwi i w skarpetach pobiegł na górę. Nie wiedział, która jest godzina, jak długo spał. Na zewnątrz było ciemno, przez żaluzję nie wpadało żadne światło, co w berlińskiej jesieni mogło oznaczać każdą porę: późne popołudnie, środek nocy, wpół do czwartej rano... Oczy przyzwyczyły się już do ciemności w korytarzu. Docierały do niego typowe odgłosy śpiącego domu: trzaski ogrzewania, zegar w salonie, szum lodówki.

Lodówka!

Stern rozejrzał się dookoła i zauważył światło. Na końcu korytarza świecało pod zamkniętymi drzwiami do kuchni.

- Simon? - zawołał cicho. Na tyle ostrożnie, żeby nie obudzić nikogo na piętrze, ale wystarczająco głośno dla tego, kto czekał na niego za drzwiami. Skradał się po korytarzu, próbując zinterpretować przeciągłe mlaskanie, które docierało teraz do niego wraz ze światłem otwartej lodówki.

Stern żałował, że nie ma przy nim Borcherta, który znów pewnie niewiele myśląc, wpadłby do środka. Sam odważył się złapać za klamkę dopiero po chwili wahania. Wszedł do kuchni i jego tętno uspokoiło się. Poczul ulgę.

- Przepraszam. - Simon kucnął przed lodówką i ściereczką do naczyń wycierał białą ciecz z płytek podłogowych. Spojrzał przestraszony na Roberta i wstał. - Chciało mi się pić i szklanka wypadła mi z ręki.

- Nic się nie stało. - Stern spróbował rozluźnić twarz i uśmiechnął się krzywo. - Chodź tutaj. - Przytulił Simona, delikatnie przyciskając głowę chłopca do swego brzucha. - Przestraszyłeś się?

- Tak.

- Wiatru na zewnątrz?

- Nie.

- No to czego?

- Zdjęcia.

Robert cofnął się o krok i spróbował spojrzeć Simonowi prosto w oczy.

- Jakiego zdjęcia?

- Tego.

Simon ominął plamę mleka na podłodze i zamknął drzwi lodówki. Naraz znów zapanowała ciemność, jak na korytarzu. Stern włączył halogenową lampkę nad kuchenką.

- To niemowlę - powiedział Simon.

Zdjęcie, które Robert oderwał z drzwi, zrobiono co najmniej cztery lata temu. Mąż Sophie uśmiechał się nieco zmęczony do aparatu, próbując powstrzymać małe bliźniaczki przed poślizgnięciem się w plastikowej wanience.

- Jutro na moście. Chodzi o niemowlę. - Zdjęcie w jego ręce zaczęło drżeć.

- Śniło ci się to, Simonie?

- Mhm - potwierdził chłopiec.

Podczas gdy Simon mówił dalej, Stern spojrział prosto w światło, przez co pojawiły mu się przed oczami czerwone plamy.

- Przypomniałem sobie dopiero teraz, kiedy zobaczyłem to zdjęcie. Ze strachu upuściłem szklanę.

Stern znów spojrział w dół. Zarys kałuży przypominał mu kształt Islandii, co idealnie pasowało do zimna, które go nagle ogarnęło.

- Wiesz, co chcą zrobić z tym dzieckiem? - spytał. – Na moście.

Simon przytaknął zmęczony. Mokra ściereczka wyśliznęła mu się z dłoni.

- Sprzedać - odpowiedział. - Chcą je sprzedać.

TRANSAKCJA

Dusza nigdy nie umiera, raczej zamienia dotychczasowe mieszkanie na nowe, gdzie żyje i działa w nim dalej.

Wszystko się zmienia, jednak nic nie ginie.

Pitagoras

Nauka o reinkarnacji to groźba tysiącrotnej śmierci i cierpień powtórzonych milion razy.

Oficjalne stanowisko pewnej chrześcijańskiej rozgłośni radiowej w kwestii „reinkarnacji”

W odpowiedzi Jezus rzekł do niego: „Zaprawdę, zaprawdę, powiadam ci, jeśli się ktoś nie narodzi powtórnie, nie może ujrzeć królestwa Bożego”.

Ewangelia według św Jana 3,3

- Żartujesz sobie teraz, prawda?

Stern oderwał na chwilę wzrok od pasa ruchu i spojrział na Borcherta, który właśnie wkładał piłkarską koszulkę w barwach Bayernu Monachium.

- Dlaczego? Przecież jest całkiem fajna.

Jego towarzysz znów się pocił, dysząc, otworzył więc szybę w samochodzie. Również Stern był wdzięczny za chłodne poranne powietrze, które wdzierało się do środka z prędkością sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin spał mniej niż czterdzieści minut. Dziś rano udało mu się jeszcze wziąć prysznic i wybłagać u swojej byłej samochód, zanim odebrał Borcherta spod Kolumny Zwycięstwa. Wbrew oczekiwaniom Sophie bez wahania oddała mu klucze do auta. Była wyjątkowo chętna do współpracy. Pozwoliła nawet Carinie i Simonowi zostać jeszcze w Köpenick, do czasu aż Stern sprawdzi, czy jego plan działa.

- Posłuchaj - zaczął mówić trochę głośniej. – Siedzimy w najpopularniejszym małym samochodzie na świecie. Jest srebrny, a to ulubiony kolor lakieru na naszej planecie. Innymi słowy, nie mogliśmy wyobrazić sobie czegoś mniej rzucającego się w oczy. A teraz ty chcesz zmarnować nasz kamuflaż, wkładając to coś?

- Nie bulwersuj się. - Bordiert zakręcił z powrotem szybę w oknie. - Spójrz lepiej w lewo.

Przejeżdżali akurat obok filharmonii. Chodnikiem przed Staatsbibliothek szła grupa młodych mężczyzn w kierunku Potsdamer Platz. Stern pomyślał, że ma zwidy. Wszyscy mieli na sobie piłkarskie stroje.

- Dziś po południu jest absolutny hit bundesligi - wyjaśnił Borchert. - Hertha gra z Bayernem. Spójrz jeszcze raz w lewo.

Stern posłuchał i poczuł na prawym policzku moką pieczętkę.

- Co znowu?

- Ty też musisz się przebrać. Nieźle wygląda. - Andi zaśmiał się i tak przekręcił lusterko wsteczne, żeby Stern mógł zobaczyć logo drużyny na swojej twarzy. - Stadion olimpijski wyprzedany całkowicie. W mieście oczekuje się co najmniej trzydziestu pięciu tysięcy fanów Jak widzisz, niektórzy przyjechali już wcześniej. Wrzeszczą i włóczą się teraz po Berlinie. W samochodzie możesz zostać w swoim garniturku, ale tam na zewnątrz... - Borchert wskazał przez przednią szybę na Potsdamer Platz. - Tam nie ma dziś lepszego kamuflażu. Tu jest reszta naszego przebrania.

Świr, kompletny świr, pomyślał Stern, spoglądając krótko na tylne siedzenie. Borchert musiał obrobić jakiś sklep z pamiątkami. Szaliki, dresy, rękawice bramkarskie – mieli wszystko. Nikt nie będzie się ich spodziewał w takich ła-
chach. Tym bardziej że w stolicy krąży kilkadziesiąt tysięcy sobowtórów.

- Ale nie wiem, czy tak nas tam wpuszczą. - Stern skręcił w Kurfurstenstrasse i trochę zwolnił.

- Gdzie nas nie wpuszczą?

Opowiedział Borchertowi o swoich ostatnich przemyśleniach. Według Simona jutro rano odbędzie się spotkanie na jakimś moście, podczas którego dojdzie do sprzedaży niemowlęcia. Robert domyślał się, że dealerem jest „głos”, który został teraz ostrzeżony przed planowanym zamachem na jego życie podczas realizacji transakcji. Miał być zamordowany. Tak jak jego towarzysze we wcześniejszych latach.

- Musimy znaleźć kogoś, kto będzie mógł nam coś powiedzieć o handlu niemowlętami. Dzięki niemu znajdziemy most, a potem „głos”. Dlatego musimy zobaczyć się z ludźmi z pewnego establishmentu.

Gdy zdał sobie sprawę, do czego się przyznał tymi słowami, zrobiło mu się niedobrze. Jeśli chłopak ze znamieniem miał coś wspólnego z Felixem, jeśli ten chłopak faktycznie istniał, to jego los łączył się z szefem grupy przestępczej, która najwidoczniej specjalizowała się w handlu dziećmi. Z sadystą ściganym przez mściciela, którego Simon pomylił w snach z samym sobą.

Stern znów zastanawiał się nad tym, czy może istnieć jakieś logiczne wyjaśnienie tego szaleństwa. Znów zachodził w głowę, czy podmieniono wówczas Felixa, czy może go nawet odratowano. I znów musiał wykluczyć wszystkie irracjonalne rozwiązania. Tylko jeden chłopiec był wtedy na oddziale, Felix został pochowany, a przedtem przez pół godziny leżał martwy w ramionach Sophie. Ze znamieniem w kształcie Włoch na lewym ramieniu! Robert zajrzał jeszcze do trumienki, zanim poddano go kremacji. Z którejkolwiek strony by spojrzeć, możliwość, że jego syn nadal żyje, była tak samo przekonująca, jak fakt, że mały chłopiec wie o ludziach, którzy zostali zamordowani długo przed jego narodzinami.

- Halo, jest tu kto?

Stern nie usłyszał pytania, które zadał mu wcześniej Borchert.

- Pytałem, jak długo Sophie była wtedy sama w łazience.

Robert spojrział osłupiały na swojego towarzysza.

- W szpitalu? *Kiedy uciekła z Felixem do toalety?*

- Tak. Przecież słyszę, że twój mózg terkocze głośniejsze niż silnik tego gruchota. Przyszło mi więc na myśl, czy ty też już się nad tym zastanawiałeś.

Nad czym? Że Sophie ma z tym coś wspólnego?

- Żartujesz sobie? To jakieś szaleństwo.

- Nie aż tak wielkie, jak szukanie niemowlęcia, które pewnie istnieje tylko w wyobraźni małego chłopca.

- A co twoim zdaniem miałyby się wydarzyć wtedy w łazience? - Stern nie mógł powstrzymać złości, chociaż nie wiedział, dlaczego tak agresywnie zarea-

gował na tę sugestię. - Toaleta była zamknięta. Bez tylnego wyjścia. Myślisz, że w tym czasie urodziła martwe dziecko i wytatuowała mu szybko na ramieniu mapę Włoch?

- Dobra, dobra, zapomnij już o tym. - Andi podniósł uspokajającym gestem obie ręce. - Znajdźmy po prostu tego dzieciaka. Tylko dlaczego wlecemy się po ulicy dziwki?

Borchert obejrzał się za prostytutką, która apatycznie kiwała się na cienkich jak zapalki nogach przy krawężniku. Czerwona dzielnicą pomiędzy Kurfürstenstrasse, Lutzowstrasse i Potsdamerstrasse należała od zawsze do najmniej przyjemnych części Berlina. Większość dziewczyn już w wieku dwunastu czy trzynastu lat łapała wirusowe zapalenie wątroby i wskutek tego rzetelnie przekazywała chorobę swoim klientom, skuszonym najniższymi cenami za seks bez zabezpieczenia.

Było dopiero tuż po wpół do dziewiątej, ale nieletnie niewolnice w taki dzień jak dziś już od rana czekały na nawał turystów. Z ich usług nie korzystali jedynie włóczędzy i wyrzutki. Częściej natomiast dobrze usytuowani biznesmeni i ojcowie, którzy delektowali się władzą nad prawie dziećmi, żądając od nich niewyobrażalnych rzeczy tylko dlatego, że nie były one w stanie jasno myśleć z powodu narkotycznego głodu.

- Miałem kiedyś reprezentować pederastę – wyjawiał Stern, rozglądając się za wolnym miejscem do zaparkowania. - Facet chciał założyć w Niemczech polityczną partię pedofilów, by zalegalizować seks między dorosłymi i dziećmi powyżej dwunastego roku życia. Dzieciaki miały nawet mieć prawo grania w pornosach.

- To żart?

- Niestety nie.

Stern włączył kierunkowskaz i wjechał w sporą przestrzeń. Dziewczynka w rozdartych dżinsach i zielonej skórzanej kurtce zeskoczyła z szarego niskiego transformatora i podeszła do nich.

- Zanim odrzuciłem tę ofertę i odesłałem gościa do diabła, dowiedziałem się, gdzie najczęściej spędza czas w weekendy.

- Niech zgadnę.

- Dokładnie. Tu można dostać wszystko. Narkotyki, broń, zlecenie na morderstwo, nieletnie dziwki...

- I niemowlęta.

Stern zaparkował, a Borchert od razu otworzył drzwi. Szepnął coś do prostytutki w skórzanej kurtce, na co ta odpowiedziała, pokazując środkowy palec, i wróciła z powrotem na transformator.

- Na pewno zdarzali się już klienci, którym uzależniona prostytutka oddawała swe nowo narodzone dziecko - potwierdził Stern, który również wysiadł z samochodu. - Przyznaję, to nie wydarzyło się tu, tylko na czeskiej granicy. Ale może ułatwia nam to sprawę.

- W jaki sposób?

- Nawet w Berlinie handel niemowlętami jest czymś szczególnym. Jeśli Simon się o tym dowiedział, to na pewno wiadomo coś o tym i tu. Musimy tylko zapukać do odpowiednich drzwi. Może będzie za nimi ktoś, kto udzieli nam informacji.

- To od których drzwi chcesz zacząć?

- Tych. - Stern wskazał na otwarte wejście po drugiej stronie ulicy.

Pizzeria Jackos. Na brudnym szyldzie reklamowym niedbale przyklejono czarne litery

- Powinien być na drugim dziedzińcu. Prywatny dzwonek. Z prawej strony na pierwszym piętrze.

- Nielegalny burdel. Wiem. - Borchert klepnął się po mięsistym karku, jakby go komar ugryzł. W rzeczywistości dokuczały mu tylko krople potu, spływające z ogolonej głowy - Nie patrz tak. Przecież wiesz, na czym wcześniej zarabiałem pieniądze. Człowiek dowiaduje się czasem więcej, niżby się chciało.

- No cóż, to wiesz już chyba, do czego cię potrzebuję. Mam nadzieję, że masz przy sobie jeszcze jakąś broń oprócz własnego ciała.

- Mam. - Borchert pokazał na wystającą z kieszeni dresu rękojeść dziewięciomilimetrowego pistoletu. - Ale i tak tam nie wejdziemy.

- Dlaczego?

- Bo mam dużo lepszy pomysł.

- No, słucham.

- Z drugiej strony

Stern spojrzał na wielki sklep spożywczy na rogu ulicy, w kierunku którego jego towarzysz już maszerował.

- Ależ oczywiście - krzyknął za nim. - Zupełnie zapomniałem. Przecież tu sprzedają dzieci w supermarketach.

Borchert zatrzymał się na środku ulicy i odwrócił się.

- Tak, naprawdę to robią.

Jego wyraz twarzy, postawa i przede wszystkim ton głosu jednoznacznie zasignalizowały Sternowi, że Borchert mówił całkowicie poważnie.

Już w czwartym sklepie coś odkryli. Pierwszy supermarket był zamknięty, chociaż prawo zezwalało na handel w niedzielę, szczególnie kiedy w stolicy zapowiadało się ważne wydarzenie sportowe. W drugim sklepie spożywczym drzwi były otwarte dla klientów, ale tu nie znaleźli nic nadzwyczajnego: lekcje gry na pianinie i hiszpańskiego w małych grupach, okazja podwiezienia do Paryża i klatka dla królika. W drogerii naprzeciwko na tablicy ogłoszeń przeważały umeblowane mieszkania i korepetycje, ktoś chciał też sprzedać lodówkę. Borchert zatrzymał się dłużej przy ogłoszeniu z kolorowym zdjęciem używanego wózka dziecięcego za jedyne trzydzieści dziewięć euro. Zerwał jeden z perforowanych kawałków z numerem telefonu, ale gdy tylko zobaczył kierunkowy, skrzywił się niezadowolony i poszli dalej.

W drodze do ostatniego sklepu, największego i najnowocześniejszego punktu handlowego w okolicy, z przejeżdżającego samochodu obrzucili ich wyzwiskami fani Herthy.

Stern też już się przebrał. Zrezygnował z szykownego garnituru na rzecz koszulki bramkarza z długimi rękawami. Tak samo jak Borchert twarz ukrył pod śmieszoną czapeczką, w której się czuł jak jakieś jarmarczne dziwo.

Plastykowy fallus na mojej głowie mniej rzucałby się w oczy, pomyślał, kiedy dostrzegł spojrzenie starszej kobiety, przekładającej zakupy do lnianej torby.

- Nigdy jeszcze nie słyszałem o tej metodzie, Borchert.
- Dlatego jest skuteczna.

Stali przy koszach na odpady, gdzie po zakupach można było wyrzucić opakowania i zużyte baterie. Za nimi wisiała zwykła tablica korkowa z gąszczem prywatnych ogłoszeń.

- Zawsze mi się wydawało, że takie sprawy załatwia się dziś przez internet.
- Tak też jest. Przede wszystkim jeśli chcesz kupić zdjęcia, filmy albo używane gacie.

Stern zmarszczył czoło. Z doświadczenia obrońcy wiedział, że prokuratura była o lata świetlne w tyle za profesjonalnymi informatykami zarabiającymi krocie na dziecięcej pornografii. Nie istniała żadna ogólnokrajowa jednostka specjalna, brakowało zatrudnionych na stałe fanatyków komputerowych, którzy prześwietliliby strony internetowe, fora, grupy dyskusyjne. Niektóre komisariaty mogły się cieszyć, że w ogóle miały szerokopasmowe łącze. Nawet kiedy policja namierzyła jakiś gang, przepisy prawne nie pozwalały na zatrzymanie zboczeńców. W ostatnim tygodniu wpadło kilkunastu pedofilów, gdy funkcjonariusze sprawdzili w internecie tysiące transakcji dokonanych kartami kredytowymi.

TLR

Śledzenie procesów płatniczych było jednak niezgodne z prawem o ochronie danych osobowych, dlatego zdobyte dowody stały się bezużyteczne. Hitem z zajętych twardych dysków było wtedy zdjęcie noworodka z jakimś emerytem. Ci, których podniecały niewyobrażalne cierpienia, znów pewnie karmili swoje chore mózgi w którejś z kafejek internetowych.

- Sieć stała się zbyt niebezpieczna, aby umawiać się na spotkania w realu - wyjaśnił Borchert i podniósł kolorowe zdjęcie motocykla, za którym ukryta była mała fiszka.

- Dlaczego?

- Mnóstwo tam pułapek. Policjanci wchodzą do podejrzanych czatów i podają się za młode dziewczynki. Kiedy jakiś dewiant złapie haczyk, umawiają się z nim. Pedzio przychodzi, czeka na szóstoklasistkę z aparatem nązębnym, a zamiast tego dostaje bransoletki.

- Dobry pomysł.

- No. Tak dobry, że zboczuchy znalazły sobie coś nowego. Coś takiego jak na przykład to. - Borchert oderwał od tablicy błękitną kartkę formatu A5.

- „Szukam do spania jak na zdjęciu” - przeczytał Stern.

Małą fotografię wycięto z katalogu sprzedaży wysyłkowej.

Widniało na niej małe drewniane łóżko, model Happy Young, na którym leżał mały chłopiec i uśmiechał się do aparatu. Pod nim naturalnej wielkości wydruk z drukarki laserowej:

Odp. dla dzieci od 6 do 12 roku życia.

Łóżko ma być wygodne, czyste i z dd.

Zimny dreszcz przeszedł Roberta.

- Nie wierzę.

Borchert podniósł brwi.

- Z ręką na sercu, kiedy ostatni raz wieszaleś prywatne ogłoszenie na tablicy przy supermarkecie?

- Nigdy.
 - A jak dużo znasz osób, które odpowiedziały na coś takiego?
 - Nikogo.
 - Mimo to tablice są pełne takich karteczek, zgadza się?
 - Nie chcesz chyba powiedzieć, że...
 - Chcę. Po części są to rynki kontaktowe dla chorych i świrów z naszego miasta.
 - Nie mogę w to uwierzyć - powtórzył Stern.
 - To przypatrz się dokładnie. Widziałeś już kiedyś tak długi numer telefonu?
 - Hm. Nietypowy.
 - Idę o zakład, że dodzwonimy się pod jakiś libański numer prepaidowy, albo coś takiego. Jednorazowa komórka. Żadnych szans, żeby zdobyć nazwisko osoby po drugiej stronie. A tu... - Andi wskazał na podpis pod zdjęciem - ...to jest jednoznaczny slang pedofili. „Wygodne” oznacza „za zgodą rodziców”. „Czyste” to „najchętniej prawiczek lub z testem na AIDS”. No i życzą sobie „dd”, czyli „dostawę do domu”.
 - Jesteś pewien? - Stern nie wiedział, czy do piłkarskiego przebrania będzie pasować, jeśli zwymiotuje za kontenerem z makulaturą.
 - Nie, ale zaraz się dowiemy
- Borchert wyjął z kieszeni komórkę, której Stern nie widział wcześniej u niego, i wybrał osiemnastocyfrowy numer.

- Tak, słucham?

Już dwa pierwsze słowa nie spełniły oczekiwań Sterna. Liczył na starszego mężczyznę, w którego głosie słyhać będzie wyraźne zdemoralizowanie. Kogoś, kto zaczesywał na czoło tłuste włosy i ubrany w poplamiony obcisły podkoszulek gapił się podczas rozmowy przez telefon na swoje zgrzybiałe paznokcie u nóg. Jednak zamiast tego zaszczębiotał jasny i przyjazny głos kobiety

- Eee, ja, yyy... - Robert zaczął się jąkać. Borchert po prostu wcisnął mu słuchawkę, kiedy usłyszał nieczysty sygnał.

- Przepraszam, ale chyba wybrałem zły numer.

- Dzwoni pan w sprawie ogłoszenia? - zapytała bezi-mienna kobieta. Jej głos był uprzejmy i bez najmniejszego śladu berlińskiego akcentu. Stern natychmiast odniósł wrażenie, że rozmawia z wykształconą osobą.

- Eee... tak?

- Przykro mi, ale w tej chwili nie ma męża.

- Ach tak.

Opuścili teren supermarketu i szli z powrotem w stronę samochodu. Stern koncentrował się na każdym słowie, aby nic mu nie umknęło wśród hałasu Potsdamerstrasse i trzasków wynikających z kiepskiego połączenia.

- Ale ma pan to, czego szukamy? - zadała kolejne pytanie.

- Może.

- Ile ma lat?

- Dziesięć - odpowiedział Stern, myśląc o Simonie.

- To by pasowało. Wie pan, że poszukujemy łóżka dla chłopca?

- Tak. Przeczytałem.

- Dobrze. Kiedy może je pan dostarczyć?

- W każdej chwili. Jeszcze dziś.

Minęli transformator, przy którym wcześniej prostytutka czekała na klientów. Nie było jej tam teraz, bo pewnie wyginała się na przednim siedzeniu samochodu w jakiejś bocznej uliczce.

- Świetnie. Proponuję zatem, żebyśmy spotkali się o szesnastej i omówili szczegóły. Zna pan Madison przy Mexikoplatz?

- Tak - Stern potwierdził automatycznie, chociaż nigdy jeszcze nie był w tej kawiarni. - Halo? Jest tam pani jeszcze?

Kiedy nie doczekał się odpowiedzi, oddał Borchertowi komórkę. Ten natychmiast się odezwał: - I?

Stern musiał wziąć kilka głębokich oddechów, żeby się uspokoić. W końcu odpowiedział jak w transie:

- Nie wiem. Wyglądało to na całkiem zwyczajną rozmowę. Właściwie mówiliśmy tylko o łóżku.

- Ale?

- Ale przez cały czas czułem, że chodzi o coś zupełnie innego. - Stern przekazał mu niemal dosłownie cały dialog.

- Widzisz? - powiedział Borchert.

- Nie. W tej chwili nie widzę kompletnie nic - skłamał.

W rzeczywistości jego spojrzenie na świat, w którym żył, drastycznie się zmieniło. Borchert podniósł w supermarkecie kurtynę i pozwolił mu zajrzeć w kulisy, w ciemną stronę życia, gdzie ludzie zdejmowali wytrenowane maski moralności i sumienia i pokazywali swe prawdziwe twarze. Stern nie był naiwny. Był prawnikiem. Oczywiście znał zło. Jednak dotychczas ukrywało się ono przed nim za piśmiennymi oświadczeniami, wyrokami i prawnymi formułkami. Na takie okropności, które groziły wchłonięciem go niczym czarna dziura, nie potrafił patrzeć przez pryzmat zawodowego mandatu. Sam będzie musiał wystawić sobie rachunek za pracę nad tym przypadkiem i był niemal przekonany, że stawka godzinowa rozsadzi jego budżet emocji.

Borchert otworzył drzwi samochodu i już chciał wsiąść, kiedy zatrzymało go zaskakujące pytanie Roberta:

- Skąd bierzesz swoje informacje?

Andi podrapał się pod czapkę, a potem ją zdjął.

- Chyba ci to już wyjaśniałem?

- Bzdury. Ktoś, kto kręci pornosy, nie musi się orientować w najnowszych trendach pedofilii.

Borchert zrobił posępną minę i wsiadł do auta.

- Jeszcze raz. Skąd tak dużo wiesz o tych sprawach? - Stern usiadł na siedzeniu obok kierowcy

- Uwierz mi, że nie chcesz tego usłyszeć. - Andi zapalił silnik i spojrzał w lusterko wsteczne. Na jego szyi pojawiły się czerwone plamy. Popatrzył na Sterna i zrezygnowany zacisnął usta.

- No dobra. Musimy chyba złożyć wizytę Harryemu.

- Kim jest Harry?

- Jednym z moich źródeł. Może będzie miał dla nas jakieś rekomendacje.

Borchert wyjechał z zatoczki do parkowania. Trzymał się dozwolonej prędkości, żeby z powodu drobnostki nie nadziać się na kontrolę.

- Rekomendacje? O co ci chodzi, do cholery?

Borchert sprawiał teraz wrażenie poważnie zdziwionego.

- No, chyba nie myślisz, że wpadniesz dziś do tej kawiarni bez jakiegokolwiek dowodu na to, że jesteś jednym z nich?

Stern przełknął ślinę.

Jednym z nich.

Chwytał nerwowo za koniec szalika kibica i powoli go ściągnął. W ogóle nie czuł, jak włókna bawełny coraz mocniej się zaciskają wokół jego szyi. Perspektywa, że będzie musiał coś zrobić, aby stać się członkiem wspólnoty zbożników, i tak już odcięła mu dopływ powietrza.

4.

Dzień w dzień setki turystów przemierzały okolicę, w której Harry wiódł swój marny żywot. Wycieczkowicze przejeżdżali zaledwie kilka metrów od jego domu, zmęczeni podróżą, ale zarazem zadowoleni z tego, co w najbliższym czasie zaoferuje im Berlin. Chcieli zanurzyć się w nocne życie, zwiedzić Reichstag albo po prostu pozostać w hotelu. Z pewnością jednak nie planowali wypadu do jedenastu metrów kwadratowych, gdzie Harry czekał właśnie na śmierć.

Jego przyczepa kempingowa stała tuż pod mostem oddalonym najwyżej o kilometr od lotniska Schönefeld. Stern obawiał się, że corolla Sophie nie poradzi sobie z wybojami, kiedy wjechali na prowizoryczną drogę.

Borchert zlitował się wreszcie nad samochodem i zatrzymał się za ogrodzeniem z powyginanej siatki. Ostatnie sto metrów przeszli pieszo. Stern po raz pierwszy był wdzięczny Borchertowi, że zmusił go do włożenia sportowych butów. Znowu padało, a podłoże coraz bardziej przypominało błotniste pole.

- Gdzie on jest? - spytał Stern. Nie odkrył jeszcze domu Harryego. Jedyne, co widział, to ogromną stertę śmieci pomiędzy dwoma potężnymi filarami z betonu. Hałas pędzących trzydzieści metrów nad ich głowami samochodów był prawie tak samo nieznośny, jak gryzący smród, który stawał się coraz silniejszy, im dalej szli przed siebie. Ostra mieszanka kocich odchodów, gnijących resztek jedzenia i zastanej brudnej wody

- Przed nami. Idziemy prosto na niego. - Borchert skulił się mocniej, unosząc ramiona. Tak jak Stern zostawił czapeczkę i szalik w samochodzie, więc krople deszczu zalewały ich karki.

Robert ciągle nie widział żółtej przyczepy kempingowej za górą śmieci, aż zza jednej ze stert zużytych opon wyłonił się nagle mężczyzna w sfilcowanym szlafroku. Był trochę wyższy, ale zdecydowanie chudszy od Borcherta. Najwyraźniej nie zauważył jeszcze nieproszonych gości, bo chodził w koło po swoich śladach i głośno czał, by wreszcie odlać się na jakieś popsute krzesło. Odchylił przy tym głowę do tyłu i delectował się padającym na twarz deszczem, obserwując od dołu autostradę.

- Harry, tak rano, a ty już na nogach?

Mężczyzna podskoczył. Dzielila ich długość czterech samochodów osobowych, ale i tak trudno było nie spostrzec strachu, który pojawił się na jego twarzy na widok Borcherta.

- Kurwa. - Harry zrezygnował z porannej toalety i pobiegł w rozpadających się klapkach do otwartych drzwi przyczepy. Nawet gdyby udało mu się je szybko zamknąć, to cienkie jak tektura drzwi byłyby żadną przeszkodą dla Borcherta. Ten gołymi rękami mógłby zaciągnąć całą przyczepę z powrotem na główną drogę. Harry dobrze o tym wiedział, dlatego patrzył przestraszony jak obaj wchodzi za nim do środka.

- Uuu, kto tu umarł?

Stern tak jak Andi zatkał nos i oddychał przez usta. Kiedy przyczepa była jeszcze nowa, dywan musiał mieć żółty kolor. Teraz zielonkawa pleśń pokrywała całą podłogę i plastikowe ściany. W małym aneksie kuchennym walały się potłuczone talerze, zużyte papierowe naczynia i coś, co wcześniej można byłoby nazwać salami, a teraz wyglądało na otwartą ranę.

- Czego ode mnie chcecie? - spytał Harry. Wcisnął się w najgłębszy kąt laminowanego narożnika. Wyłożony starymi kartonami po pizzy najwyraźniej służył mu do spania.

- Przecież wiesz. - Borchert posiadał umiejętność mocniejszego potęgowania uczucia zagrożenia, wypowiadając jedno tylko zdanie, niż niektóre filmy w ciągu dziewięćdziesięciu minut.

- Nie. Co to ma być? Nic wam nie zrobiłem.

Harry oddychał płytko i kulił się w narożniku, podczas gdy Borchert rozluźniał mięśnie rąk niczym bokser.

Stern nie mógł na to patrzeć, chciał wyjść. Aby tylko nie widzieć dłużej okropnej twarzy mężczyzny. Wyglądał, jakby całą noc spędził w pokrzywach. Różnej wielkości czerwone pęcherze pokrywały czoło, policzki i szyję. Na większości były już strupy, resztę pewnie dopiero rozdrapał.

- Znikniemy stąd, jak tylko dasz nam to, czego szukamy

- Ale co?

- Kto z twoich przyjaciół handluje niemowlętami?

- Słuchaj, Andi, przecież wiesz, że już w tym nie robię. Skończyłem z tym.

- Zamknij się i powiedz, co wiesz o tym dzieciaku?

- Jakim znowu dzieciaku?

- Jutro rano ma zostać sprzedane. Takiemu samemu śmieciowi jak ty Słyszałeś coś o tym w swoim klubie?

- Nie. Przysięgam. Nie mam już z tym nic wspólnego. Żadnych kontaktów, żadnych informacji. Zero, nic. Sorry, powiedziałbym ci wszystko, ale przecież nic nie wiem. Nikt ze mną nie rozmawia, odkąd wyszedłem z pierdła. Zapłaciłem za swoje, nie?

Harry mówił dziwnie. Niektóre słowa wypowiadał szybko, inne przeciągał. Stern nie był pewien, czy zawsze się tak wysławiał, czy tylko teraz, pod wpływem gróźb Borcherta.

- Przestań pieprzyć!

- Naprawdę, Andi. Nie kłamię. Nie ciebie. Wie pan... - Jego błędny wzrok powędrował na Sterna, przez co tym samym zmniejszyła się szansa prawnika na szybkie opuszczenie przyczepy - Wpakowałem się w niezłe gówno. Myślałem, że ma szesnaście lat, serio. To było dawno temu. Ale nikt mi nie wierzy. Czasem przychodzą w nocy i mnie tłuką. Widzi pan?

Odsłonił szlafrok i pokazał Sternowi klatkę piersiową. Wszędzie rozlane niebieskofioletowe sińce. Bez rentgena trudno było jednoznacznie stwierdzić, ale Stern rozpoznał co najmniej jedno złamane żebro.

- To okoliczni gówniarze. Za każdym razem inni. Ktoś im opowiedział, co kiedyś zrobiłem. Wywlekają mnie na zewnątrz i skaczą wokół mnie w ciężkich buciorach. Raz oblali mnie kwasem z akumulatora.

Stern z politowaniem i odrazą cofnął się o krok, gdy Harry wyciągnął w jego stronę popękaną twarz. Tylko Borchert pozostał niewzruszony. Okropna historia Harry'ego nie zrobiła na nim żadnego wrażenia. Wręcz przeciwnie. Uśmiechnął się tylko i z całej siły przywalił mu pięścią w zęby.

Siła uderzenia była tak duża, że tyłem głowy rąbnął w plastikową ścianę przyczepy, pozostawiając małe wgłębienie.

- Kurwa, nie! - wymamrotał Harry i wypluł zakrwawiony ząb.

Stern też wrzasnął:

- Andi, przestań! Zwariowałeś?

- Wyjdź stąd, proszę.

- Nie, nigdzie nie pójdę. Kompletnie ci odbiło!

- Nic nie rozumiesz - odpowiedział Borchert i wyjął broń. Stern usłyszał metaliczny brzęk odbezpieczania pistoletu.

- Spieprzaj! Ale to już!

- Nie. Nie pozwolę ci na to. Nie obchodzi mnie, co zrobił Harry. Przemoc nie jest żadnym rozwiązaniem!

- Ależ jest.

Borchert podniósł broń i wycelował w czoło prawnika.

- Nie będę się powtarzał.

- Proszę, nie. Niech pan zostanie. - Wzrok Harryego gorączkowo przeska-
kiwał z Borcherta na Sterna i z powrotem. Cały zakrwawiony wyglądał jak ktoś,
kto dopiero sekundy przed egzekucją zrozumiał, za co został skazany na śmierć.
Borchert odciągnął kurek. Tak jak wczoraj, kiedy pobiegł do wyjścia z Titanica,
żadna siła nie była w stanie go powstrzymać. Nie miał żadnych oporów. Był go-
tów zabić. Wbrew wszystkiemu. W ostateczności nawet w jego obecności. - O
Boże, proszę, niech pan nie wychodzi... Nie!

Gdy Borchert wypchnął go z przyczepy i zatrzęsął za so- bą drzwi od środ-
ka, Stern wiedział, że nigdy nie zapomni tego błagającego, nerwowego głosu.

5.

Kiedy zwierzęta na wolności podczas sytuacji konfliktowych reagują całko-
wicie irracjonalnie, nauka określa ich zachowanie mianem działań przerzuto-
wych. Rybitwa na przykład w momencie zagrożenia zamiast się bronić czy rato-
wać ucieczką, zaczyna czyścić piórka. W tej chwili Robert Stern mógłby być
równie pouczającym obiektem dla jakiegoś naukowca.

Stał odwrócony plecami do chwiejącej się przyczepy kempingowej, nie wie-
dząc, czy powinien uciekać, sprowadzić pomoc, czy zaatakować. Stał i bezsen-
sownie grzebał w śmieciach, szukając jakiejś broni. Przynajmniej tak sobie wma-
wiał. Jakiegoś ostrego przedmiotu albo metalowej rury, którą mógłby wyłamać

drzwi, za którymi od jakichś dwóch minut panowała cisza. Harry już nie krzychał. Na początku Stern jeszcze go rozumiał. Później wystękałe szczątki zdań były coraz bardziej rozmyte. Na końcu dochodziły do niego jedynie bełkot i regularne odgłosy uderzeń, od których cała przyczepa aż podskakiwała.

Stern szukał coraz bardziej nerwowo, przesunął stary akumulator, wyciągnął szlauch przedpotopowej pralki, żeby zamienić go zaraz na kawałek drutu, z którym nie wiedział, co począć, tak samo jak z całą resztą śmierdzących odpadów. Jeśli nie znajdzie tu załadowanej dubeltówki, to nie powstrzyma szalejącego wewnątrz przyczepy Borcherta.

Mimo to szukał dalej. Przestał dopiero w chwili, gdy zapadła nieznośna cisza. Nagle ucichły jęki, lament i rozbijanie się. Odgłosy z autostrady znów odzyskały akustyczne panowanie w tym betonowym kotle.

Stern odwrócił się, wypatrując oznak, czy walka na dobre się już skończyła, czy może to tylko chwilowa przerwa. Brodził przez błoto w stronę przyczepy, wdepnął w czyjeś gówno, co i tak nie zrobiło na nim wrażenia. Chociaż bał się widoku, który czekał na niego za porysowaną szybą z pleksiglasu, zdecydowanym krokiem podszedł do okna.

Musiał stanąć na palcach, żeby coś zobaczyć. I niemal wywrócił się do tyłu, gdy dwa kroki od niego po prawej stronie z hukiem wyleciały drzwi. Borchert wyszedł z przyczepy. Jaskrawoczerwona koszulka zmieniła kolor i wręcz czarna przyklejała się do jego ciała. Mocno musiał się napocić. Stern poczuł zimny dreszcz, gdy spojrzał na twarz Andiego. Małe kropelki pokrywały całe czoło i górną część nosa. Jakby właśnie skończył remont rudery Harry'ego, malując na koniec sufit krwistą czerwienią.

- On naprawdę nic nie wie. Chodźmy stąd – powiedział lapidarnie na widok Sterna. Z wyrazem bólu na twarzy potrząsnął prawą ręką, jak ktoś, kto właśnie przytrzasnął sobie palce w drzwiach. Pokaleczona pięść wyglądała, jakby zamiast w Harry'ego walił w drut kolczasty.

- Dostyc. Tak dalej być nie może. Już mam dość. – Stern obrócił się plecami do Borcherta i ruszył szybko przed siebie.

- Czego? - usłyszał, jak Andi za nim krzyczy.

- Tego całego szaleństwa. To musi się skończyć. Oddam się w ręce policji.

Wszystko im opowiem, również to, co przed chwilą zrobiłeś.

- Tak? A co ja takiego zrobiłem?

Stern zatrzymał się i spojrzał przez ramię na Borcherta.

- Torturowałeś słabego, całkowicie bezbronno go mężczyznę. Boję się zajrzeć, czy on w ogóle jeszcze żyje.

- Żyje. Niestety.

- Jesteś kompletnym czubkiem, Andi. Nawet jeśli w grę wchodzi życie mojego syna, nie możesz ot tak katować niewinnych ludzi.

Borchert splunął na błotnistą ziemię.

- Mylisz się. I to w dwóch kwestiach. Po pierwsze, nie chodzi tu o zawile reinkarnatalalala ani o twojego Felixa. Zapomniałeś już, że jutro ma zostać sprzedane małe dziecko? A po drugie... - Andi narysował w powietrzu znak zapytania

- ... ten człowiek nie jest niewinny. Zgwałcił jedenastoletnią dziewczynkę. To ostatni skurwiel. Szkoda wody w kiblu, żeby spłukać takie gówna.

- Twierdzi, że już za to zapłacił.

- Tak, siedział. Cztery lata. A potem?

- Przestał. Spójrz na niego. W oczach się rozkłada. On nie potrzebuje żadnych batów od ciebie. Sam umrze.

- Szkoda tylko, że niewystarczająco szybko.

Część zdjęć, które Borchert rzucił pod nogi Sterna, wbiła się pionowo w mokrą ziemię. Robert schylił się i zaraz cofnął, jak ugryziony przez jadowitego węża.

- Tak, przyjrzyj się im spokojnie. Znalazłem je pod materacem twojego przyjaciela Harryego.

Stern nie odważył się nawet odetchnąć. Bał się, że zarazi się w ten sposób złem, które otaczało go z każdej strony.

- Co znowu? - Borchert sam wyjął jedno z kolorowych zdjęć z błotnistej packi. Szeroko otwarte, wytrzeszczone oczy dziewczynki tworzyły idealny wręcz trójkąt z czarną gumową piłeczką w jej ustach.

- Dobry Harry, co? Założę się, że ta mała nie ma więcej niż pięć lat. A to tylko zdjęcia. Mam się wrócić i przynieść filmy wideo?

Stern wiedział, że nieważne, kiedy zrobiono te zdjęcia. Sam fakt posiadania ich przez Harry'ego stanowił wystarczający dowód na to, że ciągle aktywnie działał.

Chciał coś powiedzieć, ale nic nie przechodziło mu przez usta. Stał pomiędzy dwoma światami: chorym i nienormalnym pedofilem oraz światem Andiego, w którym do celu dochodziło się, wyłącznie używając przemocy Trzeci świat, jego własny, przestał istnieć.

- I co teraz? - spytał, gdy w milczeniu ruszyli z powrotem do samochodu. Przez deszcz zalewający oczy Stern nie mógł kompletnie rozpoznać drogi. Ta woda raczej nie posiadała właściwości oczyszczających. Zamiast zmyć z niego cały brud, wtlaczała go coraz głębiej w pory jego skóry.

- Najpierw się uspokojmy, a później przygotujemy jakiś plan.

Borchert otworzył drzwi od strony kierowcy i wcisnął się za kierownicę corolli. Z powodu przeciążenia samochód niebezpiecznie się przechylił, dopóki Stern nie wsiadł po drugiej stronie.

- Mamy jeszcze trzy godziny do spotkania na Mexikoplatz.

Borchert zapalił silnik, który zaraz się zdławił i zgasł.

- Och, proszę. Nie rób mi tego. - Spróbował jeszcze raz. Na próżno. Silnik był zalany.

- A co z rekomendacją, której potrzebujemy? - W tym momencie Sterna nie obchodziła awaria auta. Z całego zła ostatnich godzin jedynie to było namacalne.

Ani przy wizjach Simona, ani przy „głosie” nie można było po prostu otworzyć klapy silnika i jednym ruchem ręki rozwiązać problemu.

- Już ją mamy - zaśmiał się Borchert. Jego radość wynikała przede wszystkim z tego, że silnik wreszcie zaskoczył. - Naszą rekomendacją są zdjęcia. - Klepnął się po kieszeni kurtki, w której schował zabrane Harry'emu polaroidy – Nie sposób ich zdobyć, gdy się nie ma kontaktów. Ten, kto posiada takie zdjęcia, musi znać kogoś ze świątka. Lepszej wizytówki nie będziesz mógł dziś rzucić babce na stół.

Stern zapiął pasy i zakrył twarz zimnymi dłońmi. Chciałby poczuć coś innego niż tylko mdłości, które dopadły go jakiś czas temu.

- Raz już cię o to pytałem - zaczął, gdy samochód ruszył. - Skąd tak dobrze orientujesz się w tym bagnie? Skąd wiesz to wszystko?

Tablica ogłoszeń przy supermarkecie. Harry. Zdjęcia.

- Łatwo nie odpuszczasz, co? Okej, powiem ci. Sam w tym siedzę.

Stern poderwał się z oparcia.

- Tak, całkiem głęboko. Chcesz wiedzieć, jak Harry się nazywa?

Powiedział nazwisko, zanim Stern zdążył się zastanowić, czy faktycznie mógł je kiedyś słyszeć.

- Borchert. Tak jak ja. Harry jest moim młodszym, kochanym, słodkim bratem przyrodnim.

Gdy wjechali z powrotem na ulicę, Stern miał wrażenie, że nigdy w życiu nie zapomni tego przerażającego miejsca.

Nawet gdyby Andi zawiózł go teraz prosto na lotnisko i gdyby poleciał gdzieś za granicę. Część Harry'ego, jego przyczepa kempingowa i hałdy śmieci podążyłyby za nim. Dlatego było mu obojętne, że jechali w kierunku autostrady prowadzącej do Zehlendorfu.

6.

Wygląd kawiarni oddawał samopoczucie Sterna. Była pusta, opuszczona, martwa. Niezdecydowany zatrzymał się na chwilę przed drzwiami wejściowymi, na których wisiał plakat zapowiadający koncert szkolnego zespołu. Poszedł w prawo, do okna. „Do wynajęcia” informował biało-czerwony napis na szyldzie, poniżej mniejszymi literami widniał adres mailowy profesjonalnego maklera. Stern zajrzał w zakurzone wnętrze. Oprócz rzędu drewnianych krzeseł, które odwrócone stały na pustych stołach, nie było nic więcej.

No dobra. Jeśli ta kobieta naprawdę tu na mnie czeka, nie mam wątpliwości, że to nie łóżko chce kupić.

Stern obrócił się, spoglądając na łukowaty dach secesyjnego dworca. Wyobrażał sobie, co mieszkańcy ekskluzywnej okolicy w sercu Zehlendorfu myśleli o tej opuszczonej knajpie. Wstyd dla całej dzielnicy. Nie mógł się domyślić, co trzeba zrobić źle, żeby splajtowała restauracja, mając tak zamożnych klientów

Po moście przejechał S-Bahn. Stern ledwo usłyszał skrzypnięcie. Odruchowo obejrzał się za siebie. Faktycznie. Drzwi wejściowe bez klamki, na które wcześniej bezskutecznie napierał, były uchylone. Rozejrzał się dookoła. Kiedy żaden z przechodniów nie patrzył na niego, wszedł do środka, gdzie przywitał go typowy zapach pustych pomieszczeń oraz coś bardziej niespodziewanego. Poczul znane na całym świecie damskie perfumy

Pokonując kolejne metry dzielące go od kobiety przy oknie z papierosem w rękę, Stern korygował wiek, na jaki ją oceniał. Jeśli od wejścia wyglądała na czterdziestolatkę, tak teraz, siadając przy stole naprzeciwko niej, dawał jej co najmniej dwadzieścia lat więcej. Botoks i skalpel były ewidentnie jej regularną

odpowiedzią na naturalny proces starzenia się. Fakt, który bez problemu można rozpoznać dopiero z bliska. Nienaturalna jędrność jej twarzy ekstremalnie przeciwstawiała się starczym przebarwieniom skóry dłoni. Również obwisła szyja nie pasowała do gładkich policzków. Stern był pewien, że pomimo tych szczególnych znaków nie rozpoznałby tej kobiety podczas policyjnej konfrontacji. Nie bez powodu założyła srebrnobiałą perukę z fryzurą na pazia, a oczy ukryła za ciemnymi okularami. Wyglądała w nich jak Burczymucha z *Pszczółki Mai*.

- Czy mogę prosić o pana dokument tożsamości?

Stern wyjął portfel, wcale niezaskoczony tym pierwszym pytaniem. Borchert go ostrzegł. W niektórych środowiskach pedofilii rezygnacja z wszelkiej anonimowości działa jak najlepsza ochrona. Każdy zna każdego. Jak w mafii pilnowano, żeby zanim ktoś zostanie przyjęty do grupy, najpierw popełnił jakieś przestępstwo. Dlatego fotografowano kandydata z własnym dowodem tożsamości w jednej ręce i nielegalnym czasopismem pornograficznym w drugiej i zakładano mu teczkę.

Stern odchrząknął. Na obrus w brązowo-białą kratkę rzucił zdjęcia z polaro-
idu.

- Nie jestem amatorem.

Jedyną reakcją kobiety było drgnięcie ust po liftingu.

Stern nie miał już najmniejszych wątpliwości, o co tu chodzi.

Na widok takich zdjęć każdy normalny człowiek zadzwoniłby na policję.

Zwłaszcza gdy oczekiwał niewinnych negocjacji handlowych. Ale koścista kobieta zaciągnęła się tylko papierosem, tak samo cienkim jak palce, w których go trzymała. Nawet nie zadała sobie trudu, żeby odpowiednio odwrócić zdjęcia.

- Pomimo to muszę pana poprosić o powstanie.

Stern zrobił, co mu kazała.

- Proszę się rozebrać.

Z tym też się liczył. Mógł przecież być policjantem. Agentem, któremu było obojętne, czy łamie prawo. Albo kimś z perfekcyjnie podrobionymi dokumentami. Długo rozmawiał z Borchertem o tym, co się stanie, jeśli się zorientują, z kim mają naprawdę do czynienia. Poszukiwany adwokat. Ukrywający się z uprowadzonym ze szpitala dzieckiem. Borchert uważał, że to zadziała na jego korzyść. Jako bandyta był jednym z nich. W końcu jednak cała dyskusja okazała się zbędna. Mieli za mało czasu na zdobycie nowych dokumentów, a chcieli rozegrać wszystko zgodnie ze swoim planem.

- Spodenki też.

Kobieta wskazała na biodra Sterna. Kiedy goły obrócił się przed nią, mruknęła z zadowoleniem. Otworzyła torebkę ze sztucznej skóry, którą dotychczas trzymała na kolanach, i wyjęła z niej mały czarny pręt.

- W porządku - szepnęła mu do ucha po sprawdzeniu go wykrywaczem metalu. To samo zrobiła jeszcze z jego ubraniem, które leżało na stole. Pół godziny wcześniej Robert kupił w przepelnionym centrum handlowym na Schlosstrasse prążkowany garnitur, koszulę i bieliznę. Pewnie kilkanaście kamer sfilmowało go podczas zakupów, ale musiał podjąć to ryzyko. Nie mógłby wiarygodnie odegrać roli ojca, który własnego syna chce sprzedać obcym ludziom do ich zбочonych zabaw seksualnych, jeśli pojawiłby się na spotkaniu w piłkarskim stroju.

- Dobrze - powiedziała, nie zwracając Sternowi jego rzeczy. - Może pan już usiąść.

Wzruszył ramionami. Czuł się jak na wizycie u lekarza.

Gołym tyłkiem usiadł na zimnym drewnianym krześle.

- Więc gdzie jest to łóżko? - spytała, patrząc na jego owłosioną klatkę piersiową. Stern brzydził się samego siebie, kiedy jego sutki stwardniały z zimna.

Kobieta najpewniej odczytała to jako oznakę erotycznego podniecenia i na samą myśl o tym robiło mu się niedobrze.

- Stoi na zewnątrz.

Podążyła za jego wzrokiem. Krótka zasłona rozciągała się na brązowej szybie. Świat za nią połyskiwał przyjemną jesienną czerwienią, którą wywołał zachód słońca w ostatnich bezdeszczowych godzinach dnia. Jakieś małżeństwo spacerowało właśnie z dwoma psami po wspaniałym placu. Delektowali się lekkim wietrzykiem, podrywającym do tańca liście spod ich nóg. Stern nie zwrócił uwagi na piękno tego momentu. Plac mu się wydał ciemny i ponury, kiedy spojrzął na zaparkowany samochód, w którym na tylnym siedzeniu Simon czekał na jego znak.

7.

Dwa lata przed pierwszym badaniem tomografem Simon znalazł w domu dziecka dwutomowy leksykon. Z chwiejnej półki zdjął pierwszy tom i zabrał go do swojego pokoju. Zafascynowany informacjami o anakondzie, Arktyce i astronomii tuż przed zaśnięciem postanowił, że codziennie będzie się uczył jednego nowego słowa. Zamierzał przyswajać alfabetycznie. Od A do Z.

Dlatego też następnego ranka, gdy profesor Muller zaprosił do swojego gabinetu najpierw kierowniczkę domu dziecka, a potem jego samego, nie był smutny, zły czy załamany. Był przede wszystkim rozczarowany, że wyjaśniono mu takie słowa jak „złowróźbny” i „nowotwór” dużo wcześniej, niż nadeszła ich kolej.

Dzisiaj też nauczył się nowego słowa. *Pederasta*. Robert najpierw nie chciał go powtórzyć. Wspomniał je, gdy mu wyjaśniał, co się zaraz stanie.

Cały czas trzymaj się blisko mnie. Nie odstępuj mnie ani na krok. Bez względu na to, co się stanie, słuchaj tylko mnie, rozumiesz?

Napomnienia Roberta ciągle jeszcze brzmiały w uszach Simona, kiedy otwierał przed nim drzwi samochodu.

Rób wszystko, co ci każe. I nie rozmawiaj z ludźmi, których za chwilę spotkamy, słyszysz? To są pederasty. Źli ludzie. Może będą się uśmiechać, będą chcieli podać ci rękę albo przytulić. Nie wolno ci na to pozwolić.

Robert pomachał do niego jeszcze raz z okna i Simon pospiesznie wysiadł z auta. Prawnik wyglądał na smutnego. Ponure spojrzenie przypominało tych wszystkich, którzy po raz pierwszy dowiadawali się o chorobie Simona, a on najchętniej powiedziałby mu teraz, żeby się nie martwił. Bo dziś był właściwie dobry dzień. „Trójka” na skali samopoczucia. Nic go nie bolało, miał lekkie mdłości, a lewa ręka też nie była już taka zdrętwiała. Tylko jak zazwyczaj po atakach padaczki był bardzo zmęczony i dlatego kilka razy zasnął w drodze.

Carina nie chciała najpierw się zgodzić, by jechał, i ostro protestowała, kiedy Borchert wrócił do Sophie, by obydwójce zabrać. Gdy zapukał do tylnych drzwi, oglądali właśnie razem z bliźniaczkami jakąś kreskówkę. Później Carina poszła z Andim do drugiego pokoju, skąd dochodziły do niego tylko strzępki zdań przerywane chichotem dziewczynek i muzyką z filmu.

...nasza jedyna szansa... nie, będzie musiał się tylko pokazać... Nie martw się... nic mu nie będzie grozić... gwarantuję to swoim życiem...

W końcu Carina wróciła do salonu i wściekła pomogła mu włożyć sztruksową kurtkę. Po drodze zatrzymali się jeszcze przy jej golfie. Carina i Borchert dotarli do tego pięknego miejsca dwoma oddzielnymi samochodami. Simon cieszył się, że znów zobaczy swojego adwokata, który właśnie dawał mu umówiony znak.

- Cześć, Carina - chciał jeszcze powiedzieć, zanim wysiadł. Ale Robert wyraźnie mu tego zabronił.

Żadnych spojrzeń na tylne siedzenie. Żadnego słowa pożegnania.

Simon trzymał się instrukcji i pobiegł w stronę Madison Cafe, patrząc prosto przed siebie. Popchnął drzwi ramieniem i wszedł do mrocznego wnętrza.

W całym lokalu świeciła się tylko jedna żarówka w tylnym rogu. Robert wyglądał jakoś dziwnie, kiedy wstał z krzesła. Był potargany, krzywo zapiął nowy garnitur, a koszula wystawała mu ze spodni. Jakby przed chwilą się z kimś bił. Na pewno nie mogła to być ta kobieta w okularach, która teraz też się do niego odwróciła. Jej kostium w żadnym miejscu nie był wygnieciony, a każdy włos na głowie błyszczał, jakby go oddzielnie uczesano.

Zanim Simon doszedł do ich stolika, potknął się lekko. Spojrzał pod nogi i zauważył, że rozwiązała mu się sznurówka. Kiedy się schylił, aby ją zawiązać, zakreśliło mu się trochę w głowie. Śmieszny głos kobiety usłyszał jednak głośno i wyraźnie:

- Chodź, pokaż się, chłopczyku.

Musiał podeprzeć się na obu rękach, żeby wstać z klęczek. Kiedy kobieta stanęła przy nim, od razu zapomniał o zmęczeniu i prawie się zaśmiał. Przypominała mu spadochroniarza, którego widział raz w telewizji. Skóra nad jej wystającymi kośćmi policzkowymi uformowała się, jakby wiał na nią silny wiatr.

- No, ile ty masz lat? - spytała. Jej oddech pachniał zimnym dymem.

- Dziesięć. Niedawno skończyłem. - Simon ugryzł się w język i spojrzał nieśmiało na Roberta.

Przecież zabronił mi się odzywać.

Na szczęście prawnik nie wydawał się na niego zły

- Dobrze, bardzo dobrze.

Kobieta złapała nagle za czarny metalowy pręt, ale Stern chwycił ją momentalnie za ramię.

- On nie będzie się tu...

- Nie, nie - uśmiechnęła się. - Nie będzie musiał się rozbierać. Dopiero gdy dołączy do nas mój mąż. Tę przyjemność zostawimy sobie na później.

Simon nie rozumiał, po co wymachiwała przed nim tym przedmiotem. Nie wiedział też, dlaczego miał założyć śmieszna opaskę na oczy, przez którą kompletnie nic nie widział. Jednak gdy Robert go poprosił, zrobił, co mu kazano. Nie bał się. Przynajmniej dopóki był przy nim jego adwokat, który wydawał się mieć większe obawy niż on sam.

Ale przed czym? Tak długo, jak są razem, nie może im się przecież stać nic złego.

Mocno złapał go za rękę. Bardziej żeby uspokoić Roberta niż siebie. Kobieta poprowadziła ich przez zaplecze na tylne podwórze. Samochód, do którego wsiedli, przyjemnie pachniał nowością. Gdy silnik zaczął pracować, dłoń Sterna zaczęła drżeć. Simon tłumaczył to delikatnymi wibracjami. Limuzyna ruszyła.

TLR
8.

- Widzisz ich?

- Tak, jestem tuż za nimi. - Bordiert wyraźnie usłyszał, jak Carina opada z ulgą na siedzenie w swoim samochodzie. Już dużo wcześniej liczył się z tym, że zadzwoni na ten numer. Dał go jej na wszelki wypadek. Karta prepaidowa nie była zarejestrowana na jego nazwisko, dlatego policja raczej go nie namierzy. W przeciwieństwie do telefonu Cariny. Starał się skrócić rozmowę, jak tylko się dało.

- Gdzie jesteście?

- Na Potsdamer Chaussee. Przy stacji benzynowej.

- Mam pojechać za wami? - spytała.

- Nie. - To było absolutnie wykluczone. Ze względów bezpieczeństwa poruszali się dwoma samochodami. Jak się spodziewali, „towar” został wyprowadzony tylnym wyjściem, przed którym czekał Borchert w corolli. Carina we własnym aucie obserwowała główne wejście. Ryzyko, że zostaną odkryci, dramatycznie wzrośnie, jeśli ruszy teraz spod lokalu swoim golfem.

- Powinniśmy zaatakować już w kawiarni i...

- Nie - Borchert przerwał gwałtownie rozmowę, która trwała już zdecydowanie za długo. Miał zamiar wkroczyć, dopiero gdy pojawi się małżonek. A jeśli kobieta była tylko posłańcem i nie posiadała żadnych informacji?

Rozłączył się i skoncentrował na tym, żeby nie stracić z oczu amerykańskiej limuzyny z szarymi żaluzjami w tylnej szybie. Tak jak on, również kobieta przed nim pilnowała się, żeby nie przekroczyć ograniczenia prędkości.

Borchert wymacał broń w kieszeni spodni dresowych. Samo dotknięcie dziewięciomilimetrowego pistoletu zelektryzowało go. Słyszał, jak pulsuje mu w żyłach krew. *Wyjść z siebie, stracić panowanie nad sobą, płonąć...* Większość ludzi używała tych zwrotów, nie znając ich prawdziwego znaczenia. Nigdy nie czuli tego, co on teraz odczuwał. Borchert wyszczerzył się i lekko przycisnął pedał gazu, żeby zdążyć przejechać na światłach przez skrzyżowanie przy stacji S-Bahn Wannsee. Podczas przyspieszania mocno wzrósł poziom adrenaliny w jego organizmie. Dopadnie chorych zboczeńców. Może nie będzie później wiedział, skąd się wzięły na jego koszulce plamy krwi i szczątki kości, jak się zazwyczaj działo, gdy przestawiała mu się klepka. Być może nie będzie go to już obchodziło, jak tylko te śmieci przekonają się o jego sile...

Mentalne przygotowania Borcherta do walki zostały nagle przerwane. Wcisnął gaz do deski, ale silnik zakrztusił się jeszcze głośniejsze. Dudnienie w uszach minęło i cisza silnika stała się tym wyraźniejsza. Kierowcy jadący za nim trąbili zdenerwowani, by zaraz go wyminąć, kiedy zorientowali się, że samochód Borcherta nie przyspieszy.

Andi zlany potem przekręcił kluczyk w stacyjce. Raz, drugi. Przed przyczepą Harryego gruchot zapalił za trzecim razem, teraz nawet nie zarzęził. Podczas gdy limuzyna oddalała się od niego coraz bardziej, Borchert dotoczył się powoli na środek skrzyżowania, gdzie samochód stanął.

Sięgnął po komórkę. Chciał zadzwonić do Cariny i spytać, czy istnieje jakiś czarodziejski trik, dzięki któremu mógłby uruchomić ten stary rupieć. Szybko jednak zorientował się, że ona nie będzie potrafiła mu pomóc. Samochód należał przecież do Sophie, a jej numeru telefonu nie miał.

I co teraz? Zaczął się pocić jeszcze bardziej. Wysiadł i podszedł do klapy silnika akurat w momencie, żeby jeszcze zobaczyć tylne światła odjeżdżającej limuzyny z Simonem i Robertem. Trwało to może ze cztery sekundy, później stracił ich z oczu na drodze gdzieś między Wannsee i Poczdamem.

Pięć minut później Borchert ciągle jeszcze nie uświadomił sobie błędu, jaki popełnił. Było mu to obojętne. Nie przejmował się korkiem, który spowodował. Wyjeżdżający na niedzielne wycieczki stali we wszystkich kierunkach. Nie zwracał uwagi na komórkę, na którą już trzeci raz próbowała się dodzwonić Carina.

Zastanawiał się teraz nad tym, co ma powiedzieć policjantowi, który poprosił go właśnie o dokumenty.

Zanim limuzyna się zatrzymała, zmieniły się dochodzące do nich odgłosy. Silnik pracował głośniejszy, jakby dźwięk odbijał się od stalowych ścian. Jednocześnie Stern odniósł wrażenie, że założono mu na oczy kolejną opaskę.

Próbował liczyć zakręty, ale okazało się to niemożliwe, bo samochód zbyt często zmieniał tor jazdy. Zawiódł również jego wewnętrzny zegar. Kiedy uwolniono go od opaski i zauważył, że stoją w garażu, nie potrafił stwierdzić, czy jechali dłużej niż dziesięć minut.

- Wszystko w porządku? - spytał Simona, starając się nie brzmieć zbyt przyjacielsko. Bądź co bądź musiał panować nad emocjami. Chłopiec przytaknął, pocierając oczy, które powoli przyzwyczajały się do halogenowego światła.

- Tędy proszę.

Kobieta wyprzedziła ich i otworzyła szare drzwi przeciwpożarowe, za którymi były schody prowadzące do góry. Stopnie wyłożono błyszczącym marmurem, który przypominał lody waniliowe z polewą karmelową.

- Dokąd idziemy? - spytał Stern, po czym odchrząknął. Przez całą drogę nie zamienili słowa. Zaszło mu w gardle. Ze zdenerwowania. I ze strachu.

- Garaż połączony jest przejściem z domem – wyjaśniła kobieta i poszła pierwsza. Strome schody rzeczywiście prowadziły do zalanego sztucznym światłem wejścia. Stern musiał przyznać, że szlachetne drewno przypominało mu własną willę. Tylko że u niego nie było żadnych mebli na garderobę i na pewno żadnych doniczek z amarylisami. Miał nadzieję, że Borchert nie zgubił drogi. Będzie musiał wziąć broń i łom z bagażnika, żeby pokonać ciężkie, pokryte mosiadzem drzwi. Okna willi zabezpieczały od zewnątrz antywłamaniowe żaluzje. Wszystkie, o ile Robert mógł to stwierdzić. Również w salonie, do którego Stern i Simon zostali wprowadzeni.

- Proszę, siadajcie. Mój mąż zaraz przyjdzie.

Stern pociągnął Simona na białą skórzaną kanapę. Kobieta tymczasem trochę niezdarnie podeszła na palcach do sekretarzyka z alkoholem i czymś do chrupania.

Stern zdziwił się, widząc jej śmieszny krok. Pomyślał, że nie chciała hałasować wysokimi obcasami, ale kiedy mieszała gin z tonikiem, oświeciło go. Nie chodziło o hałas. Nie chciała zadrapać obcasami świeżo polakierowanego parkietu!

Ten dom nie był zamieszkanym. Znajdowali się w modelowej willi. W jeszcze niewynajętym, pełnym przepychu starym budynku. Urządzonym przyjaźnie, ale bardzo uniwersalnie. Stern rozejrzał się dookoła i rozpoznawał teraz dokładnie szczegóły Telefon na biurku bez kabla. Idealnie równo ustawione książki na w połowie pustym regale. Skórzana kanapa, na której siedziało dotychczas niewiele osób, zainteresowanych wynajęciem tego domu. Stern założyłby się o wszystko, że ten sam pośrednik miał w swojej ofercie również kawiarnię na Mexikoplatz.

- Czy mogę wam coś zaproponować?

Pokręcił głową. Jego szare komórki pracowały teraz na najwyższych obrotach. Wszystko urządzone perfekcyjnie. Sposób postępowania tej parki był wręcz genialny. Nie stało tu nic, co ofiara mogłaby sobie później przypomnieć. Nic wartościowego, czego nie można by wymienić, gdyby zostało zabrudzone krwią albo innymi ludzkimi płynami. I nikogo, kto dziwiłby się gruntownemu zacieraniu śladów czyjejś obecności, zanim dom przejdzie w ręce nowych właścicieli. A oni oczywiście nie mieliby żadnego pojęcia, do jakich scen doszło w pokojach, w których po wprowadzeniu marzyli o szczęśliwej przyszłości.

Sternowi zrobiło się niedobrze, gdy zdał sobie sprawę, jaką ogromną symbolikę w całej sytuacji miały sztucznie stworzone kulisy tego domu. Sytuacji, w której tkwił już od kilku dni. Wszystko było przedstawieniem. Niewytłumaczalna wiedza Simona o morderstwach dokonanych w przeszłości i jego absurdalny zamiar zabicia kogoś w przyszłości. Płyta DVD z „głosem”, który twierdził, że jego

syn może jeszcze żyć. I tajemnicze pedofilskie powiązanie między obydwojma przedstawieniami teatralnymi, w których wbrew własnej woli grał główną rolę.

Stern poczuł ostrą zgagę. Przełknął dwa razy ślinę, obserwując kątem oka Simona, który zupełnie spokojnie siedział obok niego. Niemal zrelaksowany. W przeciwieństwie do niego chłopiec nie wystraszył się, gdy drzwi otworzyły się i do salonu z uśmiechem na twarzy wszedł starszy mężczyzna, sprawiający wrażenie bardzo wytwornego. Ponad sześćdziesięcioletni mężczyzna przestał już być atrakcyjny w klasycznym znaczeniu. Wiek rozrzedził jego niegdyś gęste włosy i wyłobił delikatne zmarszczki wokół ust. Ale właśnie dlatego wyglądał bardzo elegancko, prawie po szlachecka. Pomimo stroju.

- Tak się cieszę, że już tu jesteście.

Głos miał ciepły i miły. Pasujący do sympatycznej aury, którą niósł przed sobą niczym tarczę. Zaklaskał dwa razy w ręce z wyrazem uznania i powoli podszedł bliżej, patrząc wyłącznie na Simona. Szelest jego szlafroka zagłuszył odgłos delikatnego aplauzu, który i tak był wręcz niesłyszalny, ponieważ na dłonie mężczyzna nałożył już lateksowe rękawiczki.

10.

Carina rozwiązała kucyk, zdejmując różową gumkę do włosów. Jej Borchert polecił przebrać się za biegaczkę. Jego zdaniem nie było lepszego kamuflażu, żeby bez wzbudzenia sensacji w miejscu publicznym uciec przed prześladowcami.

W tej chwili gumka przypominała jej bardziej metalową obejmę zaciśniętą wokół eksplodującej czaszki.

Co się stało? Dlaczego Borchert nie odbiera telefonu? Gdzie jest Robert?

Z każdym uderzeniem serca potęgował się jej strach o Simona. Odczekała minutę i podjęła decyzję. Nie mogła dłużej siedzieć beczynn timer.

Przekreśliła kluczyk w stacyjce.

Tylko dokąd powinnam pojechać?

Wrzuciła bieg wsteczny i ostro uderzyła tylnymi kołami o wysoki krawężnik. *Nieważne.*

Spojrzała przed siebie. Chciała szybko wyjechać z parkingu, ale drogę zatarasował jej żółto-czerwony furgon.

Co do cholery...

Carina opuściła szybę i wrzasnęła w kierunku mężczyzny, który wysiadał właśnie z dwoma dużymi kartonami z pizzą w rękach.

- Spieprzaj stąd natychmiast! - wrzasnęła na niego.

Młody student wyszczerzył się figlarnie, wyraźnie rozbawiony nerwowymi oznakami gniewu na jej twarzy. Przesłał jej całusa.

- Daj mi minutkę, słodziutka. Zaraz do ciebie wrócę.

Carina czuła, jak panika zaciska jej pętlę wokół szyi.

Wszystko jest dozwolone, przypomniała sobie instrukcje Borcherta, których udzielił jej, zanim się rozłączyli. *Nie wolno nam tylko zwracać na siebie uwagi.*

To co miała teraz zrobić? Tył furgonu blokował jej wyjazd o szerokość opon, ale to wystarczało, żeby nie mogła ruszyć. Wyjazd od tyłu uniemożliwiała ogrodzona sosna.

Cholera jasna...

Carina wcisnęła klakson, a student machnął nonszalancko ręką, nawet się nie odwracając.

No pięknie. Nie zwracać na siebie uwagi.

Pociągnęła mocno w tył dźwignię zmiany biegów i wjechała z hałasem obydwoma kołami na krawężnik. Potem wrzuciła jedynkę, zdjęła nogę z hamulca i wdepnęła gaz do deski.

- Hej, hej, hej, panienko...

Golf uderzył bokiem w tylne drzwi furgonu.

- Zwariowałaś? - usłyszała krzyk studenta, który zamierzał właśnie zadzwonić do drzwi, ale zamiast tego rzucił pizzę na ziemię.

Z przerażeniem patrzył na swój samochód, który teraz stał krzywo na parkingu. Siła uderzenia rozbiła szybę w tylnych drzwiach.

Tak, zwariowałam, pomyślała Carina i powtórzyła manewr. Już przy drugim uderzeniu w zupełnie roztrzaskany błotnik usunęła przeszkodę z wyjazdu z parkingu.

- Stop! Stój!

Z wyjąłym silnikiem wystrzeliła w Aleję Argentyńską, nie zwracając uwagi na krzykającego dostawcę pizzy, który rozglądał się na wszystkie strony, szukając świadków tego niewiarygodnego zdarzenia.

Jej samochód też nie wyszedł bez szwanku. Tak przynajmniej można było sądzić po odgłosach tarcia. Jednak nie powstrzymało jej to przed jeszcze większym przyspieszeniem.

Co powiedział Borchert?

Carina zbliżała się do czerwonego światła, gorączkowo zastanawiając się, w którą stronę powinna skrócić na skrzyżowaniu.

Na Potsdamer Chaussee, przy stacji benzynowej, przypomniała sobie słowa Andiego.

Cholera, Andi. Tu na co drugim rogu jest stacja.

Zignorowała sygnalizację świetlną i skrzyła w prawo. Kierunek za miasto wydawał jej się bardziej logiczny niż z powrotem do centrum. Jakby okrucieństwa miasta rozgrywały się przed jego bramami, a nie za nimi, co oczywiście

było kompletną bzdurą. Musiała podjąć jakąś decyzję. Teraz mogła się już tylko modlić, że los w drodze wyjątku rozdał karty na jej korzyść.

11.

Gdzie jest Borchert?

Stern kierował swoją złość na byłego klienta, który z jakiegoś powodu znów się spóźniał. Pięć minut, mówił. Maksymalnie. Potem wejdzie do domu i obezwładni parkę. Po wstępie w przyczepie Harry ego dziś w południe nie miał żadnych wątpliwości, że Borchert wyciągnie z parki wszystkie informacje, których potrzebowali. Pod warunkiem, że w tych chorych głowach było coś wartościowego. Zdawali sobie sprawę, że stąpają po cienkim lodzie. Stern obiecał sobie, że to przedsięwzięcie będzie ich ostatnią desperacką próbą sprawdzenia, ile jest prawdy w twierdzeniach Simona.

I odnalezienia Felixa.

Bez względu na to, co się tu stanie. Zadzwoń później do Englera i odda ich w ich ręce. Był prawnikiem, a nie bandytą. A już na pewno nie prywatnym detektywem pracującym nad siatką pedofilów, której pełnoprawny członek siedział obok niego na kanapie i głaskał kolano Simona.

- Jeszcze o tym nie rozmawialiśmy, skarbie.

Kobieta ciągle stała przy barku. Wskazywała teraz swoim drinkiem na Simona.

- Ale przyjrzyj się dokładnie. Wydaje mi się, że ten chłopak jest chory.

- Tak, jesteś? - Mężczyzna podciągnął do góry brodę Simona. Lateksowa rękawiczka była jeszcze bledsza niż skóra dziecka. - Przecież mówiliśmy, że interesuje nas czysty towar. Co z nim jest nie tak?

Stern najchętniej złapałby mężczyznę za rękę i złamałby mu palce. Dłużej nie będzie w stanie panować nad sobą w towarzystwie tej wstrętnej pary. Jeśli Andi zaraz się tu nie pojawi, sam przejmie inicjatywę. Staruch ważył jakieś dwadzieścia kilo mniej niż on, był niezgrabny i przez to łatwy do obezwładnienia. Okularnica też nie sprawi kłopotu, jeśli tylko wykorzysta moment zaskoczenia. Przedłużacz i kabel od lampy powinny wystarczyć do związania ich. Pytanie tylko...

Stern zirytował się, że zanim zdążył zareagować, pośrednik sam zabrał lateksową dłoń z kolana Simona. Usłyszał cichy szum. Alarm wibracyjny stał się głośniejszy, kiedy pederasta wyjął płaską komórkę z kieszeni szlafroka.

- Tak, dziękuję - powiedział po fałszywej wymianie uprzejmości. Puls Sterna przyspieszył. Nie słyszał, z kim starzec rozmawiał. Ale wyglądało na to, że obaj bardzo dobrze się rozumieją. Mężczyzna roześmiał się głośno i podziękował jeszcze dwukrotnie, po czym jego uśmiech nagle zgasł. Rzucił Sternowi pełne nieufności spojrzenie. - Wszystko jasne, rozumiem - powiedział i się rozłączył.

Kanapa uniosła się, kiedy małżonek wstał i wziął Simona za rękę.

- On jest prawnikiem, poszukiwanym przez policję, który uprowadził to dziecko ze szpitala - wyjaśnił swojej żonie.

- Co to ma znaczyć? - spytał Stern, starając się nie stracić opanowania. Nie przyszło to łatwo, bo ze strachu niewiarygodnie skoczyło mu ciśnienie krwi. Sytuacja jeszcze się pogorszyła, gdy kobieta wymierzyła w niego pistolet. - Niech pani to natychmiast schowa! - zażądał. - O co chodzi?

- I my się chętnie o tym dowiemy, panie Stern. W co pan gra?

- W nic. Przyjechałem do was, żeby.. - Stern zająknął się zdenerwowany, ponieważ mężczyzna pociągnął Simona za sobą.

- Pójdziemy sobie na górę, a wy załatwcie tu interesy, moi drodzy Dobrze? - wyszczebiotał, przesyłając żonie całusa.

- Robert? - spytał niepewnie Simon, dając się prowadzić mężczyźnie.

Stern chciał wstać, spojrzenie kobiety powstrzymało go od tego. Zamrugał i zamknął na chwilę oczy, żeby zebrać myśli, które kołowały bezsensownie w głowie.

Co mam zrobić? Dlaczego nie ma tu jeszcze Borcherta? Co mam teraz zrobić?

Dobrze wyglądający potwór z chłopcem trzymanym za rękę odszedł kilka kroków Stern nie miał pojęcia, jak go powstrzymać przed opuszczeniem pokoju.

- Robert? - Simon odezwał się jeszcze raz. Brzmiał miękko, ciepło i przyjaźnie. Jakby prosił o pozwolenie, czy może dziś przenocować u kolegi ze szkoły. Nadal wierzył, że jego adwokat nigdy nie wpędzi go w tarapaty Przecież mu obiecał, że wyjaśni tę sprawę i ochroni go przed wszelkimi niebezpieczeństwami. W każdej sytuacji.

Oprócz tego chłopiec ciągle był przekonany o tym, że będzie musiał jutro na moście kogoś zabić. Dziś więc nic nie mogło mu się stać.

Stern wyczuwał, o czym myśli Simon, i dlatego wiedział też, co się zaraz stanie, jeśli natychmiast nie zareaguje.

Zostało mu jeszcze z pięć sekund, zanim obleśny staruch, któremu dostarczył chłopaka, opuści salon, żeby zaprowadzić go do jakiegoś zaciemnionego pokoju na wyższym piętrze.

Mylił się. Obaj zniknęli już po czterech sekundach.

Na wysokości Waldfriedhof złapał ją fotoradar przy prędkości ponad dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Nawet tego nie zauważyła, ale i tak zdjęła nogę z gazu, bo ruch na drodze zrobił się nagle gęstszy

Co tam się dzieje?

Przy Dreilindenstrasse wszystkie samochody ujechały naraz na prawy pas ruchu.

Korek? O tej porze?

Jeśli już, to musiał powstać po drugiej stronie jezdni, którą wracali do miasta wycieczkowicze z okolicznych terenów.

Sama również zjechała na prawy pas, zmniejszyła prędkość i dostrzegła powód zatoru. Samochód policyjny tuż przed światłami na skrzyżowaniu zablokował lewy pas.

Nie, nie, nie. Proszę nie.

Dlaczego akurat teraz musiała wpaść w pułapkę?

Zbliżała się do błyskającego niebieskiego światła, rozglądając się za funkcjonariuszem z lizakiem. Nie było nikogo. I jak na blokadę kolumna samochodów poruszała się nadzwyczaj równym tempem. Większość skręcała w prawo na stację S-Bahn, żeby nie...

O Boże.

Łzy napłynęły jej do oczu. Zdjęła obie ręce z kierownicy i przycisnęła je do ust. Za samochodem policyjnym stała mała srebrna osobówka. Światła awaryjne migwały tylko z jednej strony. Nigdzie nie widziała Borcherta, ale i tak nie miała najmniejszych wątpliwości, do kogo należała corolla.

Andi miał wypadek. Jest uziemiony. O mój Boże...

Dopiero po chwili dotarło do niej, jakie skutki niesie ten wypadek. Przez chwilę jej mózg nie był w stanie zaakceptować prawdy. To nie była blokada. Nie zostanie zatrzymana ani aresztowana. Stało się coś znacznie gorszego. Teraz. W tym momencie. Z Simonem. W jakimś miejscu, które znał tylko Robert. Robert, oczekujący właśnie ratunku, który nigdy nie nadejdzie.

I co? Co teraz?

Carina tworzyła w myślach szczątkowe zdania. Szukała wskazówki, która by jej zdradziła, dokąd zabrano Roberta i Simona. Przetoczyła się powoli przez skrzyżowanie obok corolli, wciśnięta między dwa inne auta. Spojrzała w lusterko wsteczne. Dwóch silnych policjantów przymierzało się do usunięcia samochodu Sophie z drogi.

Nagle przyszła jej do głowy myśl. Odwróciła się i wlepiła wzrok w chłodnicę.

To jest to! Samochód. Kierunek jazdy!

Corolla stała na wprost, jakby kierowca jechał wcześniej w stronę Poczdamu. To niedużo, jedynie mikroskopijna przesłanka do dalszych poszukiwań. Ale zawsze coś. Carina przyspieszyła za skrzyżowaniem, zachęcona myślą, że nie popełniła dotychczas żadnego błędu. Jechała dobrą ulicą w dobrym kierunku. Irracjonalna nadzieja dodała jej animuszu. Niestety tylko na jakieś dwieście metrów

A teraz?

Carina minęła zjazd w stronę Wannsee, nie wiedząc, że w ten sposób straciła ślad.

- Urowadzony ze szpitala? Co właściwie dolega biedakowi? - Cyniczna kobieta udawała zatroskaną ciotkę, cały czas trzymając Sterna w szachu wycelowanym w niego pistoletem. - Mam nadzieję, że nie jest zarażony?

Robert nie był w stanie odpowiedzieć. Wpatrywał się w otwarte drzwi, przez które wyszedł Simon z podnieconym starcem. Wziął głęboki oddech.

Już na samą myśl, że musi oddychać tym samym powietrzem co kobieta i że być może z każdym wdechem wchłania to, co ona wydziła z siebie, robiło mu się niedobrze.

- Zdaje już pan sobie sprawę, że nie zapłacimy za wybrakowany towar, prawda? - Twarz za okularami słonecznymi uśmiechnęła się zimno. Kiedy zapalała kolejnego papierosa, Stern usłyszał kroki na schodach. Skrzypiące skórzane pantofle zagłuszały delikatny pisk tenisówek Simona. Oddalające się odgłosy stawały się coraz cichsze.

- No, no, proszę się nie ruszać. - Kobieta wyciągnęła przed siebie dłoń z bronią. - To nie potrwa długo. Za czterdzieści pięć minut mój mąż zrobi krótką przerwę i nadejdzie moja kolej.

Wyszminekowane ciemnobrązowe usta przesłały mu całusa.

W Sternie wezbrały mdłości i podniósł oczy na sufit.

- Zaraz się zacznie - usta kobiety przeraźliwie się rozciągnęły. To pewnie miał być uśmiech.

Po tych słowach z pierwszego piętra doszła do nich muzyka poważna. Pedofil musiał być wielbicielem opery. Stern rozpoznał fragmenty melodii z *Traviaty*. Po raz pierwszy w życiu życzył sobie, żeby Verdi nigdy nie skomponował tych arii.

- No dobrze. - Spojrzała na zegarek. - Wykorzystajmy ten czas na małą pogawędkę. Niech pan mówi, czego pan naprawdę od nas chce?

- Czy to nie jest oczywiste? - Stern miał nadzieję, że nie zauważy drżenia jego głosu. Sopranistka nad ich głowami zabrzmiała dynamiczniej. - Zamówiliście chłopca, a ja go dostarczyłem.

- Bzdura.

Nie była głupia. Nie popełniła błędu i nie zbliżyła się do niego. Z tej odległości mogła wpakować w niego cały magazynek, zanimby pokonał połowę dzielącej ich przestrzeni. Jediną bronią, którą mógł się posłużyć, był głos i rozum. Jednak jak na razie broń ta zawodziła.

Gdzie, do diabła, jest Borchert?

- Nie jest pan donosicielem. Policja pana poszukuje. Nie porusza się pan w naszych kręgach. Nie zachowuje się pan też jak adwokat. Dlaczego więc odpowiedział pan na nasze ogłoszenie?

- Mogę wszystko wyjaśnić - skłamał. W rzeczywistości nie miał pojęcia, co mógłby powiedzieć lub zrobić, żeby ograniczyć zagrożenie. Znów usłyszał kroki nad sobą.

- Słucham.

Stern gorączkowo szukał przekonującej odpowiedzi. Zastanawiał się, co mógłby jeszcze zrobić. A Simon miał na górze coraz mniej czasu. Stern starał się zachować spokój na zewnątrz. W środku szykował się do ucieczki. Nie widział jednak żadnych drzwi, przez które mógłby wyrwać się z tej beznadziejnej sytuacji. Jeśli teraz wstanie, zginie.

- No? Co jest? Nagle pan zaniemówił? To przecież bardzo proste pytanie. Dlaczego porwał pan ze szpitala dziecko i przywiózł je do nas?

Robert zauważył, że tupanie na górze przybrało określony rytm. Ten czubek tańczył! W takt tych posuwistych kroków przyszła mu do głowy pewna myśl. Najpierw nie potrafił jej sprecyzować, później wszystko stało się jasne. Było coś, co mógł zrobić. Coś na wskroś odrażającego i zboczonego, za co sam będzie się później nienawidził. Skinął głową jak ktoś, kto wpadł na jakiś pomysł, i po-

woli podniósł rękę.

Delikatnie i ostrożnie. Żeby nie sprowokować żadnych nagłych reakcji u kobiety.

- Co pan robi?

- Odpowiadam na pytanie. Pokażę pani, czego chcę.

Kobieta uniosła lewą brew do góry tak wysoko, że Stern mógł ją zauważyć nad oprawką okularów. Prawą rękę położył sobie na piersi i zaczął rozpinać guziki koszuli. Jeden, potem drugi.

- O co panu chodzi?

- Czy mogę zdjąć marynarkę?

- Jeśli pan chce...

Stern pozwolił, żeby marynarka opadła mu z ramion.

Rozpiął wszystkie guziki koszuli i siedział do połowy nagi na kanapie.

- I co teraz?

Zamiast odpowiedzieć, Stern przeciągnął językiem po wargach. Przełknął dwa razy ślinę. Miał nadzieję, że wyglądał nieprzyzwoicie i namiętnie, chociaż coraz mocniej dusił w sobie wzbierające wymioty

- Ach, proszę pana. - Kobieta podniosła znów broń, którą opuściła na krótką chwilę. - I ja mam w to uwierzyć?

- Dlaczego nie? Po to tu jestem. - Stern zsunął z nóg czarne skórzane buty i zaczął rozpinać pasek od spodni. - Sama przecież pani powiedziała, że nie jestem gliną. Ani kretem. Jestem tylko napalony. - Wyciągnął pasek ze szlufek spodni i rzucił go do niej. - Niech pani do mnie podejdzie. Niech się pani przekona.

Stern nie widział jej oczu. Dlatego też nie wiedział, czy jego teoria się sprawdza. Doświadczenie prawnika nauczyło go, że zawsze istnieje kawałek mięsa, który można podstawić przeciwnikowi pod nos, żeby ten popędził jak chart w określonym kierunku. Trzeba tylko go znaleźć. U większości ludzi była to żądza, wymuszająca na nich rzeczy, których później żałowali.

- Pan zwariował - zaśmiała się kobieta, gasząc papierosa.

- Może. Ale jeśli pani chce, udowodnię, jak bardzo jestem poważny
Stern zdjął skarpetki. Teraz miał na sobie jedynie cienkie spodnie od garnitu-
ru.

- A jak?

- Proszę tu podejść. Proszę mnie dotknąć.

- Nie, nie, nie. - Pozostała na swoim miejscu, nadal grożąc mu bronią. - To
mnie nie podnieca. Ale mam lepszy pomysł.

- Jaki?

Stern musiał się uśmiechnąć. Tym razem nie udawał. Połknęła haczyk. Jesz-
cze nie całkiem, ale widział jej przyspieszony oddech i słyszał rozpromieniony
niski ton jej głosu. Dotknął wrażliwej struny. Pytanie tylko, czy odpowiedniej.

- Niech pan wstanie. - Kobieta szła tyłem do drzwi, pilnując odległości mię-
dzy nimi.

Posłuchał. Ruch był dla niego dobry Kierunek też się zgadzał. Wszystko by-
ło lepsze od bezużytecznego siedzenia na kanapie i czekania, aż głos sopranistki
zmiesza się z krzykiem Simona. Tak przynajmniej myślał do momentu, aż kobie-
ta powiedziała:

- Zobaczymy, jak bardzo będzie pana kręciło, kiedy poprosimy mojego mę-
ża, żeby na nas patrzył.

14.

Panika sparaliżowała wewnętrznie Carinę.

Co powinna teraz zrobić? Jechać dalej prosto Königstrasse? Jak daleko? Do mostu Glienicker? A może skręcić wcześniej w prawo? Równie dobrze mogłaby wybrać którąś z prostopadłych ulic po lewej stronie.

Zadzwoiła komórka leżąca na siedzeniu pasażera. Prawie wysliznęła się jej z rąk, kiedy otwierała klapkę.

- Borchert? - krzyknęła głośno.

- Zimno. - Strach przeszył ją do szpiku kości, gdy usłyszała zniekształcony „głos”.

- Kto mówi? Czego chce pan ode mnie?

- Zimno.

W szale trwogi o Simona próbowała zebrać myśli. Po prawej stronie miała Endestrasse. Omal w nią skręciła. Nazwa idealnie pasowała do jej sytuacji.

- O co chodzi? Czy to jakaś gra? - spytała.

- Ciepło.

Carina stuknęła bezwiednie palcami prawej dłoni o kierownicę. Czy to możliwe? Czy stała się właśnie marionetką „głosu”, o którym opowiadał jej Robert? Ale dlaczego?

Koszmarne podejrzenie sprawdziła, zadając jedno proste pytanie:

- Nadal jadę w dobrym kierunku?

- Ciepło.

Rzeczywiście. Ten wariat chce w coś grać. Mam być jego ciuciubabką.

- Okej, mam jechać aż do Poczdamu, tak?

- Zimno.

Więc muszę wcześniej skręcić.

- Tu? W Kyllmannstrasse?

- Zimno.

- No to w lewo?

- Ciepło.

Carina zjechała na zewnętrzny pas ruchu.

- Zaraz dojadę?

- Ciepło.

Obejrzała się, ale za nią i przed nią jechało kilkanaście samochodów i dwa motory. Nie miała szans na zlokalizowanie prześladowcy.

- Grassoweg? Mam skrócić w Grassoweg?

Zniekształcony „głos” dał jej kolejny pozytywny sygnał.

Nie zwracając uwagi na jadące z naprzeciwka samochody, Carina skrzyła gwałtownie kierownicą i prawie doprowadziła do czołowego zderzenia z ciężarówką z kwiatami. Kierowca ciężarówki zahamował ostro i wpadł w niebezpieczny poślizg. Wściekły koncert klaksonów zaczął się dopiero wtedy, gdy zagrożenie minęło i Carina pędziła małą uliczką.

- Tu? Na tej ulicy?

- Zimno.

Zdjęła nogę z gazu. Uliczne oświetlenie było tak słabe, że miała kłopoty z odczytaniem znaków przy następnym rozwidleniu.

- Am Kleinen Wannsee? - rozszyfrowała wreszcie.

- Ciepło - pochwalił ją „głos” i po raz pierwszy podczas tej rozmowy zdradził emocje. Mężczyzna zaśmiał się.

Numer domu? Jaki numer domu?

Carina zastanowiła się nad następnym pytaniem, dzięki któremu mogła zbliżyć się do celu i uratować Simona.

- Ponad sto?

- Ciepło.

- Sto pięćdziesiąt?

- Zimno.

Potrzebowała jeszcze siedmiu kolejnych prób, zanim zatrzymała się przed czteropiętrową wspaniałą willą z numerem 121.

15.

Najważniejszej zasady wygrywania beznadziejnych spraw z bardzo silnymi przeciwnikami Stern nauczył się nie na studiach prawniczych, tylko od swego ojca.

- Znajdźcie słabość w sile przeciwnika. Wykorzystajcie przeciwko nim ich największy atut. - Standardową przemowę wygłaszał jako honorowy trener młodzieżowej drużyny piłkarskiej z ligi okręgowej.

Robert zastanawiał się, czy ta maksyma może mu pomóc dziś, kiedy nie chodziło o gole, podania i pressing, ale o jego życie. Wychodząc boso i z nagim torssem z salonu przed kobietą, począł analizować w myślach swoją sytuację. Była fatalna. Kobieta miała co najmniej kilka atutów po swojej stronie.

Największy to dziewięćmilimetrowy pistolet, który trzymała w dłoni. Oprócz tego willa zdawała się hermetycznie odcięta od świata. Naturalne było, że w pustym domu, gotowym do wynajęcia, wszystkie drzwi i okna zamknięto i zabezpieczono przed włamywaczami. Jeśli więc nawet wykorzystaliby dzielącą ich odległość i pobiegłby korytarzem do tylnego wyjścia, istniało małe prawdopodobieństwo, że natrafi na otwarte drzwi albo niezabezpieczone okno.

Duży dystans, broń, zamknięty jak w kontenerze -gdzie leży słabość w ich sile?

Jak zawsze, kiedy głowił się nad trudnym przypadkiem, mięśnie karku Sterna były mocno napięte. Przy biurku w kancelarii nieomylnie oznaczały nadchodzącą migrenę. Ale tu, wiedział to na pewno, czekają go dużo większe bóle.

Świeżo pomalowane dębowe panele zatrzeszczały pod ciężarem Sterna, kiedy wszedł na pierwsze stopnie schodów. Muzyka dochodząca z góry stawała się z każdym krokiem coraz głośniejsza. Ucichły jedynie posuwiste kroki.

Przestał tańczyć.

Stern starał się nie myśleć o tym, co mężczyzna teraz robił. Z Simonem.

- Niech się pan nie odwraca - mruknęła kobieta, kiedy minimalnie zwolnił i spojrzał za siebie przez ramię. Nic jednak nie rozpoznał. Stern nie wiedział, jaki dystans ich dzielił. Sądząc po głosie, mogła iść za nim albo zatrzymać się u podnóża schodów. Wszystko, co w tej chwili widział, to jasne promienie światła i rozmyte kontury. Jego wzrok natrafił niestety na jedną z halogenowych lamp, które oświetlały nienaturalną bielą całe schody od dołu. Dodatkowo światło odbijało się od gołych kremowych ścian. Stern musiał kilka razy zamrużyć, żeby usunąć cienie, które tańczyły mu przed oczami...

I wtedy nagle zobaczył przed sobą rozwiązanie. Ich słabość. Znajdował się teraz mniej więcej w połowie schodów i zbliżał się do bardzo prostego sposobu na odwrócenie karty. Problem polegał na tym, że nie był pewien, czy to zadziała. Mógł mieć jedynie nadzieję.

Musiał zaryzykować, spróbować zrobić coś, co mogło okazać się jego największym i tym samym ostatnim błędem w życiu.

16.

Carina wysiadła z samochodu, rozglądając się wokół budynku przed sobą za jakimikolwiek oznakami życia.

- Tu?

Spojrzała w górę. Kopulasty dach rozciągał się niczym peruka angielskiego sędziego nad żółtą, niedawno odrestaurowaną willą z końca dziewiętnastego wieku. Na żadnym piętrze nie paliło się światło. Wszędzie opuszczone były żaluzje albo zamknięte okiennice.

- Ciepło - odpowiedział „głos”. Starła się nie stracić równowagi na zdrętwiałych nogach, podchodząc do furtki z kutego żelaza. Zdziwiła się, kiedy się okazało, że jest otwarta.

A teraz?

Otworzyła suwak małej saszetki zamocowanej przy pasie. To była część jej przebrania. Wśród lekarstw Simona, kilku drobnych i różnych przedmiotów, które zachowała dla Sterna, miała pistolet Rohm RG 70. „Prezent” od Borcherta.

- Na wszelki wypadek - powiedział. - Mały i uroczy Stworzony dla delikatnej kobiecej dłoni.

Ogarnęło ją nieznane uczucie, gdy zwirową drogą szła w głąb posiadłości. Jeszcze nigdy w życiu nie wzięła do ręki broni. Zwłaszcza z zamiarem użycia jej przeciwko człowiekowi.

- Otwarte? - spytała po dotarciu do zdobionych drzwi. Po raz pierwszy nie otrzymała odpowiedzi. Ostrożnie popchnęła drewniane drzwi wejściowe. Zamknięte.

Carina obróciła się, ale nikogo nie zauważyła na ulicy marnie oświetlonej staroświeckimi latarniami. Żadnego przechodnia. Żadnego prześladowcy. Nic oprócz ulicznego szumu dochodzącego z pobliskiej Königstrasse.

- Jak mam tam wejść? - spytała nieznajomego po drugiej stronie linii. - Tylnym wejściem?

Znów żadnej odpowiedzi. Tylko ciężki oddech.

Spojrzała na wjazd do podziemnego garażu w lewym skrzydle willi i zauważyła świeże ślady opon na mokrych liściach. Odwrócona plecami do drzwi powiedziała:

- Garaż? To tam? Mam wejść przez garaż?

„Głos” nadal milczał. Nawet oddechu już nie słyszała.

- Cholera - powiedziała do samej siebie.

Nie mam ani sekundy do stracenia. Nie mogę teraz przeszukiwać całego podwórka, gdy w środku znęcają się nad Simonem...

Zacisnęła dłoń na twardej rękojeści pistoletu, jednocześnie wciskając mosiężny dzwonek wskazującym palcem lewej ręki. Nie była detektywem ani wyszkoloną policjantką. Na tym terenie i tak nie miała szans. Mogła jedynie im przeszkodzić...

- Dzwonię do drzwi - powiedziała w słuchawkę i docisnęła dzwonek.

- Zimno - odpowiedział dźwięczny „głos” bezpośrednio nad jej głową.

Najpierw poczuła między skroniami pulsujący wybuch. A później już kompletnie nic.

17.

Każdy stopień był katorgą. Z każdym kolejnym krokiem zbliżał się do możliwego końca swego życia. Ale tu nie chodziło o niego. Jego śmierć bulwarowe gazety odnotowałyby jedynie krótką wzmianką na lokalnych stronach. I słusznie. Bo o wiele bardziej znacząca tragedia rozgrywała się w pokoju kilka metrów da-

lej, skąd z niesłabnącą siłą rozbrzmiewała włoska opera. *To wyłącznie moja wina.*

Zamarkował lekkie zachwianie równowagi i oparł się na moment o ścianę po lewej stronie.

- No? Już pan osłabł? Przecież jeszcze nie zaczęliśmy.

Okej, jest tuż za mną. Zaledwie kilka stopni. Pewnie się boi, że na górze za rogiem zniknę z linii strzału.

Stern wiedział, że za chwilę wszystko musi się potoczyć bardzo szybko. Będzie się trzymał lewej strony Z dala od poręczy Jeszcze tylko pięć stopni.

Korytarz, do którego prowadziły schody, widać było coraz wyraźniej. Również donica ze sztuczną paprocią ustawiona tuż obok poręczy na górze imponowała wielkością, im bardziej się do niej zbliżał.

Często najprostsze rozwiązania dają najlepszy efekt, przypomniał sobie kolejną mądrość życiową swojego ojca. Czy jego plan się powiedzie, zależało wyłącznie od czterech prostych kwadratów z plastyku. Jeszcze dwa stopnie.

Ostrożnie wyciągnął dłoń. Czuł, jak krew dopływa do czubków palców, jakby ktoś zdjął mu mocno zaciśnięty opatrunek. Wolałby złapać prawą ręką, ale to byłoby zbyt przewidywalne.

Jeszcze jeden stopień.

Ogarnął wzrokiem cały korytarz, w którym oprócz małego stolika z otwartym prospektem o nieruchomościach nie znalazł nic wartościowego. Także żadnego okna. Na szczęście!

Ostatni stopień Stern pokonał, jakby wskoczył na kruszącą się tafłę lodu. Przewyciężył odruch spojrzenia za siebie, wstrzymał oddech i skoncentrował się wyłącznie na najbliższych sekundach, całkowicie ignorując męskie mruczenie docierające do niego wraz z dźwiękami arii.

Simon nie może być daleko.

- Proszę iść w lewo, trzecie drzwi po prawej stronie.

Zresztą przecież pan słyszy...

Kobieta nie dokończyła zdania. Przerażliwy krzyk rozszedł się nagle wśród gołych ścian.

Stern wykorzystał nieoczekiwany hałas, żeby w ostatnim akcie rozpaczliwie odwrócić kartę na swoją korzyść. Wcisnął po prostu wyłącznik światła, znajdujący się u szczytu schodów na wysokości ramion. Tu leżała słabość w ich sile. Zamknęli przed nimi wszelkie drogi ucieczki, ale antywłamaniowe żaluzje odcięły również światło dzienne. Jak tylko halogenowe żarówki zgasną, Stern błyskawicznie się pochylił, a cały korytarz utonął w całkowitej ciemności. W ciemności, która umożliwi mu przyciągnięcie sztucznej paproci i zepchnięcie jej na schody prosto w kobietę.

Tyle teoria.

W praktyce wyglądało to trochę inaczej. Już wciskając wyłącznik, Stern zdał sobie sprawę z niepowodzenia. Ciemność wcale nie zapadła. Wręcz przeciwnie. Dodatkowe fale światła rozeszły się niespodziewanie po dotychczas ciemnym korytarzu. Zamiast zgasić światło, zapalił dodatkowe lampy na drugim piętrze. Dlatego zboczona psychopatką idąca za nim nie miała problemów z wycelowaniem i naciśnięciem spustu.

18.

W pokoju znajdowało się tyle różnych rzeczy, które dziwiły Simona. Zaczęło się od śmiesznych odgłosów, jakie powstawały, gdy szedł w tenisówkach po

błyszczącej podłodze.

Kiedy usiadł na brzegu łóżka, zobaczył w przytłumionym czerwonym świetle, że na całym parkiecie rozłożono przezroczystą folię.

Mężczyzna wyjął klucz z drzwi i podszedł do czarnego statywu stojącego w rogu. Obiektyw przymocowanej do niego małej kamery cyfrowej skierowany był prosto na łóżko, na którym Simon musiał usiąść. Mężczyzna wcisnął jakiś przycisk i mały czerwony punkt tuż nad soczewką zaczął się świecić. Potem podszedł do jedyne go okna w pokoju, zasłoniętego ciężką gumową kurtyną, i włączył wieżę stereo.

- Lubisz muzykę? - spytał.

- To zależy - wyszeptał Simon, ale mężczyzna już go nie słuchał. Kołysał się w takt melodii, puszczonej z CD. Simon nie był przekonany, czy to mu się podoba. Coś podobnego słyszał już raz w biurze kierowniczk i domu dziecka i wcale nie przypadło mu to wtedy do gustu.

Mężczyzna w szlafroku zamknął oczy. Zdawał się nieobecny duchem. Simon chciał wstać i wyjść. Opowiadano mu o takich typkach. Kiedyś przyszedł nawet policjant do szkoły, żeby pokazać im zdjęcia mężczyzn, których powinni unikać. Ten tu wyglądał jednak jakoś inaczej.

Nagle muzyka stała się znacznie głośniejsza, a Simon musiał zakasłać. Zaszumiało mu w głowie. Oparł się o ramę łóżka, aż minęło pierwsze uczucie bezsilności. Zauważył przy tym dużo medycznych przyrządów, które leżały na szklanym stoliku obok łóżka.

Co to jest?

Naraz powrócił strach, właściwie zupełnie nieuzasadniony. Mężczyzna nie mógł mu nic zrobić. Przecież jutro o szóstej rano spotka kogoś na moście. Jak długo trzymał się tej myśli, nie powinien się niczego obawiać.

Niepokój Simona wzrósł jednak, gdy zobaczył strzykawki.

Podobne przedmioty znalazł ze szpitala, ale nawet tam nie były one tak duże. Nie potrafił też domyślić się, do czego służy metalowy łańcuszek leżący na zielonej podkładce między skalpelem i małą piłą. Wyglądał jak mały łańcuch do roweru ze spinaczami do bielizny na obu końcach.

- Podejdź tu do mnie.

Minęło kilka minut, podczas których mężczyzna tańczył sam na środku pokoju. Jego głos brzmiał przyjaźnie. Simon, który zamknął oczy, żeby odpocząć, spojrzał i natychmiast odwrócił wzrok. Mężczyzna opuścił szlafrok na podłogę i nie miał na sobie nic więcej oprócz lateksowych rękawiczek.

- No chodź.

- Po co? - spytał Simon, myśląc o Robercie.

- Przynieś mi to z łóżka, proszę. Dobrze?

Simon zobaczył, na co wskazywał mężczyzna. Znowu zakasłał i poczuł się jeszcze bardziej bezsilny. Mimo to wziął ten przedmiot z poplamionego materaca, na którym nie było ani prześcieradła, ani pościeli.

Wstał i na chwiejnych nogach podszedł do mężczyzny. Z każdym krokiem był coraz słabszy, jak wtedy, gdy założył się z Jonaszem, że wygra w biegach. Lewa ręka znowu zaczęła lekko drętwieć. Miał nadzieję, że Stern wreszcie go stąd wyciągnie.

- Świetnie! - wysapał mężczyzna, przerywając taniec. Wyciągniętą ręką, w której dotychczas trzymał niewidoczną partnerkę, dotknął delikatnie jego ramienia. Stuknął raz, drugi. Potem roześmiał się, jakby usłyszał dobry dowcip.

- Wiesz, że jesteś śliczny?

Simon pokręcił głową.

- Tak, tak. Ale mógłbyś wyglądać jęlcze piękniej.

- Nie chcę.

- Chcesz, zaufaj mi.

Simon poczuł, jak siłą wyrwał mu z ręki torbę. Później nie widział już nic. Chciał zaczerpnąć powietrza, ale nie mógł. Jak balonik folia wypełniła jego usta. Wykorzystał ostatnie rezerwy siły i poderwał ręce do góry, żeby ściągnąć torbę z głowy, ale mężczyzna złapał go za nadgarstki, przytrzymał je i skrepował za jego plecami taśmą przyklepną. Simon chciał krzyknąć, lecz brakowało mu powietrza. Zamiast tlenu chwycił w usta mały kosmyk włosów. Włosy z własnej peruki, która zsunęła mu się z głowy, gdy mężczyzna zaatakował go plastikową torbą.

- Tak, teraz wyglądasz pięknie - usłyszał szczebiot nagiego mężczyzny, który szarpnął go silnie tam, gdzie niedawno siedział. W stronę łóżka. - Dużo lepiej.

Simon stąpał na oślep we wszystkich kierunkach, co chwila natrafiając na miękki opór, i szybko zrozumiał, że w ten sposób sam sobie szkodzi.

Był coraz bardziej zmęczony, coraz bardziej bezsilny, a jego płuca zdawały się wkrótce pęknąć. Dlatego nie zdziwił się tak bardzo, gdy usłyszał głośny huk rozdierający muzykę.

Wystrzał na korytarzu powstrzymał na chwilę mężczyznę, później jednak wyszczerzył się on i urwał długi kawałek taśmy, żeby zakleić torbę wokół szyi chłopca. Dopiero wtedy będzie miał wolne obie ręce. A potrzebował ich do tego, co właśnie zamierzał zrobić.

Kiedy padł strzał, świat wokół niego eksplodował. Ból po huku był nie do wytrzymania, chociaż nie rozchodził się w tej części ciała, gdzie się tego spodziewał. Stern przewrócił się do przodu i walnął głową w wazon z kwiatami. Upadł bardziej odruchowo niż z prawdziwej konieczności. Był pewny, że przed śmiercią zobaczy ranę w brzuchu, gdy strzał przesyje go od tyłu. Nie słyszał jednak nic, wykasływał płuca i po każdym kolejnym oddechu czuł się, jakby zaraz miał spłonąć od środka. Wieki trwało, zanim zrozumiał, co się stało. Gdy wydało mu się, że oślepl, wiedział już na pewno.

Gaz łzawiący.

Pistolet nie był załadowany śmiertelną amunicją. Pedofilskie małżeństwo mogło być zboczone, ale niezdolne do morderstwa. A może zabijali w inny sposób? Zwykła kula nie dostarczała im pewnie wystarczających podniet.

Gdy kobieta również nagle zaczęła się krztusić, dotarło do Sterna, że wszystkie jego przypuszczenia były błędne.

- Cholera - nawet to jedno słowo, które wypowiedziała, dało się z trudem zrozumieć. Jej błona śluzowa przypominała wodospad Niagara.

Stern przekręcił się na brzuch i spojrzał w dół schodów. Oczy mu łzawiły, jakby wtarł w nie środek do czyszczenia toalety, ale udało mu się dostrzec, że kobieta stała zaledwie kilka stopni niżej. Skuliła się i przecierała oczy. Ona też nie miała maski przeciwigazowej.

Nie wiedziała, czym była naładowana broń, wywnioskował Stern. Obydwoje szaleńcy udawali tylko zawodowców, a faktycznie byli zupełnie niedoświadczeni. Prawdopodobnie nigdy wcześniej nie sprawdzili broni. Dlatego premiera się nie powiodła.

Stern spróbował wstać. To, co wydarzyło się później, było tak samo zaskakujące jak otaczająca ich chmura gazu. Zataczał się, podłoga wirowała mu przed oczami; przekonany, że spokojnie może zrobić jeszcze krok na korytarzu, stracił równowagę i runął ze schodów

Kłujący ból przeszył jego plecy, kiedy dwa stopnie niżej staranował kobietę niczym torpeda. Zakotłowało się. Nie potrafił odróżnić, czyje części ciała powodowały tępy stukot. Drugi raz z rzędu uderzył głową w coś twardego, pewnie w stopień. Z nosa pociekła mu krew. Na brzuchu ześliznął się w dół schodów i nagle lewa noga niemiłosiernie zaboląła.

Przy upadku stopa zaklinowała się między szczeblami barierki, tak że cały ciężar ciała wisiał teraz utrzymywany przez staw skokowy

Zerwanie więzadła. Naciągnięcie ścięgna. Pęknięcie torebki stawowej. Ból był tak silny, że wszystko mogło się stać. Nie przejmował się tym. Ostrożnie uwolnił stopę i przez ścianę łez dostrzegł, że jego przeciwniczka odniosła znacznie gorsze obrażenia. Nie ruszała się. Jej kolano i reszta ciała były wykręczone pod nienaturalnym kątem.

Stern podciągnął się na poręcz. Kiedy spróbował stanąć na lewej nodze, wzdrygnął się jak przed borowaniem zębów. Na jednej nodze wskoczył więc na górę. Odniósł wrażenie, że błony śluzowe same z siebie przestały piec.

Trzecie drzwi na prawo, powiedziała. Wskazówka nie była potrzebna. W tym stanie, w jakim był, i tak mógł korzystać tylko ze słuchu. Opera ciągle przenikała przez masywne dębowe drzwi, za których klamkę Stern mocno pociągnął.

Zamknięte.

Robert podjął decyzję w ułamku sekundy. Cofnął się, zignorował brutalny ból, który przy każdym kroku pulsował w lewej nodze. Chwycił donicę, której jednak nie udało mu się od razu unieść. Zamiast ziemi do kwiatów wypełniono ją ciężkim białymi krzemieniami. Pociągnął ją najpierw kilka metrów za sobą, podniósł powoli tuż przed celem i z całym impetem rzucił obydwoma rękami na drzwi, nie zwracając uwagi na trzaśnięcie w kregosłupie. Klamka odłamała się i cały zwykły zamek się obluzował. Nagim ramieniem Stern rzucił się na dębowe drzwi. Raz. Drugi. Aż wreszcie zataczając się z bólu, wpadł do pokoju.

To, co tam zastał, okazało się gorsze niż wszystko, co dotychczas widział w swoim życiu. Wzbierał w nim jeden jedyny krzyk: *Za późno!*

20.

Najpierw zobaczył mężczyznę. Gołego. Zlanego potem i sparaliżowanego strachem. Wolno opadające podniecenie odebrało mu chyba wszelkie odruchy obronne. Nie uciekał. Schował tylko twarz w obu dłoniach.

Stern odwrócił się w stronę łóżka. Momentalnie zrozumiał, że postać z zakrytą głową to Simon. Związany, z głową w taniej torbie z supermarketu, leżał nieruchomo na brudnym materacu.

- Mogę to wszystko wyjaśnić... - wyjąkał staruch, podczas gdy Stern zaślepiony łzami, wściekłością i bólem podskoczył do kamery, złapał za statyw i jednym uderzeniem roztrzaskał mu szczękę. Mężczyzna osunął się do tyłu, zrzucając na podłogę wieżę stereo. Muzyka Verdiego ucichła w momencie, kiedy Stern rzucił się szczupakiem na łóżko, uniósł głowę Simona i rozerwał foliową torbę.

Wtedy prawie krzyknął. Z bezgranicznej ulgi. Dotychczas wszystko zrobił źle, ale nie przegrał. Przynajmniej nie stracił Simona. Mały zakasłał jak rozbitek, którego dopiero co wyciągnięto z wody. Gwiżdżące odgłosy oddechu Simona wypełniające tlenem płuca były piękniejsze od każdej symfonii.

- Przepraszam, tak mi przykro - wyszeptał, przyciągając do siebie chłopca, który usiadł prosto na łóżku. Zaraz potem zerwał torbę i przytrzymał w dłoniach

głowę Simona jak największy skarb, uważając, żeby nie wtulić go w zakrwawioną pierś.

- Już... - chłopiec chwycił łapczywie powietrze - ...już dobrze. - Simon wykrztusił jeszcze kilka słów i znów zaczął kasłać. Stern odsunął się trochę od niego. Na szczęście chmura gazu łzawiącego zawisła nad schodami i nie rozprzestrzeniła się po całym domu. Obawiał się jednak, że do włosów przykleiło mu się wystarczająco dużo podrażniających cząstek, które dodatkowo mogły zatruć Simona.

- Ufff... ajjj - wyrzęził chłopiec. Miał widocznie dość siły, żeby siedzieć, podczas gdy Stern najchętniej położyłby się spać. Gdy Simon powtórzył niezrozumiałe sylaby, wreszcie zrozumiał.

Uważaj!

Odwrócił się akurat w odpowiednim momencie, zanim mężczyzna z na wpół zmasakrowaną twarzą wysunął się z pokoju.

- Nie ruszaj się! - krzyknął i znów złapał za statyw, z którego kamera już dawno spadła. Tym razem przyłożył mu w piszczele. Mężczyzna kiwnął tylko głową i rycząc z bólu, wyłożył się tuż przed progiem.

- Ani centymetra dalej. Inaczej zabiję cię jak twoją porąbaną żonkę.

Stern pochylił się nad pederastą, dławiącym się własnymi okrzykami bólu. Pokazał mu skalpel, który zabrał ze stolika. Zastanawiał się, co ma teraz zrobić. Najchętniej wbiłby mu w stopę nóżkę od statywu albo wepchnął ostrze pod paznokieć. Nie mógł jednak tego zrobić w obecności Simona. Chłopiec widział już wystarczająco dużo przemocy. Gorzej - doświadczył jej na własnej skórze. Jego zdaniem chłopiec powinien teraz trafić w ręce psychologa.

- Niech pan posłucha, może dojść do porozumienia - wybełkotał mężczyzna. Leżał przed nim przyszpilony do podłogi. Jego dotychczas sympatyczny wyraz twarzy zmienił się nie tylko z powodu przesuniętych zębów. - Mam pieniądze. Pana pieniądze. Jak się umawialiśmy

- Zamknij się! Nie chcę żadnych pieniędzy!

- To co? Po co pan tu przyjechał?

- Simon, nie patrz teraz, proszę - powiedział Stern, podnosząc znów statyw. Mężczyzna podciągnął kolana aż pod samą brodę, zakładając ręce za zakrwawioną głowę w geście obronnym.

- Nie, proszę, nie - błagał. - Zrobię wszystko, czego pan chce. Proszę.

Stern pozwolił mu jeszcze przez chwilę drżeć w oczekiwaniu na kolejny cios, aż wreszcie spytał:

- Gdzie masz komórkę?

- Co?

- Twoja pieprzona komórka! Gdzie ona jest?

- Tam. - Mężczyzna pokazał na leżący przed łóżkiem szlafrok. Stern cofnął się o krok i go podniósł.

- W prawej kieszeni.

Robert prawie nie rozumiał bełkotu pedofila. W końcu znalazł telefon i wyciągnął go w kierunku mężczyzny.

- Co mam zrobić?

- Zadzwoń do niego.

- Do kogo?

- Twojego kontaktu. Osoby, z którą rozmawiałeś w salonie. Szybko. Chcę z nim mówić.

- Nie, to niemożliwe.

- Dlaczego?

- Bo nie mam jego numeru. Nikt nie zna numeru „handlarza” - mężczyzna wypowiedział ostatnie słowo, jakby to było nazwisko. Nawet w tak beznadziejnej sytuacji czubek nie potrafił ukryć szacunku dla wpływowego intryganta.

- Jak się z nim kontaktujesz?

- Przez e-mail. Piszemy do niego, a on oddzwania. Tak też było w waszym przypadku. Tina... - Zakasłał. – Tina jeszcze z samochodu wysłała przez telefon pana nazwisko i numer dowodu osobistego. I on do nas zadzwonił.

Tina! Umierający potwór przy schodach miał teraz swoje imię.

- Okej, to dawaj jego e-mail.

- Jest w komórce.

- Gdzie? - Telefon wydawał piszczący odgłos za każdym razem, kiedy Stern nacisnął jakiś przycisk. Znał ten model, sam używał go przez jakiś czas, dlatego dobrze był obeznany w jego funkcjach.

Stern znalazł listę kontaktów, nie spuszczając z oczu mężczyzny leżącego na podłodze.

- Pod „Bambino”. Ale to i tak panu nic nie da.

- Dlaczego? - Stern nie zadawał sobie trudu, by zapamiętać skomplikowany adres: gulliverqyx@23.gzquod.eu.

- I tak zabierze telefon ze sobą.

- Bo po każdym pytaniu adres się zmienia. Ten już nie jest aktualny

- A co zrobisz przy następnym razie?

- Tego nie mogę powiedzieć.

- Gadaj!

- Nie mogę. Zabiją mnie za to.

- Jak myślisz, co ja zamierzam zrobić? Mów, w jaki sposób zdobywasz nowy adres e-mailowy, albo cię skatuję i zrzucę po schodach do żony

- Dobra, dobra... - Mężczyzna wyciągnął rękę do góry Szeroko otwartymi oczami wpatrywał się w statyw, który groźnie bujał się nad jego głową, w każdej chwili gotowy runąć na niego. - On ma różne adresy Tysiące. One działają zawsze tylko raz. Później musimy kupić nowy, jeśli chcemy się z nim skontaktować.

- Gdzie? - Stern umyślnie splunął prosto na mężczyznę, powtarzając pytanie: - Gdzie je kupujesz?

Gdy usłyszał odpowiedź, skalpel wypadł mu z ręki, wbijając się w przykryty folią parkiet.

- Co powiedziałeś? - wysapał zdziwiony. Pulsująca głowa, opuchnięte kostki, nadwerężony kręgosłup i palące płuca zjednoczyły się w ogromną falę bólu. - Powtórz to! - wrzasnął.

- Na moście - powtórzył goły mężczyzna z zakrwawioną twarzą leżący u jego stóp. Łzy napłynęły mu do oczu, ponieważ zdradził prawdopodobnie najbardziej strzeżoną tajemnicę w środowisku.

- Kupujemy adresy na moście.

TLR
21.

Wiele przerażających miejsc zbrodni roztacza aurę, która wywołuje sprzeczne uczucia. I nie są to wyraźnie widoczne oznaki brutalnej przemocy, które w równej mierze pociągają, jak i budzą odrazę. To nie plamy krwi ani kawałki mózgu na tapecie nad łóżkiem, ani odrąbane członki obok kosza ze świeżo wypraną bielizną. Są to subtelne sygnały, które wysyła miejsce zbrodni, budząc wśród osób postronnych ogromną fascynację. Efekt taki wywołuje odgradzony teren wokół stacji metra, z której zazwyczaj korzysta mnóstwo ludzi, jak i nienaturalnie rozświetlony plac, na którym zatrzymało się dużo wozów policyjnych.

- Cholera - przeklął Hertzlich i potarł zmęczone oczy, nie zdejmując okularów. Mrukliwie machnął z wejścia do lokalu w stronę Englera.

W ciemności jesiennego wieczoru rozjarzona kawiarnia na Mexikoplatz wyglądała jak jasna żarówka, która nocą przyciąga wszystkie okoliczne ćmy. Liczni przechodnie musieli szerokim łukiem omijać drogę do stacji S-Bahn ze względu na policyjne bariery. Wyjątkowo nie było tu naprawdę nic ciekawego do oglądania, o czym umundurowany funkcjonariusz informował ciekawskich w regularnych odstępach.

- Jasna cholera - powtórzył głośno jeszcze raz, kiedy komisarz dołączył do niego. Sprawa zdawała się wymykać spod kontroli, dlatego chciał osobiście przekonać się na miejscu o stanie śledztwa. Nie przypuszczał, że wyglądało to aż tak katastrofalnie. - Proszę przedstawić raport - zażądał, przypatrując się z odrazą, jak Engler rozrywa opakowanie aspiryny i bez choćby łyka wody przeżuwa musującą tabletkę. Zastanawiał się, czy nie zrobi lepiej, odbierając mu tę sprawę.

- Borchert wpadł przypadkowo, gdy mu się popsuł samochód - Engler zaczął przedstawiać sytuację. - Przyprowadził nas tu na Mexikoplatz i uparcie twierdzi, że Robert Stern razem z małym Simonem zostali uprowadzeni. I to przez kobietę, którą miał spotkać w tej kawiarni. Numer rejestracyjny, który widział Borchert, nie funkcjonuje. Jedynym namacalnym dowodem, który na razie mamy, jest ten adres e-mailowy... - zmęczony Engler wskazał na szyld w oknie restauracji - ...który należy do małego biura nieruchomości z Berlin-Steglitz. Prowadzi je niejaki Teodor Kling razem z żoną Tiną. Ich sekretarka kończyła właśnie pracę. Ale zdradziła nam, że w tej chwili pan Kling jest na oględzinach domu, i przysłała nam faksem listę nieruchomości czekających na zakup. Właśnie je sprawdzamy.

- Ile ich jest?

- Osiem obiektów w najbliższej okolicy. Zatem niedużo. Problem tylko w tym, że nie możemy wszędzie wejść, żeby... eee, chwileczkę. To może być Brandmann.

Engler otworzył klapkę komórki i zaraz skrzywił się, jakby ugryzł coś kwaśnego.

Hertzlich podniósł pytająco brwi.

- Gdzie, do diabła, pan jest? - usłyszał pytanie komisarza. W jego głosie wyraźnie wyczuł nadmiar konsternacji, po czym domyślił się, że dzwonił jednak nie jego kolega.

22.

- Karetkę na Kleinen Wannsee 121?

Engler powtórzył adres, który z trudem zrozumiał z przekazu Sterna.

Również Hertzlich zanotował sobie tę informację, odszedł na bok i wyjął komórkę, żeby zapewne wysłać ekipę.

- Okej, proszę tam na nas czekać. Niech się pan stamtąd nie rusza - nakazał Engler. Miał wrażenie, że w tle szaleje burza, tak kiepskie było połączenie.

Gdzie, u licha, podziewa się Brandmann, kiedy akurat jest potrzebny?

- Niemożliwe. Nie... czas... na wyjaś... - z eteru dochodził przerywany głos Sterna. - ...kobieta... prawdopodobnie... martwa, mężczyzna żyje. Musicie... aresztować.

Engler nic z tego nie rozumiał.

- Jak się czuje Simon? - zadał następne pytanie.

- Przecież to z jego powodu dzwonię do pana!

Prawnik musiał przejść w miejsce, gdzie był lepszy zasięg. Nagle wszystko, co mówił, było doskonale zrozumiałe.

- Niech pan posłucha. Tak nie można dalej. Musi się pan oddać w nasze ręce
- zażądał Engler.

- Tak, zrobię to.

- Kiedy?

- Teraz. To znaczy.. Chwileczkę.

Coś trzasnęło w połączeniu. Englerowi wydawało się, że usłyszał w tle Simona. Zatem Stern nie kłamał. Chłopiec jeszcze żył!

- Potrzebujemy jakichś czterdziestu minut, później możemy się spotkać. Ale tylko my dwaj. Nikt inny.

- Zgoda, gdzie?

Wyraz twarzy Englera nie wyrażał żadnych uczuć, kiedy Stern podał mu miejsce spotkania.

23.

Wybrany abonent ma wyłączony telefon lub jest poza zasięgiem. Proszę zostawić wiadomość lub spróbować...

Cholera. Co się dzieje? Dlaczego Carina nie odbiera telefonu? *I co, do diabła, stało się z Borchertem? Dlaczego nas zostawił?*

Stern rozłączył się z komputerowym głosem automatycznej sekretarki. Z trudem powstrzymał się od wyrzucenia telefonu przez okno limuzyny na parking, gdzie po szaleńczej jeździe przez miasto wreszcie się zatrzymali. Świadomość tego, że odrażający pedofil jeszcze kilka minut temu przyciskał ten sam aparat do

swojego spoconego ucha, brzydziła go dogłębnie. Ale jeszcze będzie potrzebował telefonu. Najpierw wykonał najważniejszą rozmowę i powiadomił Englera. Musiał się stawić na policję. Nawet jeśli się nigdy nie dowie, co naprawdę stało się z Felixem. Teraz to była drugorzędna sprawa. Ich szaleńcza pogoń za jakimś fantomem musiała się wreszcie zakończyć. Simon omal przed chwilą nie zginął. Rzeczywistością jest to, a nie jego urojone myśli o Feliksie i chłopcu ze znamieniem.

Stern poczuł dwa małe palce na swoim ramieniu.

- Wszystko w porządku? - zapytał Simon.

Prawnik czuł, że za chwilę jego oczy znów wypełnią się łzami. Pozwolił, żeby szczerzący się potwór zabrał chłopca ze sobą do piekła. A teraz Simon chciał wiedzieć, jak on się czuje?

- Tak, okej - skłamał Robert. Jak na razie nie wiedział, jak ma usiąść, żeby wytrzymać ból. To cud, że w ogóle udało mu się wyjść z willi, nie tracąc przytomności. Na szczęście Simon posiadał niesamowitą siłę samoleczenia i mógł o własnych siłach zejść po schodach, gdy Stern unieruchomił i przywiązał pederastę taśmą do łóżka.

Tina się nie poruszyła, kiedy nad nią przeskakiwali, ale Sternowi wydawało się, że zauważył jej płytki oddech. I chociaż każdy dodatkowy ruch sprawiał mu ogromne cierpienie, zebrał jeszcze w salonie swoje ubranie. Potem wyjechali z garażu pożyczoną limuzyną. Dziękował Bogu, że samochód miał automatyczną skrzynię biegów. Jego lewa stopa spuchła tak niemiłosiernie, że nie mógł na niej stanąć, nie mówiąc już o wciskaniu sprzęgła.

- Ale na twarzy wyglądasz bardzo źle – powiedział ochrypnięty Simon.

- A ty mówisz jak Kermit - Stern spróbował zażartować. Przejrzał się zaraz potem w lusterku wstecznym i musiał przyznać chłopcu rację. W schowku na rękawiczki znalazł pojemnik z mokrymi chusteczkami. Wzruszając ramionami, wyjął jedną i starł nią nieco krwi z twarzy.

- A ty jak się czujesz? - spytał, ostrożnie omijając pulsujący krwawy guz na czole.

- Może być. - Simon zdławił kaszel.

- Tak mi przykro, tak cholernie przykro – powtórzył chyba po raz ósmy, od-
kład opuścili willę. - Ale naprawię to, przysięgam.

- Przecież nic się nie stało - odpowiedział zmęczony Simon.

Stern zapalił górne światło w limuzynie, żeby mu się lepiej przyjrzeć. Po-
wieki chłopca trzepotały lekko, ziewnął. Stern nie miał pojęcia, czy po wydarze-
niach dzisiejszego dnia był to dobry, czy zły symptom.

- Potrzebujesz czegoś? Wody? Lekarstw?

- Nie, jestem tylko zmęczony. - Simon znów zakasłał. Jego lewa noga tro-
chę drżała, czego Stern wcześniej nie zauważył podczas jazdy.

- Dojdiesz sam do wejścia?

- Jasne. - Simon otworzył drzwi pasażera, ale zatrzymał się na chwilę. -
Chociaż wolałbym zostać z tobą.

Stern pokręcił głową. Nawet tak minimalny ruch sprawiał mu ból.

- Przykro mi.

- Ale może będziesz mnie potrzebował?

- Chodź tu. - Stern przyciągnął do siebie Simona i przytulił mocno, igno-
rując klucie w plecach.

- Tak, potrzebuję cię. Nawet bardzo. I dlatego jest niezwykle ważne, żebyś
zrobił dokładnie to, co ci powiedziałem, dobrze? Pójdiesz teraz do szpitala i na-
tychmiast zgłosisz się na swój oddział, rozumiesz?

Simon skinął głową w jego ramionach.

- No dobra. A co ty będziesz teraz robił? - chłopiec mówił w koszulkę Ro-
berta.

- Wyjaśnię tę sprawę.

Simon cofnął się trochę i spojrzał na niego.

- Naprawdę?
- Naprawdę!
- To znaczy, że nie muszę jutro nikomu robić krzywdy?
- Nie musisz.
- Wcale tego nie chcę.

- Wiem. - Robert pogłaskał Simona po głowie i uśmiechnął się blado. - Na pewno dojdiesz sam? - spytał jeszcze raz.

- Tak, nic mi nie jest. Drapie mnie tylko w gardle.
- A drżenie nogi?
- To nic takiego. Poza tym zaraz mi coś na to dadzą.

Simon wysiadł już jedną nogą z auta, kiedy Robert znów położył mu rękę na ramieniu.

- Pamiętasz jeszcze to najpiękniejsze miejsce na świecie? To, o którym opowiedziałeś doktorowi Tiefenseemu, gdy cię spytał w swoim gabinecie?

- Tak. — Simon uśmiechnął się.

- Pojedziemy na tę plażę. Kiedy wszystko minie. Ty, Carina i ja. A tam dają największe lody w całym wszechświecie. Okej?

Simon uśmiechnął się szerzej i pomachał mu, zanim odszedł w kierunku szpitala. Miał do przejścia zaledwie kilka metrów, ale Stern jak zahipnotyzowany śledził każdy krok chłopca. Zapalił silnik. Nie po to, żeby odjechać, tylko żeby w razie czego natychmiast się przy nim znaleźć. Oczywiście na terenie kliniki nie czaiły się żadne niebezpieczeństwa podobne do tych, które musiał przejść w ostatnich godzinach. Strach Sterna ustąpił dopiero, kiedy Simon zniknął za przesklonymi drzwiami kliniki.

Spojrzał na zegarek i wrzucił wsteczny bieg. Była osiemnasta czterdzieści sześć. Musiał się pospieszyć, jeśli nie chciał się spóźnić na festyn.

24.

- Już tu jest. Co mam zrobić?

W szpitalnej kawiarni brodaty mężczyzna zamieszał piankę w latte macchiato, obserwując, jak chłopiec idzie w kierunku wind.

- Wygląda na to, że Simon zmierza prosto na swój oddział - informował dalej przez komórkę, po tym jak wyjął ze szklanki długą łyżeczkę i ją oblizał. Nagle się ożywił. - Chwila - przerwał głosowi po drugiej stronie linii. – Właśnie go rozpoznali. Jakiś lekarz. Tak, rozmawia z Simonem. Pewnie zaraz się tu zacznie piekło.

Odstawił potężnymi dłońmi szklankę z kawą i wstał, żeby lepiej widzieć grupę pielęgniarzy, siostr i lekarzy, która powoli tworzyła się wokół Simona. Głosy stawały się coraz głośniejsze. Szpital szumiał wybuchem nerwowego poruszenia.

- Naprawdę? Jest pan pewny?

Wyraźnie już słyszał podniecone wołanie dochodzące z holu przed windami. Miał przez to kłopot ze skoncentrowaniem się na instrukcjach przekazywanych przez telefon. Poprosił swego rozmówcę, żeby mówił trochę głośniej.

W końcu zrozumiał wszystko i chrząknął potwierdzająco.

- Wszystko jasne. Załatwię to.

Picasso rozłączył się i wyszedł, zostawiając na stoliku kawę, z której nie wypił nawet łyka.

25.

- Biiii... prrrrooooo...

Sylaby rozmywały się w jej uszach. Nienaturalnie wydłużone, jak odtwarzana w spowolnieniu taśma, składały się w niezrozumiałe słowa.

Gdzie ja jestem? Co się stało?

Carina czuła się, jakby siedziała na szybko wirującej pralce. Twarde siedzenie pod nią szarpało w różne strony. Co rusz niewidoczna siła rzucała ją do przodu, aby chwilę później wcisnąć w twarde oparcie.

Zamrugła gorączkowo i momentalnie zrobiło się jej niedobrze. Dopiero teraz poczuła nieprzyjemny zapach wokół siebie, jakby wcześniej zamiast nosem oddychała oczami. Alkohol. Wymiociny

Z trudem otwierała ciężkie powieki, ale i tak nic nie poznawała. Nic, co mogłoby jej wyjaśnić, gdzie jest i co się z nią stało.

Szczupły brunet z przedziałkiem i wąsami pochylił się nad nią. Podsunął jej przed nos plastikową kartę, jakby chciał ją wylegitymować.

- Coooo... siiię... *ze mną stało?* - starała się powiedzieć.

Ale jej słowa brzmiały jeszcze bardziej niewyraźnie niż słowa obcego mężczyzny o surowym wyrazie twarzy. Był nieprzyjemny, powtórzył teraz trochę głośniej, i wreszcie zrozumiała, co od niej chciał. Przynajmniej akustycznie. Właściwe znaczenie jego mrukliwego polecenia pozostało niejasne.

- Bilet proszę.

- Co? Jak?

Carina przekręciła głowę i z trudem rozejrzała się dookoła. Tuż przed nią stał jeszcze jeden rząd siedzeń. Pusty, nie licząc jakiejś emerytki. Ta z obrzydzeniem spojrzała krótko na Carinę, zanim wróciła do lektury kolorowego magazynu.

- Ja, ja... nie pamiętam...

Carina poczuła, że źródłem okropnego zapachu była ona sama. Tanie czerwone wino. Czerwone plamy rozlały się po prawie całej bluzie.

Jak to możliwe?

Ostatnią rzeczą, którą sobie przypominała, był ten koszmary „głos”. *Zimno.*

A później świadomość, że zapadła w długi sen. *Ale teraz?*

Dotknęła tętniących skroni i ze zdziwieniem stwierdziła, że nie była ranna. Nie miała nawet guza.

- Ma go pani czy wyjdziemy razem?

Sekundy mijały i coraz więcej szczegółów z otoczenia tworzyło osobliwy obraz. Porysowane okna, migająca neonówka nad jej głową, uchwyty. Zdała sobie sprawę, gdzie była, ale kompletnie nie rozumiała dlaczego. Równie dobrze mogłaby się obudzić na tafli lodu na Antarktydzie. Przedział wagonu S-Bahn, w którym tłukła się po Berlinie, był dla niej równie nierealny

- Myślałam, że nie żyję - powiedziała do kontrolera, co wywołało lekki uśmiech na jego twarzy.

- E tam, tylko tak wyglądasz.

Złapał ją za prawą rękę, której nie cofnęła dostatecznie szybko, i zabrał jej coś z dłoni.

- Oto i on - sprawdził datę na bilecie i wyraźnie się ucieszył. - Czegoś takiego jeszcze nie widziałem. Pijana na całego, ale z biletem w ręku.

Zwrócił jej bilet i poradził, żeby w następny weekend trochę odpoczęła. Potem poszedł dalej, a pociąg zwolnił, wjeżdżając na słabo oświetloną stację. Odczytała staroniemiecki napis na szyldzie: Berlin-Grunewald.

Jesteśmy tylko dwie stacje od Wannsee.

Kiedy Carina wstała, inni pasażerowie odsunęli się, jakby szedł ktoś zakaźnie chory. Z trudem wytoczyła się na peron.

W głowie szumiało jej jak w ulu. „Głos” musiał obezwładnić ją paralizatorem, później oblał winem i zostawił w S-Bahnie jak jakąś bezdomną.

Tylko dlaczego?

Na świeżym powietrzu odzyskała zmysły co doprowadziło tylko do tego, że strach znów stał się większy. Nieważne, co się z nią stało, dużo bardziej martwiła się o Simona. I Roberta.

Zatrzymała się w połowie drogi do schodów, pozwalając, aby wyprzedzili ją inni pasażerowie, którzy wysiedli na tej samej stacji.

I co teraz?

Czuła się tak samo bezradna, jak ponad godzinę temu, kiedy nie wiedziała, dokąd ma jechać, żeby uratować Simona i Roberta. Z tą różnicą, że była w trochę gorszym stanie fizycznym. Pękała jej głowa, czuła mdłości, a w brzuchu nieustannie wibrowało. Chwyciła się za żołądek. Przez przypadek ręka zatrzymała się na saszetce. Teraz wibrowały również jej palce i jednocześnie usłyszała pisk.

Carina dopiero za drugim podejściem rozsunęła suwak. Zdziwiła się, że w środku były wszystkie pieniądze, lekarstwa i nawet pistolet. Wyjęła hałasujący notes elektroniczny, który przechowała dla Roberta.

Zdjęła skórzaną osłonę i spojrzała na migający wpis. Spotkanie. Piszczący dźwięk miał przypomnieć Robertowi o spotkaniu, na które umówił się we czwartek. I to z jej powodu.

Carina wyłączyła alarm. Wiedziała, że to nie mógł być przypadek. Gra, która przed trzema dniami rozpoczęła się na terenie fabryki koło autostrady, rozwijała się.

Przeszedł ją dreszcz. Objęła się rękami i pocierała ramiona, jakby w ten sposób mogła przerwać nici, za które pociągał tajemniczy rozgrywający, wprowadzając ją w coraz większy obłąd.

Po chwili ruszyła przed siebie, powłócząc nogami. Jeśli się pospieszy, powinna zdążyć. Miejsce spotkania nie było daleko.

26

Gdy na parkingu przy Clayallee zakładali mu plastikowe kajdanki, Stern przypomniał sobie zdanie, które przed laty powiedziała do niego jedna z klientek: *To jest tak, jakbyś oddawał swoje życie do szatni.*

Kobieta co prawda nie została niesprawiedliwie zatrzymana, tak jak teraz on, ale jednak Stern musiał przyznać, że fałszerka idealnie opisała pierwszy moment rozpaczliwej bezradności.

- Dlaczego tu? - Engler spojrział w lusterko wsteczne. Musiał powtórzyć pytanie: - Dlaczego chciał się pan ze mną spotkać koniecznie przed placem jarmarcznym?

Komisarz siedział sam za kierownicą cywilnego samochodu. Jedynie wtajemniczeni wiedzieli, że szara limuzyna to służbowe auto policji.

- Żebym mógł się przekonać, czy trzyma się pan naszej umowy - Stern zmuszał się do trzymania otwartych oczu. Wymęczony bólem marzył o błogiej nieświadomości, jednak było jeszcze na to za wcześnie. - Musiałem być pewien, że przyjedzie pan sam. - Zwrócił uwagę Englera na diabelski młyn, od którego się powoli oddalali. - Widok z góry jest naprawdę fantastyczny

Zadzwoił wcześniej do policjanta z jednej z gondoli i poprosił go o włączenie świateł awaryjnych. Po tym, jak go zlokalizował na parkingu, zrobił jeszcze trzy rundy i wreszcie zdecydował się podjąć ryzyko. Rzeczywiście nie rzucili się na niego niewidoczni funkcjonariusze, kiedy wsiadł do samochodu komisarza.

- Rozumiem. - Engler przytaknął i nie powstrzymał się od kichnięcia. - Pana obawy były nieuzasadnione - powiedział, gdy przestało już go wiercić w nosie. Był tak przeziębiony, jak podczas ich pierwszego spotkania. Niewiarygodne, że minęły dopiero trzy dni. - Jesteśmy śledzeni przez GPS - wykasłał Engler. - Centrala cały czas wie, gdzie jesteśmy Zresztą uważam pana za skończonego dupka, nie za niebezpiecznego szaleńca. - Wyszczrzył się do lusterka. - Przy najmniej nie tak niebezpiecznego, żebym sam sobie z panem nie poradził.

Stern skinął głową, spoglądając na lewy nadgarstek, na którym ostre kany kajdanek zostawiły już pierwsze ślady

- Ale dlaczego chciał się pan spotkać akurat ze mną? Nie jesteśmy najbardziej zaprzyjaźnieni.

- Właśnie dlatego. Mój ojciec zawsze powtarzał, że interesy należy robić tylko z wrogami. Przez nich nie można zostać zdradzonym. No a Brandmann według mnie nie jest w porządku. Nie znam go.

- Mądry facet z pana ojca. O jaki interes chodzi?

- Przekażę panu zaraz informacje, dzięki którym będzie mógł pan schwytać co najmniej dwóch przestępców. Handlarza dziećmi i mściciela, gościa, mordercę mężczyzn, których zwłoki znaleźliśmy

Nagle wokół nich zrobiło się jeszcze ciemniej. Domy po obu stronach znikły w strugach deszczu. Oświetlony kawałek Hiittenweg został za nimi, kiedy skierowali się na ulicę łączącą Charlottenburg i Zehlendorf, przecinającą Grunewald.

- Okej, a co chce pan w zamian?

- Bez względu na to, jakie dowody macie przeciwk mnie, musi pan natychmiast zorganizować policyjną ochron dla dzieci mojej byłej żony.

- Dlaczego?

- Bo jestem szantażowany Z tym wiąże się drugi warunek. Musi mnie pan wypuścić do jutra do szóstej rano.

- Chyba całkowicie panu odbiło.

- Może i tak. Ale na pewno nie tak bardzo jak tym szaleńcom.

- Co to jest? - Engler spojrzawszy przełomie na siedzenie obok siebie. Stern z trudem wyciągnął skrzepowanymi dłońmi z kieszeni marynarki małą kasetę wideo i rzucił ją na przednie siedzenie.

- Taśma z pokoju pośrednika nieruchomości. Proszę sobie obejrzyć, co on i jego żona zamierzali zrobić z Simonem. Jeśli starczy panu na to zimnej krwi.

- To on za wszystkim stoi?

- Pośrednik? Nie.

Stern wyjaśnił Englerowi pokrótce, czego dowiedział się w ostatnich godzinach.

- Jutro rano w punkcie spotkań pedofili ma zostać sprzedane niemowlę. Simon miał wizję, że podczas tej transakcji zabije handlarza. Z zemsty

- I pan w to wierzy?

- Nie. Jeśli już, to jutro na moście pojawi się nie Simon, tylko inny mściciel. Zastrzelili on handlarza, jak tylko nadarzy się okazja.

Engler wjechał ostrożnie na skrzyżowanie Hüttenweg i Koenigsallee.

- Świetnie, przyjmijmy, że w pana naciąganej teorii jest trochę prawdy Skąd w takim razie o wszystkim wie chłopak? - spytał nieufnie komisarz.

Stern upewnił się, czy nikt za nimi nie jedzie. Oprócz motocykla, który przed nimi skręcał w stronę Avus, stali sami na czerwonym świetle pośrodku lasu.

- Dlaczego pana klient, Simon Sachs, potrafi nagle nie tylko widzieć przeszłość, ale również przepowiadać przyszłość?

- Nie mam pojęcia.

Deszcz wzmagał się. Engler zwiększył częstotliwość pracy wycieraczek.

- „Nie mam pojęcia” to zła odpowiedź, jeśli pan chce, żebym pana wypuścił.

Skąd mam wiedzieć, że sam nie macza pan w tym palców?

Ciągle stali na światłach. Stern zdziwił się, słysząc nietypowy odgłos silnika. Brzmiał tak, jakby Engler zatankował benzynę ze zbyt małą liczbą oktanów.

- Właśnie dlatego nie może mnie pan zamknąć. Jutro rano to udowodnię. Na moście.

- Gdzie dokładnie ma to być?

- Najpierw dobijmy targu, później zdradzę panu dokładny adres.

Chwileczkę¹. Co tam się dzieje?

Stern pochylił się zirytowany do przodu. Pomylił się. Z silnikiem było wszystko w porządku. Odgłos kosiarki do trawy, który słyszał, dochodził z zewnątrz. I stawał się coraz głośniejszy

- Ktoś jeszcze wie o naszym spotkaniu? - spytał nagle Engler. Sprawiał wrażenie spiętego, jego nerwowość od razu udzieliła się Sternowi.

- Nie - odpowiedział niepewnie Robert.

- Jaki to był numer?

- Numer?

Robert wymacał telefon w kieszeni. Ciągle był włączony.

To znaczy...

- Z którego pan do mnie zadzwonił. Do kogo należy telefon?

Engler był coraz bardziej nerwowy, zaczął częściej oglądać się do tyłu.

- Do pośrednika, ale co to...

Wycieraczki zebrały grube krople deszczu z przedniej szyby samochodu. W tym ułamku sekundy zobaczył, co im groziło.

Motocyklista zawrócił. Wyłączył reflektor i bez kasku jechał z wyciągniętą ręką prosto na nich.

Światło zmieniło się na zielone. Engler wrzucił bieg.

O cholera. Przecież Borchert wyraźnie nas ostrzegał. Małe dziecko potrafi zlokalizować komórkę, a...

Padł strzał, przerywając myśli Sterna.

27.

Trzy wystrzały zabrzmiały całkiem niegroźnie, jak syk mokrej petardy, w której zapaliła się tylko połowa prochu. Jednak stłumiony dźwięk był złudny. Kule przebiły się z druzgocącą siłą przez przednią szybę, krusząc wzmocnione szkło.

Stern nie potrafił stwierdzić, która z nich trafiła komisarza, gdy jego głowa opadła na kierownicę. Na sygnalizatorze nadal świeciło się zielone światło. Chwilę później, kiedy zmieniło się na żółte, we wnętrzu samochodu zapaliło się oświetlenie, czego Stern na początku nie zauważył. W tej chwili jego mózg zbyt intensywnie zajęty był przetwarzaniem wstrząsających obrazów. Motocyklista, roztrzaskana szyba, niekontrolowane drżenie ręki komisarza.

Zęby Sterna zaszczekały. Z zimna, szoku, bólu, paniki. Nie wiadomo, skąd deszcz padał mu prosto na twarz. Dopiero po chwili uświadomił sobie, dlaczego zapaliła się nagle lampka nad nim. Ktoś otworzył drzwi z jego strony.

- Nie dotrzymał pan umowy - syknął mężczyzna z ciemności; Stern poczuł zimny metal na skroni. Motocyklista dokładnie przyłożył wylot lufy. - Pozdrowienia od „głosu”. Zaraz się pan przekonaj, czy reinkarnacja istnieje.

Stern jeszcze mocniej zacisnął zamknięte oczy. Z napięcia zakręciło mu się w głowie. W jednej sekundzie przekonał się, że wszystkie opisy ostatnich momentów życia jego nie dotyczyły. Żaden film nie przewiął się przed jego oczami. Żaden obraz. Zamiast tego Stern czuł wszystkie pojedyncze komórki swego ciała. Słyszał stłumione pulsowanie, które z każdą sekundą wtłaczało w wir krwioobiegu kolejne dawki adrenaliny wytworzonej przez nadnercza. Czuł, jak rozszerzają się oskrzela. Rosnące tempo skurczów serca było jak małe wybuchy w klatce piersiowej. Jednocześnie zmieniała się również jego wrażliwość na warunki zewnętrzne. Wiatr przestał być jedną całością i smagał go teraz oddzielnymi podmuchami razem z pojedynczymi kroplami deszczu, które opadały na jego skórę.

Stern słyszał swój krzyk. Bał się, jak jeszcze nigdy w życiu. Równocześnie niezwykle silnie przeżywał też inne emocje. Jakby po raz ostatni chciano mu udowodnić, do czego jest zdolny, jeśli zostawi życiu tylko jedną szansę. Tuż przed końcem wydawało mu się, że się rozpląnął. Widział, jak złożony z atomów i molekuł Robert Stern chce się rozpaść na pojedyncze cząsteczki, żeby ułatwić pociskowi wbicie się w ciało. Kiedy owładnął nim totalny smutek, wybawił go jeden śmiertelny strzał.

Kula trafiła pewnie. W środek skroni. Wyrwała dziurę w czaszce wielkości paznokcia, z której sączyła się krew, jak z niedokładnie zamkniętej butelki keczupu.

Stera otworzył oczy, dotknął głowy z niedowierzaniem, sprawdzając miejsce, do którego przed chwilą morderca przystawił broń. Ciągle czuł zimno stali. Potem spojrzął na dłonie, przekonany, że zobaczy na nich krew. Mylił się.

Wreszcie odważył się podnieść głowę. Usłyszał, jak broń Englera upada na podłogę. Połowa twarzy komisarza zalana była krwią. Dopiero po jakimś czasie Stern zorientował się, że to wina sygnalizacji świetlnej, która znów oświetlała go z boku na czerwono.

Uratował mi życie! Udało mu się wyjąć broń i resztą sił odwrócić do tyłu, żeby...

Przez chwilę Stern miał nadzieję, że komisarz nie odniósł poważnych obrażeń. Engler ciągle siedział zwrócony do tyłu, jak ojciec, który sprawdza, czy wszyscy mają zapięte pasy. Po raz pierwszy w życiu spojrział na niego przyjaźnie. Z kącika ust wypłynęła strużka krwi. Zdziwiony Engler otworzył usta, zamrugał ostatni raz i opadł nagle z powrotem na kierownicę. Jego ręce, w których dopiero co trzymał pistolet, zwiotczały podobnie jak reszta ciała.

Wyrwany z transu głośnym klaksonem Stern odzyskał kontrolę nad własnym organizmem. Jednostajny szum w uszach minął, wróciło życie i razem z nim ból. Odpiął pasy i wysliznął się z samochodu. Zauważył przy tym broń Englera na podłodze. Podniósł ją i od razu wymierzył w leżącego przed nim zabójcę. Z głowy długowłosego mężczyzny z niewiarygodnie szeroko otwartymi oczami sączyła się na asfalt resztką życia. Stern nigdy wcześniej nie widział jego twarzy, ale mężczyzna wydawał mu się znajomy.

Engler mnie uratował. Akurat Engler.

Chciał przejść do ścieżki rowerowej, ale po kilku krokach potknął się i stoczył w krzaki. Upadł na skępowane ręce, twarzą w mokrą ziemię i liście. Potrzebował chwili, żeby się zebrać w sobie i wstać na nogi.

Muszę stąd uciec.

Robert utykał, niechcący obciążył kontuzjowaną nogę i musiał się oprzeć o wilgotny pień drzewa. Ale nawet największy ból nie był w stanie stłumić wzmagającego się strachu. Kawałek przed nim przemknął jakiś pojazd, ale się nie zatrzymał. Nikt nie wysiadł, żeby mu pomóc. Albo go zaaresztować. Jeszcze nie. Policyjne auta z pewnością były już w drodze.

Nie uwierzą mi. Muszę stąd uciec.

Stern krzyknął jeszcze raz, zanim zniknął w gęstwinie krzaków. Tym razem poczuł psychiczny ból, dużo większy niż wszelkie fizyczne cierpienia, jakich do-

tychczas doświadczył. Chciał odzyskać swe zmarnowane życie, którego jeszcze dwa dni temu bezwzględnie nienawidził.

28.

Dwudziesta siedemnaście. Drań był już spóźniony o siedemnaście minut, a jeśli czegoś nienawidził, to z pewnością braku punktualności. No i oczywiście bycia wystawionym do wiatru. To uważał za jeszcze gorsze. Czego też ludzie nie wymyślą? Żaden z nich nie był nieśmiertelny, ale każdy zachowywał się tak, jakby istniało gdzieś biuro zaginionego czasu, dokąd można by pójść i odzyskać stracony czas życia.

Wściekły wylał zimną kawę do zlewu i jeszcze bardziej zdenerwowało go to marnotrawstwo. Był zły również na siebie. Wiedział przecież, że gość się nie pojawi, po co więc w ogóle ją przygotował? Sam był sobie winny.

W pokoju obok zadzwoniła łyżeczka o porcelanową filiżankę.

- Ma pani ochotę na filiżankę herbaty dla odmiany? - zawołał łamiącym się głosem, gasząc papierosa bez filtra, który już go parzył w palce. - Właśnie wstałem wodę.

- Nie, dziękuję.

Niezapowiedziany gość zdawał się nie widzieć problemu w marnotrawieniu bezczynnych minut. Człowiek musiał stracić zęby, nabawić się hemoroidów i mieć pożółkłe paznokcie, żeby zacząć się wzbraniać przed czekaniem choćby trzydziestu minut na niepewne spotkanie. Tyle już właśnie czasu siedział jak kłębek nerwów na tapicerowanej sosnowej ławce, ostatnim meblu, który kupował razem z żoną.

Maria zawsze była punktualna. Najczęściej przychodziła nawet sporo za wcześnie. Tę cechę podzieliła z rakiem, który zaatakował jej płuca. Cóż za ironia. W przeciwieństwie do niego Maria nigdy nie paliła.

No i? Mężczyzna zakręcił kurek z wodą nad wypełnionym do połowy czajnikiem i podszedł do okna. Z pochyloną na bok głową nasłuchiwał, czy powtórzy się odgłos drapania. Możliwe, że nie zamknął dobrze wieka od kontenera na śmieci, co oznaczało, że mimo parszywej pogody będzie musiał jeszcze raz wyjść na zewnątrz. Nie chciał, żeby dziki zryły mu świeżo przystrzyżony trawnik.

Małe okno, przy którym stał, otwierało się do środka. Wzrok zazwyczaj sięgał z tego miejsca aż do pontonu na jeziorze, ale tym razem kontrast pomiędzy jasnym oświetleniem wnętrza kuchni i atramentowej ciemności na zewnątrz był tak duży, że widok urywał się kilka centymetrów za szybą. Nieoczekiwanie mężczyzna wzdrygnął się. Czyjaś zapuchnięta twarz zajrzała do środka.

Co do...

Starszy mężczyzna cofnął się i omal nie upadł, potykając się o jeden z taboretów. Gęba zniknęła za błoną pary, którą pozostawił na szkle jego ciepły oddech. Jedyne, co staruszek był w stanie rozpoznać, to skrępowane ręce, które naraż zaczęły dobijać się do okna.

Zadrzał ponownie, próbując sobie przypomnieć, gdzie schował harpun, który miał mu służyć w razie konieczności do obrony. Dopiero gdy właściciel twarzy na zewnątrz zaczął wołać, zrozumiał swoją pomyłkę.

- Halo? Jesteś tam?

Nawet jeśli nie mógł uwierzyć, że znajomy głos wydobywał się z tej zniekształconej facjaty, nie miał wątpliwości. Facet na zewnątrz nie był obcy. Wręcz przeciwnie.

Staruszek, powłócząc nogami, wyszedł z kuchni do tylnego wejścia do domku letniskowego.

- Spóźniłeś się - mruknął, gdy udało mu się wreszcie odryglować drzwi. -
Jak zawsze.

- Przepraszam, tato. - Napuchnięta twarz zbliżyła się. Jedną nogę pociągał
za sobą, utrzymując całe ciało pod dziwnym kątem.

- Co ci się stało? Wpadłeś pod autobus?

- Gorzej.

Robert Stern minął ojca i wszedł do salonu. Nie mógł uwierzyć oczom, gdy
zobaczył, kto tam na niego czekał.

29.

- Co ty tu robisz? - zdążył jeszcze spytać, zanim zawirowała przed nim pod-
łoga altanki. Ostatnią rzeczą, jaką słyszał, był urwany okrzyk połączony z odgło-
sem tłuczonej porcelany. Stern zwałił się na ziemię tuż obok kawałków filiżanki,
którą kobieta wypuściła przestraszona w chwili, gdy go zobaczyła.

Kiedy odzyskał przytomność, nie wiedział, gdzie jest ani dlaczego Carina z
przerażeniem w oczach pochylała się nad nim. Kosmyk jej kręconych włosów
zatańczył na czole Sterna. Robert pragnął poczuć go na całym ciele. Zamiast tego
nieprzyjemny ból przypominał mu o ostatnich wydarzeniach, gdy napiął mięśnie
i spróbował podnieść głowę.

- Simon? - wystękał. - Wiesz...

- Bezpieczny - szepnęła. Łza zakręciła się jej w oku. - Rozmawiałam z Pi-
cassem. Postawili strażnika przed jego pokojem.

- Dzięki Bogu. - Stern zaczął nagle drżeć na całym ciele.

- Która godzina? - usłyszał gwizd czajnika dochodzący z kuchni, co było dobrym znakiem. Jeśli ojciec ciągle krzątał się przy tym samym dzbanku herbaty, jego omdlenie nie mogło trwać długo.

- Tuż po wpół do dziewiątej - potwierdziła Carina. Zauważył, jak brzegiem dłoni wycierała oczy. Chwyciła zaraz potem nóż, który musiała już wcześniej przygotować, i dwoma szybkimi cięciami uwolniła go z kajdanek.

- Dzięki. Masz jakąś wiadomość od Sophie? Wiesz, co się dzieje z bliźniaczkami? - Język spuchł mu do rozmiarów piłki tenisowej.

TLR

- Tak. Wysłała mi SMS. Któryś sąsiad musiał nas dziś widzieć i zawiadomił policję. Właśnie przeszukują jej dom.

Stern odetchnął z ulgą. Przynajmniej dzieci były bezpieczne.

- Nie możemy tu zostać.

Robert przerwał, gdy szarozielony filcowy pantofel zbliżył się do jego twarzy i zatrzymał tuż obok. Zacisnął zęby, oparł się pięściami o zniszczony dywan i podciągnął się do góry

- Nie dość, że się spóźniasz, to jeszcze chcesz zaraz się zmyć? Wszystko jasne. - Gdyby Robert wcisnął monetę między gniewne zmarszczki na czole ojca, na pewno nie upadłaby na podłogę. Georg Stern wyłapał ostatnie słowa swego syna, kiedy wchodził do salonu z dzbankiem herbaty. - Szczerze mówiąc, wcale mnie to nie dziwi. Nic a nic.

- Nic mu nie mówiłaś? - Robert zwrócił się do Cariny, która wyglądała, jakby przeszła co najmniej takie samo piekło jak on. Zalatywało też od niej dworcową knajpą.

- Nie, nic konkretnego. Tylko że mamy kłopoty i że potrzebujemy schronienia.

- Ale skąd wiedziałaś, że...

- Tak, kłopoty - przerwał mu zdenerwowany ojciec. - Znowu, Robert, co? Gdybyś świętował, na pewno bym cię tu nie zobaczył.

- Przepraszam pana, ale...

Stern z trudem usiadł na ławce, gdy Carina stanęła w jego obronie.

- Nie widzi pan, co się stało z pana synem?

- Ależ widzę. I to bardzo dobrze. Jeszcze nie oślepiłem, skarbie. W przeciwnieństwie do niego. Chyba nie wie, że przed nim nie stoi żaden głupek.

- Co ma pan na myśli?

- Chodzi mi o to, że istnieje coś takiego jak telewizja. Możecie mnie uważać za zniedołężniałego, jednak potrafię rozpoznać własne dziecko, gdy pokazują je

w wiadomościach jak jakiegoś zbiegłego przestępcę. No i kilka razy już naprzykrzał mi się niejaki komisarz Brandmann. To tylko kwestia czasu, kiedy znów się tu pojawi. Robert ma więc wyjątkowo rację, mówiąc, że nie możecie tu zostać.

- W takim razie nie rozumiem, dlaczego tak okropnie go pan traktuje, skoro pan wie, przez co on teraz przechodzi.

- To bardzo proste, dziecinko. - Ojciec klasnął w szorstkie dłonie. - Wiem oczywiście, że siedzi po uszy w gównie. Już od dziesięciu lat. Dziś doszły do tego kolejne problemy. Ale co mam zrobić? Przecież Robert ze mną nie rozmawia. Wpada na chwilę i gędzi o pogodzie, bundeslidze albo o moich wizytach u lekarzy. Mój własny syn traktuje mnie jak obcego człowieka. Nie dopuszcza mnie do siebie. Nawet teraz, kiedy pilnie potrzebuje mojej pomocy..

W wyblakłych oczach ojca Stern zauważył wilgotny blask.

- Już zacząłem cię nawet obrażać. Za każdym razem, kiedy rozmawiamy albo się widzimy. A ty jesteś taki głuchy. Nie potrafię do ciebie dotrzeć. A tak bardzo chciałbym...

Odchrząknął, żeby ukryć łamiący się głos, i znów zwrócił się do Cariny, która stała nieporadnie na środku pokoju.

- Ale jakoś to sobie ułożymy, dziewczyno. Od razu wiedziałem, że masz tupet. Już trzy lata temu, jak przyjechałaś tu z nim, miałaś odwagę nie zgodzić się z głupotami, jakie opowiadałem. I znów to robisz. To dobrze.

Georg otworzył usta, jakby miał jeszcze coś ważnego do powiedzenia, ale tylko klasnął jeszcze raz i odwrócił się do nich plecami.

- Wystarczy już - mruknął do siebie. - Nie czas teraz na sentymenty.

Wyszedł z pokoju, żeby po chwili wrócić z małą brązową kosmetyczką.

- Proszę.

- Co to jest? - spytała Carina, wyciągając rękę.

- Domowa apteczka Marii. Jej zapas leków. Moja żona do końca łykała opiaty, jak cukierki. Data przydatności na pewno już dawno minęła, ale może trama-

dol jeszcze działa. Robert wygląda, jakby mu był potrzebny dobry łyk znieczulenia. - Uśmiechnął się krzywo. - A to dla was obojga.

Stern złapał klucz, który ojciec rzucił w jego stronę.

- Do czego to?

- Samochodu kempingowego.

- Od kiedy ty jeździsz...

- Ja nie. To własność moich sąsiadów. Eddie wyjechał, a ja miałem przestać kobyłę, gdyby dostawca oleju opałowego chciał dostać się na swoją działkę. Weźcie, zmywajcie się i poszukajcie jakiegoś spokojnego miejsca na noc.

Georg uklęknął i spod ławki, na której siedział Robert, wyciągnął torbę podróżną.

- A tu są czyste ubrania, swetry i coś tam jeszcze, żebyście mieli się w co przebrać.

Stern wstał i nie wiedział, co ma powiedzieć. Najchętniej objąłby teraz ojca. Ale jeszcze nigdy tego nie robił. Odkąd sobie przypominał, na powitanie i pożegnanie zawsze podawali sobie tylko dłonie.

- Jestem niewinny - powiedział.

Ojciec, który szedł w stronę korytarza, odwrócił się nagle.

- Powiedz, za kogo ty mnie w zasadzie uważasz? - wyrzucił wściekle z siebie. Jego głos znów brzmiał tak samo gniewnie jak zazwyczaj. - Naprawdę myślisz, że choć przez sekundę w to wątpiłem?

Już dość dawno odgłos diesla ucichł i czerwone światła znikły za wjazdem na teren ogródków działkowych, a Georg Stern nadal stał w drzwiach altany i wpatrywał się w deszczową ciemność. Wrócił do domku dopiero, kiedy zmienił się kierunek wiatru i mżawka zaczęła zacinać mu prosto w oczy. W salonie zebrał brudne filiżanki, wytarł na mokro stół i wylał do zlewu resztki zimnej herba-

ty. Później wyjął komórkę ze stacji ładującej i wybrał numer, który mężczyzna zostawił mu na wszelki wypadek.

30.

Postój dla ciężarówek za motelem Avus, tuż przy pobliskiej autostradzie, był najlepszym schronieniem na tę noc. Na bezpłatnym parkingu, w okolicy terenów targowych, o każdej porze roku stało mnóstwo samochodów dostawczych i kempingowych. Jedno auto mniej czy więcej nie będzie się rzucać w oczy.

- To pułapka - powiedziała Carina, kiedy zatrzymali się w zatoczce za ciężarówką do przeprowadzek.

W trakcie krótkiej jazdy nie udało im się wymienić najważniejszych uwag.

- Nie możesz jutro pojechać na most. Za żadne skarby. Z grymasem bólu na twarzy Stern przetoczył się z przedniego siedzenia pasażera na tył samochodu. Połknął sporo tabletek z apteczki matki i opiaty powoli zaczynały działać. Wyczerpany położył się na zaskakująco wygodnej koi. Carina zaciągnęła hamulec ręczny, zgasiła silnik i dosiadła się do niego.

- Nie mam wyjścia. - Stern przemyślał już wszystkie możliwości. - Nie mogę zgłosić się na policję.

- Dlaczego?

- Za późno na to. Powinienem być zostać w samochodzie Englera, zamiast uciekać. Do tego z jego bronią! Ale w szoku myślałem tylko o ucieczce. Myślałem, że mi nie uwierzą, że spotkałem się sam z Englerem i że jako jedyny przeżyłem napaść.

- Przecież tak było.

- Musi być też jakiś kret. „Głos” wie o każdym naszym kroku. Jeśli pójde teraz na policję, zmieni swoje plany. Odwoła spotkanie, zniknie, a ja nigdy się nie dowiem...

...co się stało z Felixem.

- Może już to zrobił?

Carina usiadła przy nim na łóżku, rozpięła górny guzik jego koszuli i poprosiła, żeby się podniósł.

- Odwołał spotkanie? Możliwe. Na pewno już wie, że żyję. Ale nie wie, że zdobyłem dokładny adres mostu. On koniecznie chce załatwić mściciela. Dopóki źródło z policji nie ostrzeże go, będzie chciał przeprowadzić całą akcję. A jak na razie nie mają żadnych powodów, żeby tak zrobić. Rozmawiałam dotychczas tylko z Englerem, a on nie żyje.

Stern wysliznął się jak wąż z przepoconej bawełnianej koszuli i położył się na brzuchu. Usłyszał głośne westchnienie Cariny, kiedy zobaczyła ogromne stłuczenie w okolicy kręgosłupa. Potem poczuł nieprzyjemne zimno powyżej kręgu lędźwiowego i napiął mięśnie.

- Przepraszam. Maść na początku jest zimna, ale zaraz cię rozgrzeje.

- Mam nadzieję.

Nie chciał pokazać, że jest mięczakiem, ale w tej chwili był gotów krzyknąć, gdyby nawet motyl usiadł mu na plecach.

- Pomówmy lepiej o tobie, Carina. Poszukują cię za uprowadzenie dziecka. Twoje odciski palców są na klamce willi pośrednika, twój samochód stoi pod jego drzwiami. I dopóki nie udowodnię swojej niewinności, uciekasz z mordercą policjanta - wyliczał Robert. - Musimy się zastanowić, w jaki sposób możesz się zgłosić na policję, żeby..

- Ciii... - szepnęła. Nie wiedział, czy chciała go w ten sposób uspokoić, czy zmusić do milczenia. - Obróć się.

Zacisnął zęby i przekręcił się na plecy. Ruch nie wywoływał już wielkiego bólu. Środek przeciwbólowy udawał swoje działanie.

- ...żeby nie mogli cię na koniec o nic oskarżyć, tak jak mnie.

- Nie teraz - powiedziała cicho, odgarniając mu z czoła zabrudzony krwią kosmyk włosów. Robert odetchnął ciężko. Delektował się subtelnym masażem jej wprawnych dłoni. Delikatne palce wędrowały od szyi, przez ramiona w dół ciała. Głaskała jego nagą pierś, zatrzymując się na dłużej nad mocno bijącym sercem, i później schodziła w dół.

- Nie mamy dużo czasu - szepnął. - Wykorzystajmy go sensownie.

- Tak zrobimy - przerwała mu, gasząc światło.

To przecież szalone. Nie był pewien, co go teraz bardziej znieczulało. Środki przeciwbólowe w krwiobiegu czy jej oddech na skórze. Ból dał o sobie znać jeszcze raz, kiedy spróbował się podnieść, żeby ją powstrzymać. Na próżno. Niczym nadąsane dziecko schowali się w kącie swej świadomości, gdzie przytuleni pozostali razem ze swymi przytłaczającymi obawami i zmartwieniami.

Stern rozluźnił się niemal wbrew własnej woli. Rozchylił usta, smakował jej ciepły oddech zmieszany ze łzami, które Carina zebrała językiem z jego powiek. Świst wiatru, szarpiącego samochodem, przeistoczył się w przyjemną melodię. Stern chciał myśleć o Feliksie, o chłopcu ze znamieniem i o planie, który mógłby rozwiązać ich absurdalne problemy, ale nie udało mu się nawet zacząć żałować błędu, który przed laty odsunął go od Cariny. Na parę godzin wóz kempingowy

zmienił się w kokon, chroniący ich przed światem, który całkowicie zatracił równowagę.

Stan złudnego bezpieczeństwa nie potrwał niestety zbyt długo. Kiedy tuż przed piątą rano burzowy grzmot rzucił go brutalnie z powrotem w rzeczywistość, Carina ciągle walczyła we śnie z tajemniczymi przeciwnikami. Uwolnił się z jej niespokojnego objęcia, ubrał się i z bólem na twarzy usiadł za kierownicą. Kiedy piętnaście minut później zatrzymał się na parkingu przed kliniką Seehaus, otworzyła oczy, przeciągnęła się, wstała i powoli przeszła do niego na przód.

- Co tu robimy? - spytała. Usiadła na siedzeniu pasażera i wyglądała na zewnątrz. Jej głos brzmiał, jakby się jeszcze całkiem nie obudziła. Jakby ktoś chlusnął jej w twarz szklanką zimnej wody.

- Tu wysiądziesz.
- Nie ma mowy. Jadę z tobą.
- Nie. Nie ma sensu, żebyśmy tam jechali obydwój.
- A co ja mam tu robić?

Stern przemyślał wszystko dokładnie, z czego wyszedł plan tak śmieszny, że nawet nie zasługiwał na tę dumną nazwę. Wyjaśnił jej wszystko. Protestowała, jak się spodziewał. Ale w końcu zrozumiała, że nie mają innego wyjścia. Jeśli w ogóle jakieś było.

Robert poczuł jej niezadowolenie, kiedy ostatni raz przyciągnął ją do siebie. Wiedział, że poczuła wstręt nie do pocałunku, tylko do jego nastawienia. Po tym, jak wczoraj odnaleźli się na nowo, kilka godzin później pieczętował ich rozstanie, które tym razem może potrwać dłużej niż stracone wcześniej trzy lata. Może całą wieczność.

PRAWDA

*Jestem pewien, że byłem tutaj, tak jak jestem teraz,
tysiąc razy przedtem, i mam nadzieję powrócić tu
jeszcze tysiąc razy.*

Johann Wolfgang von Goethe

A jak postanowione ludziom raz umrzeć, a potem sąd (...).

List do Hebrajczyków 9,27

*Przebaczenie to sprawa między nimi a Bogiem.
Ja tylko zaaranżuję ich spotkanie.*

Denzel Washington w *Człowieku w ogniu*

*This could be the end of everything
So why don't we go
Somewhere only we know?*

Keane

1.

W ostatnich godzinach Stern wiele widział. Ciało z rozłupaną czaszką, trupy w gabinecie lekarskim i w lodówce. Na jego oczach ludzi bito, wieszano i wykonywano na nich wyrok. Musiał znieść widok dziecka, które rozpaczliwie próbowało złapać oddech przez plastikową torbę, i tańczącego przed nim w pokoju nagiego mężczyzny. Obraz świata wypadł przez to z dotychczasowych ram. Bez względu na zawód znawca przepisów prawnych zmienił się w sceptyka, który nie odrzuca już kategorycznie możliwości nowonarodzenia, odkąd Simon prowadzi go od jednego niewyjaśnionego zjawiska do drugiego.

Morderstwo, wymuszenie, pedofilia, ucieczka i niewyobrażalny ból. Stern przeszedł to wszystko, żeby się dowiedzieć, co się stało z jego synem. A mimo to niektóre zajęcia tego weekendu nie różniły się od typowych zajęć innych berlińczyków. Był na spacerze w zoo, tańczył w dyskotecie i zrobił kilka kółek na diabelskim młynie. Również ostatni cel jego podróży różne miejskie magazyny podpowiadały jako dobry pomysł na wypad za miasto. Chociaż polecano trochę inny dojazd i inną porę dnia.

Droga, którą godzinę przed wschodem słońca wybrał Robert, prowadziła przez gęstą deszczową i mglistą ciemność berlińskiego Grunewaldu. Zatrzymał się na poboczu i ostatnie metry do jeziora pokonał pieszo. Wachlarze mokrych gałązek jodły uderzały go w twarz, a ostre konary drapały skórę do krwi. Powoli posuwał się naprzód. Musiał być ostrożny, żeby nie wpaść w jakąś kałużę, nie potknąć się o korzeń lub cokolwiek innego, co jeszcze bardziej obciążałoby jego kontuzjowaną nogę. Jak dotąd ból był do wytrzymania. Tłumaczył to zwiększonym poziomem adrenaliny, bo nie brał już żadnych leków. Stern nie chciał spowolnić swojego czasu reakcji, skoro miał być zaraz świadkiem sprzedaży dziec-

ka.

Albo morderstwa.

W pewnym momencie pojawiło się kolejne niebezpieczeństwo, z którym musiał sobie poradzić. Wiatr. Co trzy kroki silny powiew łamał spróchniałe gałęzie i rzucał je na ziemię. Odniósł wrażenie, że to całe korony, i ucieszył się, kiedy dzięki małej latarce powrócił na utwardzoną drogę.

Zostało mu jeszcze tylko parę metrów do Havelchaussee i zaraz dotrze nad wodę. A Most znajdował się dokładnie przed nim. Bujał się tak mocno, że już od samego patrzenia można było dostać morskiej choroby. Nieregularne porywy wiatru szarpały dwumasztowcem i napinały trzeszczące liny, jakby chciały odebrać restauracyjny statek od brzegu.

„Najświeższa ryba w mieście” widniało na oświetlonym szyldzie przy wejściu.

Od wczoraj Stern znał dwuznaczność tej reklamy Dla niewtajemniczonych Most był ulubionym lokalem poza miastem, który szczególnie w letnich miesiącach cieszył się dużą popularnością. Tylko w poniedziałek restauracja była zamknięta i tego właśnie dnia spotykały się tu „zamknięte grupy”.

Zdjęcia, filmy, adresy, numery telefonów, dzieci...

Robert nie chciał nawet o tym myśleć, jak przerażająca giełda odbywała się tu tydzień w tydzień.

Wytał krople deszczu z twarzy i spojrzał na zegarek.

Jeszcze pięć minut.

Schował się na końcu ulicy za pustą przyczepą do przewożenia łódek i czekał na mężczyznę, o którym nie wiedział nic, znał jedynie brzmienie jego głosu. Wyglądało na to, że jeszcze nie dojechał. Nie licząc dwóch małych świateł pozy-

cyjnych, statek był zupełnie nieoświetlony. Również na parkingu dla gości nikogo nie dostrzegł.

O tej porze dnia Havelchaussee była jeszcze zamknięta dla ogólnego ruchu. Chroniono w ten sposób zwierzęta przechodzące przez szosę. Dlatego też pomimo silnego wiatru już z daleka usłyszał warkot ośmiocylindrowego silnika, który powoli zbliżał się od strony Zehlendorfu.

Ciemny samochód terenowy miał włączone tylko światła postojowe i jechał dość szybko. Stern miał nadzieję, że kierowca chce tylko skrócić sobie drogę, przejeżdżając nad wodą, i że zaraz pojedzie dalej. Ale wtedy zgasły przednie reflektory i ogromne auto skręciło na zjazd do Mostu. Zatrzymało się jakieś pięćdziesiąt metrów przed kładką. Wysiadł mężczyzna. Stern w ciemności rozpoznał tylko fragmenty sylwetki. Jednak to, co zobaczył, wydało mu się dziwnie znajome. Wysoka, prosta postać, z szerokimi ramionami i ciężkim krokiem. Znał to. Już widział. I to często.

Tylko u kogo?

Mężczyzna postawił kołnierz ciemnego trencza, naciągnął sportową czapkę na czoło i otworzył klapę bagażnika. Wyjął z niego mały kosz, na którym leżał jasny koc.

Wiatr zmienił na chwilę kierunek i wiał teraz w stronę Sterna. Ten nie był pewien, czy napięte zmysły nie płatają mu figla. Wydawało mu się, że przez moment słyszał płacz dziecka.

Robert odczekał, aż mężczyzna zamknie żeliwną furtkę, zagrządzając wejście na trap. Potem sięgnął do kieszeni spodni. Często słyszał o uspokajającym działaniu broni trzymanej w dłoni. Sam nie mógł tego potwierdzić. Może dlatego, że wiedział, do kogo należał pistolet. Mężczyzny, który poświęcił dla niego własne życie, a którego spotykał wyłącznie jako wroga.

Jednak jego plan nie przewidywał wymiany ognia z doświadczonym zabójcą. Jeśli Simon z jakiegoś powodu naprawdę przepowiedział przyszłość, za parę

sekund powinna pojawić się kolejna osoba. Kupiec! Może był pedofilem. Ale bardziej prawdopodobne, że to „mściciel”. Mężczyzna, który odpowiada za zabójstwa przestępców w ciągu ostatnich piętnastu lat. Tak czy inaczej policja powinna się pospieszyć, jeśli miało nie dojść tu dziś do katastrofy

Stern spojrział ostatni raz na zegarek. Tuż przed szóstą. Jeśli Carina trzymała się planu, najpóźniej za dziesięć minut wyludniona szosa zamieni się w tor wyścigów dla wozów patrolowych, policyjnych transporterów i samochodów operacyjnych różnego typu. Na wypadek, gdyby jednak coś poszło nie tak, gdyby w policji faktycznie istniał kret, który udaremniłby aresztowanie, Stern chciał się zabezpieczyć i poznać wcześniej tożsamość „głosu”. Tożsamość mężczyzny, który mógł mu powiedzieć, co się wówczas stało na oddziale dla noworodków.

I czy jego syn nadal żyje.

Wyszedł zza przyczepy Był gotów. Zaczęło się.

2.

Pochylony prześlizgnął się w dół brukowanego dojazdu do Mostu. Już ten krótki odcinek do samochodu wywołał u Sterna zadyszkę. Oparł się o zapasowe koło, zamocowane przy tylnej szybie terenówki. Uspokoił nieco oddech i włączył latarkę, żeby namierzyć tablicę rejestracyjną. *Wskazówka numer jeden.*

Krótki szereg cyfr był łatwy do zapamiętania. Oczywiście zdawał sobie sprawę, że samo sprawdzenie dowodu rejestracyjnego nie wystarczy. Wyprostował się, przyjrzał dokładnie tyłowi auta i nagle jego wzrok przykuła smuga światła na górnym pokładzie Mostu. Najwidoczniej handlarz również posługiwał się latarką.

No dobrze.

Stern chciał otworzyć wejście na trap. Musiał podejść tak blisko do „głosu”, jak tylko się dało, aby zobaczyć jego twarz. Serce zaczęło mu mocniej bić. Teraz musiał działać błyskawicznie. Dopóki nie pojawił się rzekomy kupiec, „głos” nie będzie niczego podejrzewał, jeśli usłyszy jakiś ruch na parkingu.

Stern modlił się, żeby wytrzymać ból podczas krótkiego sprintu do statku. Już miał wybiec, kiedy jego spojrzenie zatrzymało się na przednich drzwiach pasażera.

Zdumiał się. *Czy one są...?* Rzeczywiście, otwarte. Nie zatrzasnęły się dostatecznie. Uchylił je i zaraz tego pożałował.

Cholera!

Automatycznie włączyło się wewnętrzne oświetlenie, a Stern poczuł się, jakby wystrzelił w niebo racę. Wsiadł szybko do środka, zamknął za sobą drzwi i patrzył z ciemnego samochodu, czy nieznajomy na Moście coś zauważył. Snop światła na pokładzie zniknął. Zapaliła się mała lampka w sterowni. Stern dostrzegł cień. Zatem nie został odkryty przez mężczyznę, którego uważał za „głos”.

Szybko.

Usiadł na siedzeniu pasażera i rozejrzał się dookoła. PUŁAPKA!, włączyła się ostrzegawcza lampka w głowie Sterna, gdy zauważył, że w stacyjce tkwią klucze. Sięgnął po pistolet, przewyciężył wszelkie odruchy ucieczki, odwrócił się, precyzyjnie na tylne siedzenie i ponad zagłówkami zajrzał do obszernego bagażnika. Kiedy się upewnił, że wbrew oczekiwaniom był jedyną osobą w samochodzie, włączył centralny zamek.

Jednak nie pułapka?

Stern sprawdził w lusterku wstecznym, czy nie nadjeżdża drugie auto. Ale nie dostrzegł najmniejszego ruchu, pomijając drzewa, których gałęzie wyginały się pod wpływem wiatru jak wędziska. Otworzył schowek na rękawiczki, w któ-

rym znalazł jedynie plastikowy pojemnik z chusteczkami odświeżającymi. Od-
sunął osłonkę przed słońcem i sprawdził boczne kieszenie. Nic. Żadnych wska-
zówek zdradzających tożsamość kierowcy

Oczy Sterna przyzwyczajały się powoli do mroku. Zauważył, że całe wnę-
trze było tak czyste i puste, jakby siedział w samochodzie prosto z salonu. Żad-
nych płyt CD, starych rachunków za benzynę, map czy innych rupieci, jakie
każdy kierowca wozi zazwyczaj ze sobą. Nie znalazł nawet karty parkingowej.
Sprawdził jeszcze pod siedzeniami, czy nie ma tam ukrytych schowków. Bez
efektu. Oparł się łokciem o przegrodę oddzielającą oba przednie siedzenia. Kie-
dy postanowił wysiąść, olśniło go.

Przegroda!

Oczywiście. Zdecydowanie za szeroka, jak na zwykłą podpórkę pod łokieć.
Pociągnął najpierw za zły koniec, ale w końcu otworzyła się z cichym szczękiem.
Znajdujący się pod skórzaną pokrywą schowek był tak samo pusty jak całe wnę-
trze samochodu. Z jednym wyjątkiem. Dwoma palcami Stern wyjął błyszczący
srebrny krążek. Marne światło z Mostu wystarczyło, żeby odczytał datę, jaką
ktoś napisał na DVD zielonym flamastrem.

To był ostatni dzień życia jego syna.

3.

W tak wielkim szpitalu jak klinika Seehaus odwiedzający rzucali się w oczy
tylko wtedy, kiedy sami zwrócili na siebie uwagę. Pytali portiera o drogę, kopcili

papierosy w poczekalni albo zaklinowali się w obrotowych drzwiach z olbrzymim bukietem kwiatów Kobieta w szarym dresie bez ciężkiego bagażu była całkowicie niewidoczna, nawet jeśli o tak wczesnej porze pospiesznie zmierzała w kierunku wind.

Carina wiedziała, że przygotowania do śniadania szły pełną parą i za chwilę nowa zmiana zacznie pracę. Poziom koncentracji lekarzy i pielęgniarek osiągnął najniższy stan. Ostrożnie otworzyła szklane drzwi i weszła na korytarz oddziału neurologicznego. Cały czas chowała twarz pod kapturem sportowej bluzy, którą dostała wczoraj od ojca Roberta. Nie chciała ryzykować rozpoznania przed dotarciem do celu.

Na końcu korytarza wisiał duży okrągły zegar. Jeszcze dwie minuty Za sto dwadzieścia sekund zamierzała wyrwać ze snu personel szpitala. To była ważna część planu.

- Tuż przed szóstą wejdiesz na oddział i podniesiesz alarm. Chciałbym, żeby możliwie dużo twoich kolegów było świadkami, jak podchodzisz do strażnika przed pokojem Simona - poinstruował ją wcześniej Robert.

Nie mogło być później żadnych wątpliwości, że dobrowolnie się poddała. Musiała mu też obiecać coś jeszcze.

- Jak tylko oddasz się w ich ręce, powiedz im, gdzie jestem. Ale dopiero punktualnie o szóstej. Ani sekundy wcześniej - przypomniała sobie ostatnią rozmowę, idąc w głąb korytarza.

- Dlaczego nie? - spytała go wtedy. - I tak minie co najmniej pięć minut, zanim pojawi się pomoc.

- Tak. To czas, którego potrzebuję, żeby się dowiedzieć, co się stało z moim synem. Jeśli na Moście faktycznie dojdzie do sprzedaży niemowlęcia, dalsza zwłoka będzie zbyt niebezpieczna dla dziecka.

- Ale jeśli się spóźnią, zginiesz.

Zmęczony potrząsnął tylko głową.

- Nie wierzę, że „głos” chce mnie zabić. Miał na to w ostatnich dniach wystarczająco dużo okazji.

- To czego chce?

Zamiast odpowiedzi otrzymała ostatni pocałunek. Potem Stern odjechał.

Zatrzymała się. Mleczne drzwi do pokoju pielęgniarek stały zazwyczaj otwarte, teraz wyglądało na to, że żeńska część personelu zrobiła sobie pierwszą zasłużoną przerwę na kawę. Carina usłyszała jasny, nieznany śmiech za drzwiami. Podejrzywała, że to praktykantka z innego oddziału, która przed chwilą zaczęła swoją zmianę.

TLR

Tyk. Wskazówka na zegarze połknęła kolejną minutę ich planu. Uniosła dłoń z zamiarem zapukania - i znieruchomiła.

Ale to jest niemożliwe... przeszło jej przez myśl. Kiedy wchodziła na korytarz, nie zaryzykowała spojrzenia w stronę pokoju numer 217. Policjant przed drzwiami powinien ją zobaczyć dopiero, kiedy ona o tym zdecyduje. Nie odwrotnie. Mimo to kątem oka zauważyła coś, co się jej nie spodobało.

Odwróciła się powoli i obrzuciła spojrzeniem długi czysty korytarz. Nie było tam nikogo. Żadnego mężczyzny, żadnej kobiety, żadnego policjanta. Nikogo.

Może gliniarz zrobił sobie przerwę na papierosa?

Carina cofnęła się od drzwi.

Dobrze. Może poszedł do toalety. Albo zajrzał do pokoju do środka. Ale czy nie stałoby wtedy przed drzwiami krzesło?

Pokój 203, 205, 207. Szła coraz szybciej.

A może faktycznie zrezygnowali z ochroniarza? Po tym, jak Simm został porwany? Akurat dziś?

Pokój 209 minęła biegiem.

- Hej, Carina? - usłyszała za sobą niepewne wołanie. Prawdopodobnie praktykantka. W przeciwieństwie do wcześniejszego śmiechu, głos wydał jej się teraz znajomy, ale i tak się nie obróciła. To mogło i musiało poczekać.

Szarpnęła drzwi do pokoju 217 i zrobiło się jej niedobrze.

Chciała krzyknąć. Zobaczyła dokładnie to, czego się obawiała. Nic. Żadnego dziecka. Simona. Jedynie świeżo zasłane pojedyncze łóżko, czekające na nowego pacjenta.

- Carina Freitag? - znów odezwała się dziewczyna. Tym razem tuż za nią.

Odwróciła się. Rzeczywiście nowa. Rudowłosa siadała czasem obok niej w kafeterii. Marianne, Magdalena, Martina... albo jakoś tak. Nieważne, jak się nazywała. Dla Cariny liczyło się teraz tylko jedno imię, a ten, który je nosił, zniknął.

- Simon, gdzie on jest?

- Przenieśli go, ale ja...

- Przenieśli? Dokąd?

- Do kliniki Kennedyego.

- Co? Kiedy?

- Nie mam pojęcia. Taki był wpis w księdze. Dopiero zaczęłam zmianę. Posłuchaj, nie chcę mieć kłopotów. Dostałam polecenie, żeby natychmiast sprowadzić ordynatora, jak tylko się pojawisz.

- To zrób to. I najlepiej zadzwoń od razu na policję.

- Dlaczego? - Pielęgniarka opuściła dłoń, w której trzymała słuchawkę telefonu.

- Bo Simon został uprowadzony W JFK nie ma neurologii. To prywatna klinika, zajmuje się medycyną ogólną!

- Och...

- Kto wyraził zgodę? Kto miał przed tobą dyżur?

Rudowłosa była zupełnie zdezorientowana. Wyliczyła kilka nazwisk, aż Carina poprosiła ją, żeby powtórzyła jedno z nich. Niemal potknęła się o własne nogi, kiedy pędem wyleciała z pokoju, mijając pielęgniarkę.

Picasso? Od kiedy znów bierze nocne zmiany?

4.

Stern przekręcił kluczyk w stacyjce terenówki, włączając dopływ prądu do nowoczesnego odtwarzacza, który łapczywie połknął płytę. Nie zwracał już uwagi na ruch na Moście. Patrzył wyłącznie na ekran, czując się jak student, któ-

ry nie może znaleźć swojego nazwiska na liście osób z pozytywnym wynikiem egzaminu. Tyle że tym razem chodziło o życie jego syna albo, co było bardziej prawdopodobne, o jego śmierć.

Kiedy pojawił się obraz, Robert pomyślał najpierw, że to kopia filmu, który już raz widział. Zaczynał się tak samo, wieczornym obrazem zielonego oddziału dla noworodków. Znow Felix leżał w łóżeczku, znow wyciągał prawą rączkę i rozstawał drobne paluszki. Stern miał ochotę się odwrócić i zamknąć oczy, ale wiedział, jak bezsensowne by to było, zważywszy, że kolejne ujęcia wypaliły na zawsze znamię w jego oczach już wtedy, gdy na starym telewizorze w swojej willi oglądał je po raz pierwszy: nieruchome ciało Felixa, sine usta i oczy pozbawione życia, które po latach ciągle oskarżały ojca, dlaczego nie powstrzymał śmierci. Stern złożył dłonie w geście modlitwy, ugryzł się w język z życzeniem wybudzenia się z tego koszmaru. Nie był gotowy na ponowne obserwowanie śmierci syna.

Ale dlaczego? Naprawdę jesteś takim idiotą i myślałeś, że istnieje inne wyjaśnienie?

- Tak! - zaczął mówić do siebie. - Felix żyje. Nie chcę, żeby jego serce przestało bić. Proszę, nie pozwól mu umrzeć. Nie drugi raz.

To były bardziej błagania niż modlitwa. I chociaż nie nazwał adresata swoich rozpaczliwych próśb, wydawało się, że te słowa odniosły jakiś skutek.

Co się dzieje?

Kolejne ujęcia różniły się znacznie od tych z pierwszego filmu. Nagle nad łóżeczkiem pojawił się cień. Kamera zrobiła zbliżenie, a obraz stał się bardziej rozmyty. I stało się coś niepojętego. Przez kadr prześliznęły się szorstkie męskie dłonie. Najpierw jedna, potem druga. Sięgnęły po Felixa i zatrzymały się nad jego główką. Stern nie wiedział, co robić, obawiał się, że kolejne sceny będą jeszcze bardziej przerażające niż wszystko, co dotychczas przeszedł. Spróbował poruszyć palcami, chciał wyłączyć odtwarzacz, ale kiedy serce pragnęło jednym przyciskiem przerwać cierpienia, mózg sprzeciwiał się temu. W końcu poddał się nieuchronnemu. Czekał, aż w ciemności parkingu nad jeziorem zakończą się wreszcie jego poszukiwania odpowiedzi. Płyta kręciła się dalej. Przyglądał się rękom mężczyzny, wyciągającym się po niemowlę. Po Felixa! Jedna złapała za kark, druga za klatkę piersiową. Napięły się mięśnie silnych przedramion i nieznajomy..

Dobry Boże, pomóż mi...

...podniósł Felixa i...

To niemożliwe. To jest...

...wyjął go z łóżeczka.

To jest niemożliwe!

Zaledwie kilka sekund później mały materac znów był zajęty. Znów przez niemowlę. Podobny rożek, zbliżona wielkość i wygląd. Istniała tylko jedna jedyna różnica: To nie by
Felix.

A może jednak?

Nowe niemowlę było tak bardzo podobne do jego synka, chociaż coś się zmieniło w jego spojrzeniu.

Nos? Jego uszy?

Jakość nagrania była za słaba. Robert nie potrafił tego rozpoznać. Przetarł oczy i obydwoma rękami oparł się o deskę rozdzielczą. Potem zbliżył się do małego ekranu. Bez skutku. Kontury dziecka zamazały się przez to jeszcze bardziej. Z pewnością rozpoznał jedynie, że niemowlę żyło. W dziwny sposób jego ruchy wydały mu się nawet bardziej znajome niż chłopczyka, który przed chwilą leżał na jego miejscu.

Ale to by oznaczało...

Robert zwrócił uwagę na pokazującą się datę i nic więcej nie potrafił pojąć.

Jak chory na autyzm skoncentrował wszystkie swoje zmysły wyłącznie na tym, żeby zrozumieć obrazy, które widział.

Ale i tak mu się nie udało.

Podmieniony? To niemożliwe. Felix był jedynym chłopcem na oddziale. I przecież widział jego śmierć. Który z tych filmów jest prawdziwy?

Stern oddychał nierówno, oglądając zakończenie filmu. Kadr obejmował teraz wyłącznie główkę dziecka. Oraz owłosione męskie dłonie, które włożyły na prawą rączkę chłopca opaskę identyfikacyjną.

Po tym obraz się urwał. Nagranie dobiegło końca. Ekran pociemniał, a Stern spojrział na komórkę, która od jakiegoś czasu wibrowała w jego dłoni.

5.

- Dzień dobry, panie Stern.

Od jakiegoś czasu Robert wierzył, że dotarł do granicy rozpaczy. Gdy usłyszał zniekształcony „głos”, musiał zmienić zdanie. Na restauracyjnym statku wyłączono i włączono światło. Cień podszedł do dużego okna wychodzącego na parking.

- Co pan zrobił z moim synem? - wyrzucił z siebie Stern.

Chociaż niczego bardziej nie pragnął, nie mógł uwierzyć w odpowiedź.

- Zamieniliśmy go.

- To niemożliwe.

- Dlaczego? Przecież sam pan przed chwilą widział.

- Tak. A trzy dni temu przysłał mi pan film, na którym on umiera - krzyczał Robert. - Czego pan chce ode mnie? Które nagranie jest prawdziwe?

- Oba - odpowiedział spokojnie „głos”.

- Kłamstwo!

- Nie. Jedno dziecko zmarło. Drugie żyje. Felix ma teraz dziesięć lat i mieszka u rodziny zastępczej.

- Gdzie?

„Głos” zrobił dłuższą przerwę, jak mówca, który sięga po szklanę z wodą. Jego brzmienie pozostało metaliczne, chociaż nie tak bardzo zniekształcone, jak przy pierwszym kontakcie.

- Na pewno chce pan to wiedzieć?

- Tak.

- Proszę otworzyć schowek na rękawiczki.

Zareagował natychmiast, jakby był zdalnie sterowany.

- Co dalej?

- Niech pan wyciągnie pudełko i je otworzy

Drżącymi palcami Stern chwycił opakowanie z odświeżającymi chusteczkami.

Cichy świst powietrza wydobył się spod plastikowego wieczka, gdy je uchylił.

- Już.

- Dobrze. Proszę wyjąć jedną chusteczkę i przycisnąć ją do nosa i ust.
- Nie - odpowiedział instynktownie. Nie musiał widzieć nalepki z trupa czaszką, żeby poznać, jak trująca była substancja, której opary wypełniły już samochód.

- Myślałem, że chce pan znów zobaczyć swojego syna?
- Tak, ale nie chcę umrzeć.
- Kto powiedział, że pan umrze? Proszę tylko przyłożyć chusteczkę do twarzy

- A co się stanie, jeśli tego nie zrobię?

- Nic.

- Nic?

- Tak. Może pan wysiąść i pójść do domu.

I nigdy się nie dowiedzieć, gdzie jest mój syn.

- Ale to byłby błąd. Teraz, kiedy doszedł pan tak daleko.

- Pan kłamie. Te nagrania są fałszywe.

- Nieprawda. - „Głos” odetchnął ciężko.

- To niech mi pan wyjaśni, w jaki sposób to zrobiliście. Powiedział pan, że było dwoje dzieci. - Stern ochryplł i mówił coraz głośniejszym głosem. - Dlaczego nikt tego nie zauważył? Czyje było to drugie dziecko? Dlaczego je podmieniliście?

I jakim cudem przez trzy lata nikt go nie szukał po tym, jak umarł w ramionach Sophie?

- Dobrze, wyjaśnię to panu. Ale później będzie pana kolej.

Stern zamknął pudełko i potrząsnął głową.

- Żeby wszystko było jasne, musi pan wiedzieć, w jaki sposób zarabiam pieniądze.

- Handlując dziećmi.

- Między innymi. Prowadzimy interesy na wielu obszarach. Handel noworodkami należy do najbardziej lukratywnych.

Stern przełknął ślinę i spojrzał w lusterko wsteczne. Dwie minuty po szóstej. „Mściciel” ciągle jeszcze się nie pojawił.

- Mój biznes bazuje na wspaniałym wynalazku. Skrzynka życia. Na pewno zna pan te okienka w szpitalach, w których matka może oddać niechciane dziecko, zamiast porzucać je gdzieś albo wręcz zabić.

- Tak.

Co to ma wspólnego z Felixem?

- Kiedy słyszał pan ostatni raz, że zostawiono tam dziecko? Podobno dzieje się to bardzo, bardzo rzadko. Najwyżej dwa razy w roku. Ale to kłamstwo. Naprawdę zdarza się to ciągle. - „Głos” zamlaskał językiem. - Jak tylko jakaś matka pozostawia dziecko, w klinice uruchamia się cichy alarm. Pojawia się ktoś z personelu i zajmuje się porzuconym noworodkiem. A na dwa z trzech przypadków jest to pielęgniarz, którego ja opłacam.

- Nie! - wyrzeźił Stern.

- Tak, tak. To dobra strona cichego alarmu. Nikt go nie słyszy. Aby zapewnić anonimowość, nie instaluje się przy okienkach żadnych kamer. Kierownictwo szpitala nie ma więc pojęcia, ile dzieci faktycznie zostaje oddanych. Kiedy pojawia się matka, chcąc dobrowolnie pozbyć się własnego dziecka, muszą je tylko odebrać. Genialnie, że są to najczęściej niemieckie niemowlęta. A bezdzielne pary gotowe są zapłacić za nie ogromne pieniądze. Byłby to bardzo prosty interes, gdyby tylko ktoś nie zabijał ciągle moich ludzi.

Mdłości wzbierały w Sternie. To było przestępstwo idealne. Sprzedawcy dzieci nie musieli nawet ryzykować uprowadzeń. „Dobrowolnie” oddawano im noworodki, a później nie pojawiali się żadni rodzice, którzy desperacko poszukiwali swego zaginionego maluszka.

- Nadal nie rozumiem, co to ma wspólnego z Felixem. - Robert był już u kresu sił. Wiatr z niezmienną siłą parł na samochód.

„Głos" zrobił krótką przerwę, a Robert wstrzymał oddech. Później tama się przerwała.

- Felix pojawił się w odpowiednim momencie w nieodpowiednim szpitalu. Dzień przed jego narodzinami w okienku kliniki leżało inne, bardzo śliczne dziecko. Poinformowałem niecierpliwych klientów o szczęśliwym trafie. Ale niestety podczas badań, które przeprowadzał jeden z moich lekarzy, okazało się, że dziecko cierpi na śmiertelną wadę serca.

Stern czuł, jak wokół piersi zaciska mu się niewidzialny pas.

- Od początku był skazany na śmierć. Operacja nie miała najmniejszych szans powodzenia i nie wchodziła w ogóle w rachubę. Nikt nie mógł przecież dowiedzieć się o istnieniu tego dziecka.

Pas zacisnął się jeszcze mocniej.

- Proszę zrozumieć, w jak trudnej znalazłem się sytuacji: to była jedna z moich pierwszych transakcji. Nie chciałem i nie mogłem jej cofnąć. Z drugiej strony nie chciałem też dostarczyć wybrakowanego towaru.

- Dlatego podmienił pan niemowlęta?

- Dokładnie. Tuż po rozwiązaniu. Na szczęście noworodek z okienka wyglądał jak Felix. Choć nawet gdyby był większy, grubszy i brzydszy, nigdy byście się nie zorientowali w zamianie. Nawet znamie zauważył pan dopiero przy drugim spotkaniu z synem. A wtedy był już podmieniony.

Stern skinął głową wbrew sobie. „Głos" miał rację. W stanie euforii bezpośrednio po ciężkim porodzie podano Sophie mokre i wybrudzone krwią dziecko zawinięte w kocyk. A ponieważ Felix był jedynym chłopcem na oddziale, nie mieli żadnych powodów do obaw, kiedy wyniesiono go z sali, żeby wykonać niezbędne zabiegi pielęgnacyjne. Dlaczego ktoś chciałby zrobić im coś tak okropnego?

- Rozumie już pan? Z wyjątkiem pierwszych sekund po porodzie zawsze gładkał pan i pieścił podmienione dziecko.

Ruchome obrazy oddziału dla noworodków przemknęły jeszcze raz przed oczami Sterna.

- A to drugie dziecko...?

- ...zmarło, jak się spodziewaliśmy, dwa dni po zamianie. Sam pan widział nagrania ze szpitalnej kamery

- Chwileczkę, to nie były przecież nagrania z...

- ...z zamocowanej na stałe kamery? - spytał „głos” rozbawiony. - Dlaczego nie? Z powodu cięć? Migającego obrazu, zbliżeń i innych cyfrowych efektów? Nawet pan nie wie, co można dziś osiągnąć za pomocą nowoczesnego programu do obróbki zdjęć. Można na przykład na ramię dziesięcioletniego chłopca wkleić znamię w kształcie Włoch. Czy to nie ironia losu, że musiałem pana okłamywać, żeby uwierzył pan w prawdę?

TLR

Stern wrzasnął:

- A co, jeśli teraz znów pan kłamie?!

- Dowie się pan o tym. Więcej nie chcę i nie mogę teraz powiedzieć. Proszę podjąć decyzję. Niech pan wyciągnie chusteczkę z pudełka, jeśli chce pan zobaczyć syna.

Stern wlepił wzrok w plastikowe pudełko w swoich rękach.

- Albo do widzenia.

Na Moście zgasły wszystkie światła i cały plac przed falującym jeziorem utonął w ciemności. Stern jeszcze mocniej przycisnął komórkę do piekącego ucha. Ale połączenie zostało już przerwane. „Głos” się rozłączył.

Co mam zrobić?

Spojrzał na kluczyk w stacyjce. Mógłby odpalić samochód i stąd odjechać. *Ale dokąd?* Z powrotem do życia, którego pustkę od tej chwili wypełniałyby męczące wątpliwości? Podejrzewał, że wszystko, co usłyszał, było dobrze przemyślanym kłamstwem. Ale to nie miało już znaczenia. Ważne było jedynie, jak bardzo chciał uwierzyć w te kłamstwa.

Stern otworzył pudełko, wahał się jeszcze przez moment i w końcu wyjął wilgotną chusteczkę. Leżała ciężko w jego dłoni, nasączona substancją, która może go nie zabije, lecz na pewno zbliży do śmierci. Gdy zakrył nią twarz, mimowolnie pomyślał o całunie. Wstrzymał oddech. Przed oczami miał Felixa. Kiedy już nie mógł dłużej wytrzymać, odetchnął głęboko przez nos i usta jednocześnie. Złapał trzy oddechy, potem wokół niego zapadła nieskończona cisza.

6.

W pomieszczeniu śmierdziało potem i wymiocinami. Carina obawiała się najgorszego, wchodząc do pokoju, w którym personel szpitala korzystał z przerw na krótkie drzemki, kiedy zdarzały się trzydziestosześciogodzinne dyżury

- Ostatni raz widziałam go, jak tu wchodził – szepnęła rudowłosa pielęgniarka, zatrzymując się na korytarzu przed drzwiami. Carina nie próbowała nawet zapalić światła w dużym pokoju. Halogenowe lampy przy suficie nie działały i nikt nie poinformował o tym portiera. Kto tu wchodził, nie potrzebował żadnego światła. Dlatego też rolety w oknach na stałe były opuszczone.

Jednak w skromnej poświacie wpadającej z korytarza ukazało się wystarczająco wiele, żeby wstrząsnąć Cariną.

Picasso!

Leżał w kałuży przed wąską sofą. Albo z niej spadł, albo w ogóle do niej nie dotarł.

- Co tu się... o mój Boże! - Siostra przyłożyła drżącą dłoń do ust.

- Natychmiast sprowadź lekarza i policję – wyszeptała Carina, pochylając się nad swoim nieruchomym kolegą.

Rudowłosa wydawała się jej nie rozumieć. Stała jak wryta i nie potrafiła powstrzymać drżenia dolnej wargi.

- Czy on... czy on... - pytała, nie mając odwagi dokończyć zadania.

Nie żyje?

Carina uklękła obok pielęgniarki. Smród wzmógł się jeszcze bardziej. Złapała go mocno za silne ramiona i obróciła na

plecy Mdłości w niej wzrosły aż zorientowała się, że to dobry znak. Wyczuwała urynę, pot, wymiociny Ale żadnej krwi! Stęknęła, kiedy potwierdziły się jej podejrzenia.

- Lekarza! Sprowadź tu natychmiast lekarza! - krzyknęła teraz na tyle głośno, aby wyrwać rudowłosą z odrętwienia.

Powieki Picassa zadrzały Otworzył oczy Mimo marnego światła Carina stwierdziła, że wyglądały na bardziej przytomne, niż oczekiwała po wyraźnych oznakach zatrucia.

- Słyszysz mnie?

Zamrugął.

Dzięki Bogu.

Chciała go uspokoić, biorąc za rękę. Ale najpierw- wyczuła kartki, wokół których zacisnęły się jego palce.

- Co to jest? - spytała głośno, jakby Picasso był w stanie odpowiedzieć. Rozluźnił nieco uchwyt i Carina mogła wyjąć papiery.

Był to prosty wydruk komputerowy W słabym świetle Carina rozpoznała szpitalną tabelę danych. Picasso wydrukował plan łóżek na oddziale intensywnej terapii.

Po co mu to?

Zauważyła dwa podkreślone na czerwono nazwiska i przycisnęła dłoń do ust.

To jest niemożliwe!

Sprawdziła jeszcze raz datę planu. Kilka tygodni temu. Nie było wątpliwości.

Nagle poczuła na ramieniu czyjaś dłoń. Podskoczyła, jakby to włamywacz zaskoczył ją w ciemności od tyłu.

- Hej, hej. Spokojnie. Pójdzie pani teraz ze mną, aż...

Carina uwolniła się od ręki ordynatora i odepchnęła go na bok. Razem z nim pojawiła się kolejna pielęgniarka. Carina błyskawicznie odsunęła suwak saszetki i wydobyła pistolet.

- Chcieli go otruć - powiedziała, spoglądając na Picassa, który właśnie próbował sam wczołgać się na kanapę. Cokolwiek dosypano mu do kawy, aby nie przeszkodził w uprowadzeniu Simona, wybrano za słabą dawkę. - Nawet nie próbujcie za mną iść. Zaczekajcie tu na policję i powiedzcie im, żeby natychmiast wysłali wszystkie możliwe siły na Havelchaussee. Na wysokość Schildhornweg.

- Carina - odezwał się bez przekonania lekarz. Również pielęgniarki nie odważyły się zareagować, widząc broń w jej ręce.

Co dalej?

Pistolet na nic więcej jej się nie przyda. Nie mogła czekać na policję. Musiała natychmiast pospieszyć na pomoc Sternowi. *Ale jak?* Swoją samochód zostawiła pod willą.

- Nie może pani stąd uciec - powtórzył ordynator.

Zgadza się. Chyba że...

Carina weszła do pokoju pielęgniarek i zabrała skórzaną kurtkę Picassa. W drodze do windy zatrzymała się przed jedną z sal, naprzeciw palarni. Otworzyła drzwi, żeby się upewnić. Pusta. Jej najgorsze obawy potwierdzały się.

Jeszcze na schodach prowadzących do głównego wyjścia sprawdziła kieszenie kurtki.

Bingo!

Portfel, gumy do żucia, pęk kluczy

Przez otwarte szklane drzwi wybiegła na zewnątrz, mijając gorączkowo mówiącego przez telefon portiera. Wiedziała, gdzie Picasso parkował swój niski sportowy samochód.

- Wyciąga dwieście osiemdziesiąt - chwalił się, kiedy próbował ją namówić na krótką przejażdżkę. Carina wątpiła, by to wystarczyło, aby zapobiec katastrofie.

7.

Stern ocknął się. Całun na jego twarzy wydawał się teraz inny. Był gęstszy i grubszy, nieprzyjemnie drapał skórę. Jak zimowy sweter z taniej wełny. Z trudem panował nad nudnościami, które wywoływał nie tylko chloroform ciągle obecny w jego organizmie, ale także przedmiot w ustach. Gąbka smakowała jednocześnie słodko i słono, jakby spocone dłonie ścisnęły ją i wepchnęły mu pod język. Zaczął się dławić. Nawet tak minimalny skurcz mięśni spowodował falę bólu, która rozeszła się od karku do czoła. Jeszcze nigdy w życiu nie bolała go tak głowa. I nigdy wcześniej nie czuł takiego strachu.

Otworzył oczy, a otaczająca ciemność zamiast zniknąć, wydała się jeszcze głębsza. Pod zamkniętymi powiekami tańczyły welony światełek. Ale teraz nawet one znikły. Jego serce przestało bić. Na sekundę. Potem następną.

Jestem sparaliżowany, przeszło mu przez myśl. Od szyi w dół.

Nie mogę nawet poruszyć ustami.

Spróbował otworzyć usta. Nie był w stanie. Z ulgą zauważył, że mięśnie szczęki ciągle były sprawne. Aż w końcu z odrazą uprzytomnił sobie, dlaczego może oddychać tylko przez nos.

Zakneblowali mnie i założyli na głowę jakiś worek.

- Gdzie jestem? - wymamrotał, na tyle wyraźnie i głośno, na ile pozwalała plastikowa taśma, którą zakleiono mu usta. Naga panika jak kleszcz wpiła się w jego system nerwowy. Miał wrażenie, że się udusi.

Wtedy nagle zapaliło się nad nimi małe światło. Miał nadzieję, że obwiązali mu również oczy .

Mylił się, nie założyli mu na głowę worka. Kiedy źrenice przyzwyczyły się do delikatnego światła i błyski na siatkówce powoli ustąpiły, potrzebował jeszcze chwili, zanim rozpoznał, czyje pełne strachu oczy gapiły się w niego. Jego własne!

Patrzył jeszcze przez jakiś czas w lusterko, potem obrócił głowę. Ostrożnie. Jak w zwolnionym tempie. Żadnych gwałtownych ruchów, które spowodowałyby, że musiałby zwymiotować z kneblem w ustach.

Czy to naprawdę...? Tak. Nie było wątpliwości. Siedział w pustym samochodzie. Na przednim siedzeniu pasażera. I wiedział, do kogo należał mercedes. Do niego samego.

Co ja tu robię?

Czarno-szare plamy za przednią szybą nabierały powoli kształtu. Chwiejące się słupy wziął najpierw za złudzenie optyczne. Kolejny skutek uboczny środka odurzającego. To były oddalone o jakieś sześćdziesiąt metrów miotane wiatrem drzewa. Między mercedesem i skrajem lasu rozciągał się pusty parking.

Stern wychylił się do przodu, żeby odciążyć skrepowane nadgarstki. Zmrużył oczy. Zastanawiał się, skąd zna to zapomniane przez Boga miejsce. Akurat kiedy wpadł na pierwsze skojarzenie, jego uwagę odwrócił szmer na tylnym siedzeniu.

Chwilę później ktoś głucho zakasłał w chusteczkę.

- Świetnie, zatem już się pan obudził. Prawie godzinę przed czasem.

Stern rozpoznał głos. Bez technicznego zniekształcenia brzmiał zdecydowanie bardziej ludzko.

Zimne powietrze wtargnęło do samochodu, gdy mężczyzna otworzył drzwi i wysiadł. Robert skulił się z bólu. Kremowe światło nad lusterkiem przez ułamek sekundy padło na charakterystyczny profil zabójcy. To wystarczyło, żeby mógł go rozpoznać. Jego widok zmniejszył zdolność analizowania Sterna do minimum, bo to, co zobaczył, nie mogło być prawdą.

- I co, ciągle pan wierzy w reinkarnację? - zaśmiał się Engler, otwierając drzwi i wyciągając Sterna jak worek ziemniaków.

Robert stracił równowagę, nie mogąc podeprzeć się skutymi rękami, i walnął głową w ubitą glinianą ziemię. Warstwa liści trochę zamortyzowała mocne uderzenie, czego Stern od razu pożałował. Dużo bardziej pragnął stracić świadomość.

Engler? Szef wydziału zabójstw? Jak to możliwe?

Dwie silne dłonie poderwały go do góry. Momentalnie dwie rzeczy stały się dla niego jasne. Rozpoznał parking i wiedział, dlaczego tu był.

- Nie powinien pan wierzyć we wszystko, co pan widzi - powiedział komisarz, stawiając na nogi Sterna. - Halo, doktorze Tiefensee? Jest pan tu? - rozba- wiony naśladował przedstawienie, jakie odegrał w gabinecie psychiatry. Potem przyłożył kawałek plastyku do ust i zniekształconym głosem mówił dalej: - Wi- dzi pan nożyczki? Wbije je pan prosto w jego serce.

Engler cofnął się o krok i zatrzasnął drzwi. Hałas przypomniał Sternowi trzaśnięcie drzwiami w gabinecie Tiefenseego. Dopiero teraz wpadł na to, że oba głosy nie przemieszczały się wówczas. Kiedy Engler mówił sztucznym głosem, wchodził do jednego z pokoi. Naturalnym głosem mówił tylko na korytarzu.

- Cóż, naprawdę nieźle się bawiłem, wyciągając mojego współnika z jego praktyki, gdzie go pan zaskoczył - śmiał się Engler. - Prawie tak samo, jak przy inscenizowanym wypadku. Cholera, człowieku. Wszystko szło zgodnie z planem i nagle postanowił się pan poddać? Musiałem temu zapobiec. Na szczęście jest pan niewiarygodnie łatwowierny. Trzy strzały, roztrzaskana przednia szyba i tro-

chę sztucznej krwi w ustach. Więcej nie potrzebowałem. No dobrze, może jeszcze płyta DVD.

Chichotał już prawie histerycznie. Splunął w końcu na ziemię i trochę się uspokoił.

- Jak się panu podobało przedstawienie z motocyklistą? Chciał tylko pięćset euro za to, żeby przestrzelić przednią szybę w samochodzie i przystawić panu broń do głowy Proszę się nie martwić. Nie powinien go pan żałować. Ten facet lubił dzieci. No i miał na sumieniu Tiefenseego. Pamięta pan? To ten długowłose gość, za którym pan wybiegł z gabinetu.

Stern zrobił krok do przodu i oparł się o bagażnik swojego mercedesa. Czuł, że za chwilę znów upadnie. Tu, na środku parkingu, w opuszczonym przez Boga kąpielisku nad Wannsee.

- Ach, tak - Engler zareagował, jakby przypomniał sobie o czymś bardzo ważnym. - O Moście wiedziało już zbyt dużo osób. Dlatego z mężczyzną, który chce mnie zabić, ustaliłem inne miejsce spotkania i przesunąłem termin o trzy kwadransy. Myślę, że nie będziemy się nudzić, czekając tu na zaskakującego gościa.

8.

Nic. Żadnych świateł, żadnych samochodów Żadnych oznak życia. Carina stała na parkingu przed Mostem i czuła duszącą samotność.

Gdzie oni są? Gdzie jest Robert? Simon?

Oprócz auta, którym tu przyjechała, żaden inny samochód nie stał zaparkowany na podjeździe do restauracji. Szelest liści, trzask takielunku i nerwowe ude-

rzanie fal mogły zagłuszyć inne odgłosy. Jednak instynkt podpowiadał jej, że nikogo tu nie było. Była sama.

Carina sięgnęła po komórkę, żeby jeszcze raz zadzwonić na policję. Jeden telefon wykonała już w drodze. Do Roberta nawet nie próbowała. Jego telefon był wyłączony albo znajdował się poza zasięgiem sieci.

Z małym pistoletem w dłoni podeszła jeszcze raz do zamkniętej furtki na trap. Zastanawiała się, czy wdrapać się na nią i sprawdzić dokładnie Most. U szczytu łukowatej furtki sterczały obwiązane drutem kolczastym grotty i zapraszały do rozprucia sobie o nie brzucha.

Przypomniały się jej filmy, w których główni bohaterowie w takich sytuacjach po linie wspinali się na statek. Niestety wyczerpane ramiona wysyłały jednoznaczny sygnał: nie ma szans.

We wściekłe odgłosy jesiennej wichury wmieszał się nagle klakson przejeżdżającego za nią szybko samochodu. Włączyła w komórce opcję automatycznego wyboru telefonu alarmowego. Oparła się plecami o chybotałą furtkę i poczuła to. Dokładnie w tym samym momencie, kiedy zamknęła oczy

Ze strachu upuściła telefon, który roztrzaskał się o ziemię. Kilka części wpadło do ciemnej, spienionej wody. Carina obróciła się powoli, zbyt skoncentrowana na swoim podejrzeniu, aby żałować straty jedynej możliwości komunikacji.

Rzeczywiście. Duży kartonowy szyld wisiał dumnie na zamkniętej bramie. Nie zwróciła wcześniej na niego uwagi, właśnie dlatego, że był tak ostentacyjny. Myślała, że właściciele restauracji wywiesili tu tylko informację o godzinach otwarcia albo ostrzeżenie o wejściu na własną odpowiedzialność.

Jednak jak na stałą informację wywieszka wyglądała zbyt nieprofesjonalnie. Napisana na komputerze i prowizorycznie przymocowana czterema drutami do metalowych prętów.

Zirytowała ją wielka uśmiechnięta buźka po ostatnim słowie. Jedyne, co w ogóle mogła odszyfrować w bladym księżycowym świetle.

Z saszetki wyjęła zapalniczkę. Gdy żółty płomień oświetlił cały tekst, spłonęła w niej ostatnia nadzieja.

Do wszystkich spóźnialskich!

Dzisiejszy poranny rejs odbędzie się wyjątkowo z kąpieliska Wannsee.

Proszę stawić się punktualnie o szóstej czterdzieści pięć.

Robert przygotował małą niespodziankę.



TLR

9.

Choć nic nie miało już sensu, ale mimo to cała sprawa rozjaśniała się powoli. Tu i teraz, w powoli nadchodzącym porannym brzasku.

Płyta DVD, inscenizacja zabójstwa Englera przez motocyklistę, własny mercedes, przed którym niemal zwymiotował - wszystko to mogło oznaczać tylko jedno. Sadystyczny plan Englera z pewnością nie przewidywał wyjawienia mu prawdy o Feliksie. Wręcz przeciwnie. Komisarz będzie czerpał przyjemność, wysyłając go w nieświadomości w objęcia śmierci. Stern bezradnie spuścił głowę, jak ktoś, kto wreszcie zrozumiał swój wielki błąd. Po kolei wszystko sklejało się w jeden obraz, na którym w końcu zostają rozpoznane jego zwłoki.

- Niech pan nie patrzy na mnie z takim zdziwieniem. - Engler śmiał się, zamaszystym krokiem obchodząc samochód. Miał na sobie obcisły dres i bokserkie buty. Wyglądał w nich absurdalnie, jak elegancki dresiarz. - Sam jest pan sobie winny.

Z tylnego siedzenia detektyw zabrał torbę z płótna żaglowego i rzucił ją na ziemię pod nogi Sterna.

- Najpierw Harald Zucker. Potem Samuel Probtjeszki. Nie mógł pan po prostu zostawić tych trupów w spokoju?

Wiatr owiewał nogawki Sterna. Pragnął, żeby porywy zmieniły się w prawdziwy orkan i porwały go stąd. Daleko od tego koszmaru.

- Ciała moich wcześniej szych współników odkryłem już wiele lat wcześniej. Jeśli zależałoby to ode mnie, dziś nadal gniłyby w zapomnieniu.

- Dlaczego? - wymamrotał bezradnie Stern. To, co mówił, brzmiało, jakby próbował naśladować postrzelone zwierzę. Mimo knebla Engler dobrze go rozumiał. Spojrzał na niego, jakby stwierdził właśnie coś bardzo głupiego.

- Bo nie chciałem prowadzić dochodzenia przeciwko sobie samemu!

Mój Boże!

W głowie Sterna pękła tama. Rzeka zrozumienia wlała się w niego: Wszyscy zamordowani byli współnikami Englera. Jak długo uważano ich za zaginionych, nikt ich nie szukał. Każdy się cieszył, że wyrzutki społeczeństwa znikły. Do czasu, aż pojawił się Simon i znalazł ciała. Teraz wszyscy szukali mordercy i motywu jego działania. Engler pierwszy musiał znaleźć „mściciela”. Zanim ktoś się zorientuje, że również jego nazwisko znajduje się na liście śmierci.

Stern trząsał się na całym ciele. Wreszcie dotarło do niego, jaką ma zagrać rolę w ostatnim akcie tego dramatu.

Policjant spojrział na zegarek i skinął głową zadowolony. Cokolwiek zamierzał, wyglądało na to, że wszystko szło zgodnie z planem.

- Mamy jeszcze piętnaście minut. Chcę wykorzystać ten czas, żeby podziękować panu za ostrzeżenie. Co prawda nie potrafię zrozumieć, skąd Simon wiedział o dzisiejszym umówionym spotkaniu na Moście, ale to i tak nie ma już znaczenia. Kiedy przekazał mi pan tę wskazówkę, stało się jasne, że kupiec zamówił dziecko tylko dla zmylenia mnie. Bardzo udanie, muszę przyznać. Zatem osoba, którą za parę sekund zobaczymy, będzie naszym „mścicielem”.

I chcesz się przed nim zasłonić mną. Mam zostać twoim kozłem ofiarnym.

Stern szarpnął się, chciał krzyknąć. Zrozumiał, że w ostatnich godzinach nie robił nic innego, jak tylko coraz głębiej wbijał sobie nóż w serce. Dobrowolnie poszedł na rzeź. Zostanie tu zamordowany, podczas transakcji między handlarzami dziećmi. Wcześniej zrobił wszystko, żeby go uznali za pederastę, któremu można przypisać tak niegodziwe czyny

Przełknął ślinę, w której wyczuł posmak krwi. Engler nie cackał się z nim, kiedy go kneblował.

Jak mogłem być tak głupi?

Przez cały czas myślał, że ściga „głos”. A tymczasem szedł po śladach, które dla niego przygotowano. I które zwabiły go w tę pułapkę. Najpierw rzucił na siebie podejrzenie, odnajdując zwłoki i tłumacząc się bredniami o reinkarnacji. Potem uprowadził ze szpitala chłopca, zostawił swoje odciski u Tiefenseego i w Willi Pederastów. A na koniec wręczył Englerowi kasetę wideo, na której widać, jak półnagi wpada do pokoju, gdzie torturowane jest dziecko.

Również odciski Cariny znajdowały się na klamce Willi, a jej samochód stał tuż przed wejściem do niej. Engler nie będzie miał problemów ze zrobieniem z nich zboczonej parki. Jedyne odciążające ich świadki były w przeszłości producentem filmów porno i stawał już przed sądem za gwałt. Diabelski plan. Winę za wszystkie swe zbrodnie Engler zrzucił na niego. Co gorsza, zadbał o to, żeby Stern sam się do niej przyznał.

- Niech już pan się tak nie złości na siebie - rzucił Engler. Odkasznął, pochylił się i wypluł flegmę obok torby. - Nie wszystko zrobił pan źle. Najpierw faktycznie chciałem, żeby dostarczył mi pan nazwisko „mściciela”. Miał pan przecież dostęp do źródła. Do Simona. Boże, ale mnie pan skołował przy pierwszym przesłuchaniu. Przez lata reprezentował pan jednego śmiecia za drugim. Aż nagle przychodzi do pana klient, który mógłby mi pomóc, a pan go odprawia z kwitkiem. Nie mogłem na to pozwolić, więc następnego dnia zorganizowałem środek przymusu.

Płyta DVD.

- Tak na marginesie, to był jedyny przypadek w całej grze, że akurat pan, adwokat, którego dziecko dziesięć lat temu podmienili moi ludzie, mógł zostać kluczem do rozwiązania mojego największego problemu.

Robert spojrział w niebo. Ciemność nocy ustępowała powoli miejsca szarości poranka. Przypomniało mu to kolor pokoju przesłuchań.

Engler, „głos”, znów się roześmiał i schylił do torby. Kiedy rozsuwał suwak, Stern dostał nieznośnej kolki.

- Szkoda, że nie wziął pan ze sobą Cariny. Mogłaby dotrzymać panu teraz towarzystwa. Niech zgadnę: uzgodnił pan z nią godzinę, o której ma zawiadomić policję, prawda? Cóż, chce pan wiedzieć, dlaczego mnie to nie interesuje?

Engler wyjął z torby szarą, wypełnioną po brzegi siatkę.

Wyglądało na to, że w środku jest jakiś duży, ale lekki przedmiot. Może poduszka.

- Bo policja już tu jest. Trzy jednostki.

Stern rozejrzył się dookoła, na próżno wypatrując czegoś w mroku.

- Około dwudziestu ludzi. Wszyscy poza zasięgiem wzroku, żeby nie zakłócić obserwacji. - Stuknął w radio umocowane przy pasie. - Dojazd do kąpieliska to ślepa uliczka. Dopiero kiedy zasygnalizuję przyjazd kupca, ulica zostanie zablokowana i zacznie się akcja.

Komisarz zaniósł plastikową siatkę do bagażnika.

- Co, nie wierzy pan? Oficjalnie zgłosiłem tę tajną operację, jak upewniłem się, że spotka się pan tu dziś z jakimś pedofilem.

Wyszczrzył szeroko zęby.

- Nie jestem tu dla własnej przyjemności. Przyjechałem, żeby pana zaarrestować. Obawiam się jednak, że się spóźnię i nie będę mógł zapobiec tragedii, która za chwilę się rozegra...

Po tych słowach Engler otworzył bagażnik mercedesa.

Stern tylko stęknął, gdy zajrzał do środka. Knebel w jego ustach zdawał się rosnąć do niewyobrażalnych rozmiarów, czuł, że zaraz rozsadzi mu szczękę i czaszkę. Jednym ruchem Engler zdjął zielony szpitalny kitel, który leżał na ciele nieprzytomnego chłopca. W bladym świetle Simon wyglądał na martwego.

Stern nie mógł oderwać wzroku chłopca, który leżał w bagażniku skulony jak opona.

- Nie ruszaj się!

Engler stanął za nim i wykręcił mu skrępowane ręce. Stern poczuł ból, bał się, że policjant chce go unieszkodliwić, łamiąc nadgarstki, ale w końcu usłyszał ciche kliknięcie. Jego dłonie były wolne. Engler przeciął plastikowe kajdanki.

- Żadnych nierozważnych ruchów - szepnął mu do ucha. Przez grubą narciarską kominiarkę Stern wyczuł wilgotny oddech. - Odsuń się na bok!

Zakręciło mu się w głowie. Mnóstwo sił kosztowało go wykonanie polecenia komisarza, przez co stracił z oczu Simona. Kiedy Engler znów za nim stanął, w lewej ręce trzymał pistolet z celownikiem laserowym. Drugą ręką przytulał do siebie niemowlę.

Źrenice Sterna rozszerzyły się. Dopiero po chwili zorientował się, że główka wystająca z białego płóciennego koca jest sztuczna. Engler trzymał naturalnej wielkości lalkę.

- Nawet potrafi mówić - zaśmiał się cynicznie i nacisnął jej brzuch.

A jednak. Stern przypomniał sobie płacz, który usłyszał przed Mostem.

Engler zatrzasnął bagażnik. Żadnego stęknięcia. Żadnego ruchu. Nic. Simon dotąd nie poruszył się ani razu.

- Przekażę panu teraz ostatnie instrukcje. Później usiądę na tylnym siedzeniu pana auta i będę pana obserwował. Jeśli z jakiegoś powodu przyjdzie panu do głowy, żeby nie wykonać moich poleceń, wysiądę, otworzę bagażnik i uduszę pana małego przyjaciela. Rozumiemy się?

Stern przytaknął.

- Jeśli będę zadowolony z tego, co pan zrobi, nieprzytomnego Simona znajdą obok pana zwłok. Ponieważ jest uśpiony, nic nie będzie pamiętał. Tym razem nie blefuję. Mogę zostawić go przy życiu. Czy pan wierzy, czy nie, w przeciwieństwie do Probtjeszkiego bardzo niechętnie zabijam dzieci. Żaden dobry biznesmen nie niszczy sam swojego towaru. Ale teraz zależy to tylko i wyłącznie od pana.

Pot pod kominiarką wżerał się jak kwas w czoło Sterna. Miał wrażenie, że znajduje się w wełnianym imadle, które ściska go coraz bardziej. Kiedy powtórzył wszystkie polecenia Englera, ten wręczył mu lalkę w małym koszyku z trzciny i wsunął do tylnej kieszeni spodni jakąś kopertę.

- Co to jest? - Engler odczytał pytanie z rozbieganych oczu Sterna. - Ja do trzymuję obietnic - wyjaśnił komisarz z ironicznym uśmiechem. - Napisałem tam adres Felixa. Kto wie, może przyda się panu w innym życiu.

Śmiech Englera oddalał się, aż wreszcie ucichł całkowicie, kiedy zatrzasnęły się ciężkie drzwi mercedesa.

Stern musiał się mocno wysilić, żeby oddychając tylko przez nos, nie wpaść w hiperwentylację. Zmrużył oczy, aby szybciej przyzwyczać wzrok do ciągle panującego mroku, pomiędzy drzewami nie zauważył jeszcze zbliżających się reflektorów

Jednak wkrótce miało się to zmienić. Śmierć już nadciągała i za kilka minut dotrze na miejsce. Całe ciało Sterna napięło się w oczekiwaniu na ból. Ruszył przed siebie.

To cud, ile sił za każdym razem dodaje Bóg człowiekowi, który walczy ze złem, pomyślał mężczyzna. Odchrząknął, a chwilę potem kaszlnął. Błyskawicznie zdjął nogę z gazu, gdy się zorientował, że przez moment nieuwagi przekroczył dozwoloną prędkość. Pot ściekał po zoranym zmarszczkami czole i zatrzymywał się na bujnych brwiach. Jego ciało w zasadzie nie było przygotowane na wysiłek, jaki go dziś czekał. Za bardzo nadwreżał się w ostatnich latach. Dziesięciolecia zemsty.

Wszystko zaczęło się od krótkiego artykułu o seksualnym wykorzystaniu dziecka. Napisał go dla niskonakładowego tygodnika, ponieważ redaktorka naczelna się rozchorowała, a on był jedynym, który mógł ją zastąpić. Dziś traktował to jak znak. Nie mogło być przypadku w tym, że akurat on miał opisać tę wstrząsającą zbrodnię. Jego rodzony brat zaginął w wieku ośmiu lat. Zwłoki odnaleziono pół roku później w tak przerażającym stanie, że rodzicom odradzano ich obejrzenia. Pierwszy artykuł zapoczątkował serię, z serii powstał manuskrypt książki, który nigdy nie znalazł drogi do wydawcy. Przestał widzieć sens w publikowaniu mrocznych rozdziałów. Żadnemu dziecku nie pomogą zapomnieć przeżytych cierpień. I żaden zbrodniarz nie zmieni przez nie swoich planów. Również brat nigdy już do niego nie wróci. Wszystko będzie się działo, jak dotychczas. Kiedy pewnej niedzieli ta gorzka prawda dotarła do niego z taką samą siłą i jasnością, jak obrazy, przez które nie przespał nawet jednej całej nocy, postanowił działać. Dokonanie dwu pierwszych morderstw było najtrudniejsze. Z następnymi poszło znacznie szybciej. Nie tak jak z Zuckerem, którego wcale nie planował zabić siekierą. Ten mężczyzna był bardzo silny, bronił się do ostatniego tchu, wytrącił mu nawet pistolet. Na szczęście Bóg zesłał mu topór. Kolejny znak. Chociaż fabryka już wówczas była ruiną, wisiał na ścianie obok zwęglonej gaśnicy. Od tamtego dnia przestał jeść orzechy. Nigdy nie zapomni trzasku rozłupywanej czaszki.

Stary człowiek otarł pot z czoła i wyciągnął rękę, żeby włączyć radio. Jednak zrezygnował. Lubił słuchać muzyki, ale ostatni akt wolał zapoczątkować w ciszy.

W samochodzie, który towarzyszył mu przez te wszystkie lata na ścieżkach ciemności, minął zjazd na Huttenweg. Jeszcze tylko parę kilometrów. *Zaraz dojedziemy.*

Jak zawsze przed akcją odczuwał parcie na mocz. Z nerwów. Zapomni o kluciu w pęcherzu, jak tylko spojrzy w twarz złu. Miesiącami przygotowywał się do dzisiejszego zadania. Musiał wyprzeć się samego siebie i przybrać najbardziej odrażającą tożsamość, jaka istniała. Pederasty. Minęło sporo czasu, odkąd zlikwidował ostatniego śmiecia.

Dwa i pół roku. Wiele z jego starych kontaktów było nieaktualnych, inni stali się nieufni, kiedy nagle znów pojawił się na scenie. W końcu udało mu się nawiązać kontakt z mężczyzną, którego wszyscy nazywali „handlarzem”. Przez internet. Dziś ma go spotkać. Oczywiście nie mógł być całkowicie pewien, że właśnie teraz nadarzyła się okazja zniszczenia zła u źródła. Nie wiedział również, co ma sądzić o kolejnej zmianie miejsca i o przesunięciu w ostatniej chwili o czterdzieści pięć minut terminu spotkania. Wiedział jedynie, że Bóg pokieruje jego losem. Miał już swoje lata. I w przeciwieństwie do dzieci nic do stracenia.

Skreślił na zjazd Spanische Allee i pogłaskał rewolwer, który leżał na siedzeniu obok. Często się zastanawiał, czy dobrze robi. Co niedziela rozmawiał z Panem. Prosił o znak. O małą radę, czy nadal powinien podążać tą drogą. Kiedy pewnego dnia opowiedzieli mu o Simonie, myślał, że oto otrzymał wskazówkę od Boga. Ale się mylił. I szukał dalej. Aż do dziś.

Wjechawszy na leśną drogę, stary człowiek włączył długie światła. Ślepa uliczka, prowadząca do kąpieliska nad Wannsee.

12.

Jeszcze czterdzieści metrów.

Stern posuwał się krok za krokiem. Najpierw stawiał zdrową nogę, potem kontuzjowaną. Szedł prosto w stronę światła, zgodnie z poleceniami Englera.

Chociaż nie czekał długo w deszczowym zimnie, ta chwila wydłużyła się do przepelnionej strachem wieczności. Kilka minut później na parking wjechał samochód z włączonymi reflektorami. Ostatni raz Robert zastanowił się, czy istnieje jakakolwiek możliwość opóźnienia nieuniknionego końca. Nic nie przyszło mu do głowy. Maszerował w kierunku powoli toczącego się samochodu, wychodząc śmierci naprzeciw jak bydło ma rzeź.

Jego tętno przyspieszyło jeszcze bardziej, gdy stare auto średniej klasy zatrzymało się.

Wiatr przyniósł metaliczne skrzypnięcie zaciąganego hamulca ręcznego. Niemal równocześnie otworzyły się drzwi kierowcy i jakaś postać wygramoliła się niezdarnie zza kierownicy

Kto to jest?

Co drugi krok błyskawica bólu przeszywała jego kręgosłup tak silnie, że oczekiwał wręcz, że rozświetlą one mglisty widok parkingu. Próbował rozpoznać mężczyznę, który powolnie stanął między reflektorami swego samochodu. Bez skutku. Chociaż nie był do końca pewny. Czuł się jak konający z pragnienia na pustyni zwiedziony widokiem fatamorgany. Wszystko było tak nierealne. Im bardziej zbliżał się do światła, zarys sylwetki mężczyzny rozmywał się coraz mocniej. Jedno nie ulegało wątpliwości. Mężczyzna nie należał do najmłodszych. Spowolnione ruchy, krótki krok, lekko pochylona postać. Starał się jeszcze wię-

cej wyczytać z cienia, który nie ruszał się z miejsca. Białe światło wschodzącego słońca z trudem przebijało się przez grubą warstwę chmur, otaczając nieznanego niesamowitą aurą. *Jak anioł śmierci z aureolą*, przeszło przez myśl Sternowi. Zdecydowanym ruchem powiek strzepnął krople deszczu.

Trzydzieści metrów

Zwolnił jeszcze bardziej. Tylko tyle mógł zrobić. Jedynie w ten sposób nie łamał śmiertelnych zasad Englera.

Idź prosto przed siebie, powiedział mu. *Ani w prawo, ani w lewo. Nie uciekaj.*

Znał konsekwencje. I rozumiał perfidię planu, który wypełniał. Każdym krokiem nie tylko skracał odległość, ale także własne życie.

Przycisnął do piersi koszyk z lalką. Engler przezornie wyjął z niej baterie. Nic nie mogło wystraszyć „mściciela”. Nic nie mogło go ostrzec, że za chwilę stanie przed nim fałszywy handlarz. Engler wymyślił pojedynek, w którym Stern nie będzie miał broni. Jeśli obcy mężczyzna faktycznie był „mścicielem”, będzie chciał wypełnić zadanie i zastrzeli „handlarza”. Przy pierwszej okazji. Za parę sekund.

Dwadzieścia metrów.

Już był w zasięgu głosu. Ale pęczniący knebel w ustach uniemożliwiał wszelki kontakt. Sterna ogarnęło uczucie nieskończonej bezradności, jaką ostatni raz odczuł podczas pogrzebu Felixa.

Albo obcego dziecka?

Stracił już wszelką nadzieję. Nie widział szans ratunku. Wszystko, co mógłby zrobić, zagrażało Simonowi. Jeśli nic nie zrobi, sam zginie.

Piętnaście metrów.

Stern zrozumiał, że Engler po tej sprowokowanej egzekucji nie zostawi nikogo przy życiu. Jak tylko dostanie kulę w głowę, Engler obezwładni „mściciela”

i zastrzeli Simona. Będzie potrzebował jeszcze minuty, żeby ułożyć ciała, zanim da sygnał do rozpoczęcia akcji. Stern już sobie wyobrażał treść raportu.

Handlarz dziećmi (Robert Stern) chce przekazać dziecko (Simon Sachs) pedofilowi (?). Transakcja się nie udaje. Dochodzi do wymiany ognia, wskutek której wszystkie trzy osoby odnoszą śmiertelne rany.

Ukryty świadek (komisarz Martin Engler) nie był w stanie powstrzymać eskalacji zdarzeń, nie ryzykując przy tym własnego życia.

Dziesięć metrów.

Ale kto wie? Iskra irracjonalnej nadziei rozpałała się ponownie w Sternie. *Simon jest nieprzytomny, więc nie będzie niebezpiecznym świadkiem. Im więcej ciał, tym większe ryzyko.* Może Engler nie zabije nikogo więcej, niż to konieczne? Może zostawi Simona przy życiu?

Cień nabierał kształtów. W Robercie rosło mgliste wrażenie, że już kiedyś spotkał tego człowieka.

Siedem metrów.

Zatrzymał się. Zgodnie z instrukcjami kucnął i najostrożniej, jak tylko potrafił, postawił kosz na rozmięklej ziemi. Później miał się podnieść i w geście zwycięstwa utworzyć palcem wskazującym i środkowym lewej ręki literę V

- To przypieczętuje interes - powiedział Engler.

W ten sposób stanę się tarczą strzelniczą. Stern zastygł nad lalką przez ułamek sekundy dłużej, niż było to konieczne.

I ta chwila zmieniła wszystko. Może światło z reflektorów łamało się inaczej z tego kąta. Może bliska odległość albo coraz wyżej wschodzące słońce. W końcu nie było ważne, w jaki sposób rozpoznał osobę, która stała przed nim z rozwianymi włosami. Chociaż widział tego mężczyznę jeden jedyny raz w życiu.

Wyrwał się z odrętwienia i powoli się podniósł.

Co mam teraz zrobić?

Pot zbierał się pod gryzącą kominiarką.

Jak mam mu dać jakiś znak? Nie wzbudzając podejrzeń Englera.

Stern podniósł rękę, która była jak z ołowiu.

Muszę coś zrobić. Cokolwiek!

Chciał zerwać z głowy kominiarkę i odkleić taśmę. Ale ten ruch z pewnością przyniósłby śmierć Simonowi.

Ręka mężczyzny powędrowała do kieszeni. Stern spodziewał się czegoś więcej niż to, co zobaczył.

Pistolet? Rewolwer? Bez różnicy. Jeszcze dwie sekundy i będę historią.

Mdliło go. Chociaż nie widział dłoni „mściciela”, był pewny, że celował prosto w jego głowę.

Gardłowy dźwięk, tak cichy, że tylko on go słyszał, wydobył się z wysuszonej krtani. Wreszcie wpadł na pewien pomysł.

Dokładnie! To jest to!

Był idiotyczny, banalny i najprawdopodobniej skazany na niepowodzenie. Ale przynajmniej coś zrobi i nie odda się bezczynnie w objęcia śmierci.

Klik.

Siedem metrów przed nim mężczyzna odciągnął kurek.

Stern mimo to uniósł rękę, zamknął oczy i zaczął nucić.

Sześć tonów najprostszej melodii, jaką znał. Jedynej, która miała sens i którą był w stanie w ogóle zaintonować.

„Money, money, money”.

Miał nadzieję, że stary wielbiciel ABBY ją rozpozna. Modlił się, żeby ten sygnał zdekonspirował znak zwycięstwa. Żeby to wystarczyło do powstrzymania mężczyzny, o którego wózek inwalidzki potknął się raptem przedwczoraj w szpitalu.

„Money, money, money”.

Zanucił refren ostatni raz i czekał w napięciu, aż jego czaszka eksploduje.

Gdy po dwóch sekundach nadal nic się nie stało, zamrugął nieśmiało. Zyskał trochę nadziei, czuł, jak przyspiesza mu puls, i uradowany możliwością, że być może sygnał został zrozumiany, otworzył szeroko oczy. Dokładnie w tej samej chwili padł pierwszy strzał.

13.

Engler widział, jak Sterna odrzuciło do tyłu, jak się zachwiał i uderzył mocno głową w asfalt. Błyskawicznie wyskoczył z samochodu i od tyłu rzucił się na strzelca. Siłą uderzenia złamał żebro starcowi i przetrącił dwa kręgi lędźwiowe. Detektyw podniósł się z ziemi i kopniakiem wytrącił ofierze broń. Obrócił starca na plecy, usiadł na nim, przygniatając kolanami ręce, i przystawił mu pistolet do głowy.

- Kim ty, do diabła, jesteś? - wrzasnął.

Światło małej latarki przymocowanej do lufy pistoletu padło na pomarszczoną twarz, której nigdy wcześniej w życiu nie widział.

- Losensky Nazywam się Frederik Losensky – wysapał starzec i plunął krwią w twarz komisarza. Ten wytarł się rękawem i palcami rozdziawił mu

szczękę. Powstrzymał się na chwilę przed wpakowaniem mu do ust lufy pistoletu.

- Do kogo należysz? Dla kogo pracujesz?

- Dla Niego.

- Jak on się nazywa? Kto jest twoim szefem?

- Ten sam, co i pana. Bóg.

- Nie wierzę. - Engler wcisnął mu broń pod szczękę. - Przez te wszystkie lata pogrywał sobie z nami nawiedzony emeryt.

Śmiech Englera przeszedł w kaszel oskrzelowy

- Okej, w takim razie mam dla ciebie dobrą informację - syknął. - Twój szef, kochany Bóg, zaprosił cię dziś na ważną naradę. A ja mam cię do niego zaprowadzić. Trochę się spieszy, więc...

- Ręce do góry!

Engler zmarszczył brwi, podniósł głowę i spojrzał w lewo w stronę trzech świerków, zza których wyszła kobieta.

- Serdecznie witamy na imprezie - roześmiał się, kiedy rozpoznał Carinę. - Najwyższy czas.

Podeszła dwa kroki i zatrzymała się mniej więcej w odległości dziesięciu metrów przed nim.

- Proszę zostawić w spokoju tego człowieka i wyrzucić pistolet!

- A co, jeśli tego nie zrobię?

Mimo dzielącej ich małej odległości Engler musiał przekrzykiwać wiatr, który wzmógł się jeszcze bardziej.

- Zastrzełę pana.

- Tym czymś w pani dłoni?

- Tak.

Engler zaśmiał się.

- Czy to nie jest przypadkiem pistolet z saszetki, którą miała pani wczoraj na sobie?

- To bez znaczenia!

- No to niech pani strzela.

- Słucham?

Carina przyłożyła drugą dłoń do rękojeści broni. Wyglądała, jakby się modliła.

- Tylko taka prośba - krzyknął komisarz. Starzec pod nim oddychał ciężko. - Nie musi pani przecież celować we mnie. Proszę po prostu strzelić raz w powietrze.

- Ale po co?

Ramię Cariny zaczęło lekko drżeć, jakby broń w jej rękach z sekundy na sekundę stawała się coraz cięższa.

- Żeby się mogła pani przekonać, że pistolet nie jest naładowany. Czy może pani naprawdę wierzy, że oddałem jej broń, nie opróżniając magazynka?

- A kto panu powiedział, że go ponownie nie naładowałam?

- Pani przerażone oczy, pani Freitag. - Engler zabrał pistolet z twarzy Losensky'ego i wycelował w Carinę. - Bye, bye - powiedział.

Klik, usłyszała, naciskając spust. Klik, klik. Czwarta nieudana próba rozmyła się w śmiechu Englera. Bezużyteczny pistolet wysliznął się z jej rąk i upadł na ziemię.

- Taka szkoda.

Komisarz odciągnął kurek swojej broni i skierował laserowy celownik prosto w czoło Cariny

Kiedy odgłos strzału rozniósł się po wzburzonym Wannsee, wydawało się, że wichura wstrzymała na chwilę swój wściekły oddech. Potem porywy pochłonięły śmiertelny odgłos.

POCZĄTEK

Nie jest bardziej zaskakujące narodzić się dwa razy niż raz.

Voltaire

Przeżywaj każde swe życie tak, jakby było ostatnie.

Viktor Larenz

Kuła zawsze mówi prawdę.

Christophen Walken w *Człowieku w ogniu*

Ludzie będą o mnie mówić, że nie żyję. Nie wierz im! Oni kłamią!

Ja nigdy nie umrę.

Klaus Kinski

1.

Głosy miały syczący blaszany dźwięk, jakby wydobywały się ze zdecydowanie za głośno nastawionego odtwarzacza mp3.

Z każdym szarpnięciem pojazdu stawały się głośniejsze, aż wreszcie obudziły Simona. Otworzył na moment oczy. To wystarczyło, żeby zauważyć, że karetką jechali razem z nim dwaj mężczyźni.

- Kryptomnezje? - usłyszał zachrypnięty głos, który natychmiast rozpoznał. *Borchert!*

- Tak - odpowiedział profesor Muller. - W dziedzinie badań nad reinkarnacją wszystko jest oczywiście kontrowersyjne, a na dzień dzisiejszy to jest najbardziej przekonujące założenie w sposób logiczny i naukowy wyjaśniające pozorne doświadczenia ponownego urodzenia się.

Simon spróbował wstać. Chciało mu się pić i lewe kolano szczypało pod cienką piżamą. Zazwyczaj gdy się budził, był sam. Potrzebował trochę czasu, żeby „odzyskać jasność umysłu”, jak to nazywała Carina. Kiedy tak mówiła, zawsze przypominał sobie śnieżne płatki. Szklane przedmioty wypełnione wodą, którymi potrząsano i obserwowano, jak powoli opadają kawałki styropianu. Po przebudzeniu myślał czasem, że w jego głowie dzieje się coś podobnego. Pierwsze minuty dnia wołał przeczekać, aby obrazy głosy i wizje znów znalazły swoje miejsce. Postanowił jeszcze przez chwilę udawać, że śpi, i potajemnie przysłuchiwać się cichej rozmowie obu mężczyzn.

- Da się to też zrozumieć bez matury? - spytał właśnie Borchert.

- Wydaje mi się, że tak. To w zasadzie jest bardzo proste.

Do niedawna nauka zakładała, że nasz mózg posiada coś w rodzaju filtra. Musi pan wiedzieć, że pana mózg jest w stanie w ciągu jednej sekundy przetworzyć

miliardy informacji. Oczywiście nie wszystkie są istotne. Teraz na przykład koncentruje się pan na słuchaniu mnie, rozumieniu moich wywodów i utrzymaniu równowagi, kiedy karetka wchodzi w zakręt. Jednocześnie nie zwraca pan wcale uwagi na numer seryjny tej apteczki ani na to, czy noszę sznurowane buty, czy nie.

- To pantofle.

- Tak. Pana oczy przez cały czas je widziały, ale filtr w pana mózgu odsiał tę informację jako nieistotną do momentu, aż zwróciłem na to pana uwagę. I tak powinno być. Niech pan sobie wyobrazi, że podczas spaceru w lesie liczy pan wszystkie liście na każdym drzewie, albo siedząc w kawiarni, przysłuchuje się nagle wszystkim rozmowom przy sąsiednich stolikach.

- Pewnie bym się poszczał.

- Śmieje się pan, ale ma pan całkowitą rację. Bez filtra pana mózg byłby tak bardzo zajęty przetwarzaniem niewyobrażalnego zalewu informacji, że prawdopodobnie straciłby kontrolę nad najprostszymi potrzebami fizjologicznymi.

- No przecież sam pan powiedział, że ta teoria o filtrze to już stara bajka.

Simon poczuł, jak jakaś niewidoczna siła pociągnęła jego głowę do przodu. Musiał więc leżeć w kierunku jazdy, a karetka pewnie właśnie się zatrzymała.

- Nie do końca - odpowiedział Muller. - Chociaż istnieje nowa bardzo rozsądna teoria związana z badaniami nad sawantami.

- A co to jest?

- Pewnie pan wie, co to autyzm.

- *Rain Man*?

- Tak, na przykład. Pozwoli pan, że się przez chwilę zastanowię, w jaki sposób najłatwiej to wyjaśnić laikowi.

Mimo zamkniętych oczu Simon wyraźnie widział ściągnięte kąciaki ust zadumanego ordynatora i z trudem powstrzymał się od parsknięcia śmiechem.

- Dobrze, niech pan zapomni o filtrze i wyobrazi sobie zawór.

- Okej.

- Dzięki niemal nieograniczonej pojemności ludzkiego mózgu wiele przemawia za tym, że najpierw wszystko zapamiętujemy. Tyle że na poziomie podświadomości. Biochemiczny zawór w ludzkim mózgu zapobiega przeciążeniu pamięci długotrwałej i udostępnia tylko te dane, których naprawdę potrzebujemy

- Zatem wszystko zostaje najpierw wklejone do segregatora, a później z trudem udaje się nam go otworzyć?

- Tak też można to określić.

- A co to ma wszystko wspólnego z reinkarnacją Simona?

- To proste. Zasnął pan kiedyś przed telewizorem?

- Ciągłe mi się to zdarza. Ostatni raz przy nudnym filmie dokumentalnym o paleniu czarownic.

- Dobrze. Więc pan spał, lecz pana mózg cały czas był aktywny. Wsysał wszystkie informacje wydobywające się z telewizora.

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- No właśnie. Zapamiętał pan cały film, lecz zawór nie pozwala, żeby pan sobie o tym aktywnie przypomniawszy. Jednak w stanie hipnozy specjalnie wyszkolony terapeuta mógłby pobudzić pana podświadomość.

- I otworzyć segregator.

- Zgadza się.

Simon usłyszał kliknięcie i zaraz potem ciche, nierówne drapanie niedaleko prawego ucha. Domyślał się, że ordynator rysował coś długopisem, żeby jaśniej wytłumaczyć Borchertowi swoje wywody

- Podczas większości terapii reinkarnacyjnych, kiedy pacjenta wprowadza się w stan hipnozy lub transu, dokładnie tak się dzieje. Ludzie wierzą, że wchodzi w swe wcześniejsze życie. A tak naprawdę przypominają sobie tylko coś, co zupełnie niechcący zostało zapisane na jednym z najgłębszych poziomów świadomości w ich mózgu. Gdyby na przykład poddano pana takiej terapii, panie Borchert,

możliwe, że przypomniałby pan sobie ten film o średniowieczu i uznałby się pan za czarownicę, która została spalona na stosie. Byłby pan w stanie nawet podać dokładne daty i miejsca, o których mówił spiker w telewizji.

- Ale przecież nic wtedy nie widziałem.

- Widział pan. W pana fantazji odżyłyby wszystkie obrazy, które nierzadko są bardziej sugestywne niż rzeczywiste wrażenia. Jak podczas czytania książki.

Pewnie pan to zna?

- Hmm, tak. Czytałem dawno temu. I to nazywa się kryptom... coś tam?

Simon poczuł, że karetka znów przyspiesza. Ostatni raz jechał tak szybko z Cariną do fabryki, gdzie po raz pierwszy spotkał się ze swoim adwokatem.

Robert i Carina. Gdzie oni teraz są?

- Kryptomnezje. To fachowe określenie na pewien rodzaj zafałszowania pamięci. Nieświadome, błędne umiejscawianie wspomnień w czasie, traktowanych wyłącznie jako składnik teraźniejszości. Nadaża pan jeszcze?

- Jako tako. Ale Simon raczej nie usnął przed telewizorem.

Simon zamrugał kilka razy i z powrotem zamknął oczy. Im mocniej zaciskał powieki, tym wyraźniejszy stawał się obraz, który przed chwilą mu się śnił.

Drzwi z numerem 17.

- Nie, chyba nie - odpowiedział Muller. - Wie pan, że ponad miesiąc temu przerwaliśmy u niego serię naświetleń?

- Tak.

- Z powodu skutków ubocznych. Simon wylądował na intensywnej terapii z ponad czterdziestoma stopniami gorączki i zapaleniem płuc. W tym samym czasie przywieziono innego pacjenta.

- Frederika Losenskyego.

- Zgadza się. Sześćdziesiąt siedem lat, dziennikarz, z objawami lekkiego zawału serca. Oprócz bólów w piersi nie budził żadnych większych podejrzeń,

zachowywał pełną świadomość i najpierw przewieziono go na obserwację na oddział intensywnej terapii.

- Niech zgadnę. Leżał obok Simona?

- Tak. Jak dowiedział się pan już z prasy, Losensky był seryjnym mordercą pedofilów

- „Mściciel”.

- I do tego bardzo pobożny człowiek. Już wtedy utrzymywał kontakt z szefem siatki handlującej dziećmi. Myślę, że to nie przypadek, że dostał zawału krótko po tym, jak otrzymał potwierdzenie, że „handlarz” chce się z nim spotkać.

- I tej nocy na oddziale Losensky rozmawiał z Simonem?

- Nie. Simon nie był w stanie rozmawiać. Miał tak wysoką gorączkę, że wszyscy liczyliśmy się z rychłym zgonem. Mimo to, a może właśnie dlatego Losensky mówił do Simona.

- Jak telewizor?

- Skoro chce pan to tak nazwać. Podejrzewamy, że Losensky odebrał to jako znak od Boga, że leżał obok młodego, śmiertelnie chorego sieroty Przecież w imieniu takich dzieci właśnie walczył. Wykorzystał tę noc i się wyświadczył. Opowiedział Simonowi po kolei o dokonanych mordach. Losensky był autorem, potrafił bardzo obrazowo i szczegółowo opisać swoje czyny.

- Szaleństwo.

Borchert zakasłał, a Simon najchętniej zrobiłby to samo, ale nie chciał jeszcze zwracać na siebie uwagi. Przynajmniej dopóki się nie dowie, co wspólnego ma rozmowa dorosłych z hotelowym pokojem ze snu, z którego właśnie został wyrwany.

- Tak, to jest szalone. Ale może też stracilibyśmy rozum, gdybyśmy zobaczyli, czego Losensky przez całe swoje życie dowiedział się o przemocy wobec dzieci. Tak czy inaczej, Simon wbrew oczekiwaniom doszedł do siebie i historia zaczęła się toczyć swoim torem. Kiedy w dniu dziesiątych urodzin podczas tera-

pii reinkarnacyjnej został wprowadzony w hipnozę, stało się tak, jakby doktor Tiefensee wkłuł się chirurgiczną igłą w określony region jego podświadomości. Bańka pamięci pękła i Simon przypomniał sobie coś, co miesiąc wcześniej w mgłę gorączki przedostało się do jego mózgu.

- Spowiedź Losenskyego.

- Logicznie rzecz biorąc, nie wiedział, w jaki sposób pojawiły się te wspomnienia. Rozumie pan, co mam na myśli?

Borchert zaśmiał się krótko.

- Wydaje mi się, że to jest coś takiego jak znalezienie w starych spodniach dwudziestu euro, kiedy nie można sobie przypomnieć, żeby kiedykolwiek miało się na sobie ten paskudny łach.

- Dobry przykład. Znajduje pan pieniądze i je wydaje, ponieważ wychodzi pan z założenia, że należą do pana. Simon odnalazł w swej głowie wspomnienia o przerażających morderstwach i był święcie przekonany, że to on sam ich dokonał. Dlatego zdał test na wykrywaczu kłamstw.

- A skąd wiedział o przyszłości?

- Swoją spowiedź Losensky zakończył prośbą skierowaną do Simona. Tu... - Simon usłyszał cichy szelest gazety. - Znajdzie to pan w każdej dzisiejszej gazecie. W szpitalnej szafce znaleźli pamiętnik Losenskyego.

Muller zaczął czytać:

- Opowiedziałem Simonowi o moim ostatnim wielkim planie. Powiedziałem mu, że znów to zrobię. Pierwszego listopada o szóstej rano na Moście. Simon, powiedziałem, zastrzelę zło, jak tylko przekaże mi niemowlę. Ale nie jestem jeszcze do końca przekonany, czy podążam dobrym tropem. Dlatego proszę cię o ostatnią przysługę. Jeśli wkrótce...

- ...staniesz przed obliczem naszego Stwórcy, powiedz mu, że zrobiłem to wszystko ze szczerego serca – Simon otworzył oczy i ku wielkiemu zdziwieniu Mullera i Borcherta dokończył ostatnie zdania spowiedzi Losenskyego. - Spytaj

go, czy postępuję źle. Jeśli tak, niech przyśle mi jakiś znak. Wtedy natychmiast się wycofam.

- O, już się obudziłeś?

- Tak, jakiś czas temu - przyznał się Simon. Chrząknął i przekonany o swojej winie spojrzał na ordynatora.

- Więc wszystko się zgadza? - Borchert pochylił się do niego.

- Nie wszystko rozumiałem, o czym mówiliście. Ale przypominam sobie znów ten głos. Był jakiś taki... czuły.

Karetka zwolniła. Simon nieśmiało spróbował się podnieść.

- Nie zrobiłem nic złego?

- Nie, w ogóle - Borchert i lekarz odpowiedzieli jednocześnie.

- Nikogo nie zabiłem?

- Nie.

- A gdzie są Robert i Carina?

- Wiesz... - Długie palce profesora objęły ciepło jego czoło. - Minęły trzy dni. Przez większość czasu spałeś.

- I w tym czasie, no wiesz... stało się to - uzupełnił Borchert.

- No co? - zirytował się Simon. Obaj dorośli mówili jakoś dziwnie, jakby chcieli coś przed nim ukryć. – Zrobiłem coś nie tak? Nie mogą już mnie dłużej znieść? - Patrzył teraz na Borcherta.

- Bzdura. Nawet tak nie myśl.

- No to nie rozumiem.

- Niczego sobie nie przypominasz? - spytał Andi. Simon pokręcił głową.

Podczas ostatnich nocy ciągle się budził. Tylko na moment. I zawsze był sam.

- Nie. Co się stało?

Nagle za mlecznymi szybami karetki zaszło słońce, a zmiana szumu silnika przypomniała Simonowi nieprzyjemny moment, kiedy w samochodzie tej okropnej kobiety wjechali do garażu w willi.

- Jesteśmy na miejscu - krzyknął ktoś z przodu i wysiadł.
- Co się stało z Robertem i Cariną? - spytał Simon powtórnie. Tylne drzwi karetki otworzyły się.
- Yyy, wydaje mi się, że lepiej będzie, jak dowiesz się o tym od kogoś innego - powiedział profesor Muller i ostrożnie wziął Simona za rękę.

TLR

2.

Jakość czarno-białego filmu bez dźwięku była bardzo zła. Ponieważ reflektory samochodu oślepiały kamerę, nagranie wyglądało jak prześwietlone zdjęcia z ultrasonografu.

- To chłopiec czy dziewczynka? - zażartował, kiedy pierwszy raz pokazali mu film. Brandmann potrzebował trochę czasu, zanim zdołał rozróżnić obu mężczyzn stojących przed samochodem.

- Widzimy tu, jak Losensky wyciąga broń. - Odchrząknął i kantem zapalniczki wskazał odpowiednie miejsce na ekranie.

- Zasłania pan.

- Och, przepraszam. - Brandmann odsunął się na bok. - Tu. Uważajcie. Starzec wygląda jeszcze na niepewnego. Ale teraz. Losensky unosi trochę wyżej broń. I wtedy bang!

Wylot lufy rozświetlił się na szaro, pozostawiając na ekranie jak echo jasny stożek eksplozji. Stern został trafiony jak przez burzącą kulę, padł do tyłu i tyłem głowy uderzył w ziemię na parkingu kąpieliska, i znieruchomiał.

- Engler sam to filmował. Jego kamera leżała na tylnej półce samochodu, w którym się ukrył.

Komisarz po prawie każdym zdaniu odchrząkiwał. Powstrzymał się od poproszenia o papierosa i zatrzymał na chwilę taśmę.

- Byłby to idealny materiał dowodowy. Nieudana sprzedaż dziecka. Przystępcy, którzy wykańczają się wzajemnie.

Engler miał bzika na punkcie filmów wideo. Uważamy, że nie wyłączył kamery, żeby móc później sprzedać kasetę. Albo zostawić sobie na użytek domowy. Kto wie. Oczywiście dalszego ciągu nagrania nie mieliśmy nigdy zobaczyć.

TLR
3.

- Dokąd mnie prowadzicie?

Podnózek wózka inwalidzkiego zostawiał czarny ślad na wytapetowanej ścianie klatki schodowej. Simon obrócił się na siedzeniu w stronę Borcherta, który zlany potem ciągnął od tyłu za rączki.

- Musisz iść na reha - wysapał.

Również oddech kierowcy karetki, który popychał od dołu, od kilku metrów przyspieszył.

- Co znowu za reha?

- Specjalna opieka lekarska dla szczególnie ciężkich... - Borchert stęknął przy tym słowie przesadnie długo. - ...przypadków. Jak ty.

- Gdzie jesteśmy?

Pokonali ostatni stopień i Simon spojrzał z góry na profesora Mullera, który czekał jeszcze na dole schodów

- W prywatnej klinice - uśmiechnął się i dołączył do nich.

- A co to za klinika? Bez windy?

- Najlepiej obejrzyj ją sobie sam. Juuhuuuu...

Simon nie powstrzymał się od chichotu. Poczł się jak w wesołym miasteczku, pchany do przodu i ciągnięty do tyłu, kręcąc się dookoła jak bączek.

- Przestań, proszę - śmiał się, a Borchert zakręcił nim jeszcze dwa razy, zanim popchnął go mocno z klatki schodowej w pusty korytarz.

- Niedobrze mi się zrobiło - jęknął Simon. Wózek wreszcie przestał się kręcić. W przeciwieństwie do bujających się obrazów przed jego oczami. Twarze Borcherta i Mullera powoli przestawały się chwiać.

- Co... co to jest?

Simon sprawdził, czy ma perukę. Kiedy spał, zawsze leżała obok niego na stoliku. Ale teraz czuł ją bardzo wyraźnie pod niespokojnymi palcami. To nie mógł więc być sen, chociaż wszystko na to wskazywało.

- No, i co powiesz?

Nieme zdziwienie Simona było wystarczającą odpowiedzią. Spowolnionymi ruchami, jakby dopiero co wziął lekarstwa, złożył niezgrabnie biały szpitalny koc, który miał na kolanach, i przewiesił go przez poręcz.

Sam nie wiedział, dlaczego to zrobił. Pewnie tylko dlatego, żeby zająć czymś drżące dłonie, zanim powódź wspaniałych wrażeń sparaliżuje go całkowicie. Uśmiechnął się. Wraz ze zmianą wyrazu twarzy zrzucił wreszcie z siebie ołowiany pancerz. Rozejrzał się dookoła. Zwlekał. Spojrzał pytająco na towarzyszy, którzy uśmiechali się do niego zachęcająco. Najbardziej szczerzył się Borchert, którego całą twarz oblał pot. Odważył się. Wstał, zrobił dwa kroki w stronę niesamowicie wielkiego pomieszczenia. Chociaż było jeszcze tyle wspaniałych rzeczy, nie mógł odwrócić wzroku od palm przy wejściu. Zamknął oczy Bał

się, że fatamorgana zniknie, kiedy tylko znów je otworzy. Ale sekundę później wszystko nadal tu było. Brązowa bambusowa chata, wszechobecny szum morza i trochę dalej uśmiechnięta kobieta z wieńcem kwiatów na włosach.

- Serdecznie witamy - powiedziała Carina i ruszyła powoli do niego.

Błoga fala ciepła uderzyła z pomieszczenia w pierś Simona.

- Czy mogę? - spytał nieśmiało i sam się zdziwił, słysząc dziwne brzmienie swojego głosu. Potem, kiedy mężczyźni z uśmiechem zaczęli klaskać, niezdarnie jak młody pies postawił nagą stopę na kremowym piasku.

TLR

Brandmann wcisnął „play” i zatrzymany obraz ruszył. Na ekranie Engler obezwładnił Losensky'ego.

- To jest moment, w którym pojawia się pani Freitag - wyjaśnił Brandmann powód obrócenia nagle głowy przez Englera. - Przez cały czas jest poza kadrem. Niestety miała nienaładowaną broń.

- Albo na szczęście.

- Tak, albo na szczęście.

Film pokazywał, jak Engler unosił rękę. Celował w Carinę, odciągnął kurek. Wtedy rozbrzysnął strzał. Za nim. Engler został trafiony prosto w tył głowy

- Tak było. - Robert Stern potwierdził sceny odtwarzanego filmu. Wyjął mały palec z przepalonej dziury w zniszczonej kanapie i wstał z trudem. Potem zaczął nucić.

- ABBA - uśmiechnął się Brandmann. - Myślę, że Losensky usłyszawszy: „Money, money, money”, faktycznie odebrał to jako znak od Boga i oddał najpierw ostrzegawczy strzał w powietrze.

- Liczyłem na coś w tym rodzaju. Przewróciłem się jedynie ze strachu. Nie przez kulę. Upadając, zorientowałem się, że nie zostałem trafiony. Wiedziałem, że nie mogę się podeprzeć przed upadkiem. Inaczej Engler myślałby, że nadal żyję. Właściwie pokonałem go jego własną metodą. Mnie też się udał trik z udawaniem śmierci. No i przyniósł mi to.

Stern wskazał najpierw na kołnierz wokół szyi i na opatrunek na głowie. Mimo wstrząsu mózgu przeczołgał się przez parking. Centymetr po centymetrze w stronę broni, którą Engler wytrącił wcześniej kopniakiem z ręki Losenskyego. Jednak bez ostatnich sekund, które zyskał dzięki pojawieniu się Cariny, nie udałooby mu się na czas podnieść rewolweru, wycelować i strzelić.

Stern, utykając, podszedł do komisarza.

- Przez cały czas myślałem, że pan jest moim przeciwnikiem. Dlatego nie zwróciłem się do pana, tylko właśnie do pana partnera.

- Rozumiem. - Brandmann odchrząknął chyba po raz dwudziesty i nerwowo pocierał grubym kciukiem zapalniczkę.

- Engler nie był moim partnerem. Oficjalnie jestem psychologiem doradcą w Federalnym Urzędzie Policji Kryminalnej. Ale to tylko przykrywka. Naprawdę pracuję w wydziale wewnętrznym. Już od dłuższego czasu podejrzewaliśmy że Engler wplątany jest w jakieś brudne interesy Istniały poszlaki wskazujące na posiadłości na Majorce oraz drogie rzeczy, na które nie byłoby stać policjanta z normalną pensją. Nikt jednak nie przewidział takiego rozmachu jego działań. Najmniej ja.

- Nie prowadził więc pan dochodzenia przeciwko mnie?

Brandmann spojrzał z wyrzutem i pokręcił głową.

- Nie na początku. Nie wiedzieliśmy, że korupcyjne działania Englera i odkrywanie zwłok przez Simona mają ze sobą coś wspólnego. Nasza strategia polegała na wyprowadzeniu Englera z równowagi, dlatego musiałem notorycznie i prostacko ingerować w jego pracę. Mieliśmy nadzieję, że jeśli wywrzemy na nim wystarczająco dużą presję i pokrzyżujemy mu plany, stanie się mniej ostrożny, napisze jakiś niezaszyfrowany e-mail albo użyje niezabezpieczonego telefonu. Cokolwiek, co nas doprowadzi do jego źródła dochodów A kiedy sprawa Simona coraz bardziej się komplikowała, komendant doszedł do wniosku, że nie zaszkodzi mieć kogoś z moim doświadczeniem w ekipie. Trochę im więc pomogłem, zadbałem o poddanie Simona testowi na wykrywaczu kłamstw, zebrałem zeznania świadków i pomogłem Englerowi podczas prac w miejscach, gdzie znaleziono ciała.

- I po to zostawił pan Picassowi swój numer telefonu?

- Tak. Tak samo zresztą jak pana ojcu. Obaj mieli do mnie zadzwonić, jeśli tylko coś zwróci ich uwagę. Niestety pielęgniarz został wyeliminowany, zanim

zauważył wycofanie straży sprzed sali Simona. Na marginesie, już wiemy, kto dodał rohypnol do kawy Picassa.

Stern uniósł brwi.

- Strażnik. Był człowiekiem Englera. Zeznał, że został obezwładniony przez pana. Szkoda, że podczas przesłuchania nie wiedział nic o śmierci Englera. – Brandmann uśmiechnął się. - Wszystko było perfekcyjnie zorganizowane. Myślę, że w czasie tych wszystkich lat podwójnego życia Engler zaczął uważać się za nietykalnego. Jego plan był genialny, ale naznaczony manią wielkości. Zwabił pana, Carinę, Simona, a nawet własnego mordercę w pułapkę na parkingu kąpieliska. I to na oczach policji.

- A gdzie pan był przez ten cały czas? - Pytanie Sterna zabrzmiało nieuprzejmie, chociaż nie miał takiego zamiaru. - Skoro miał pan pilnować Englera, dlaczego nie zorientował się pan w jego ostatniej wielkiej akcji?

Brandmann odchrząknął i przepaszającym gestem uniósł dłonie.

- Komendant Hertzlich kazał mi się wycofać, kiedy sytuacja się zaostrzyła. Jak mówiłem, byłem tu tylko po to, żeby wyjaśnić machlojki finansowe. Moje zadanie miało od tego momentu zejść na dalszy plan, żeby nie zablokować prowadzonego dochodzenia. W zasadzie byłem już gotowy spakować walizki.

- A teraz? Co się stanie teraz? Co ze współnikami Englera? Przecież ktoś musiał mu w tym wszystkim pomagać? - Brandmann chrząkał po każdym pytaniu potwierdzająco, a jego jabłko Adama poruszało się jak cylinder na fałdzistej szyi.

- Tak, niestety. „Mściciel” przesiał ich w ostatnich latach, ale Engler umiał szybko znaleźć nowych psychopatycznych pomagierów. Jako detektyw w wydziale zabójstw miał dostęp do samego źródła. Na szczęście zdobyliśmy wystarczająco dużo materiału, który pomoże nam w rozbiciu resztki bandy

Komputery, taśmy, płyty DVD, nie zapominając o samochodzie Englera, którego bagażnik załadowany był najnowocześniejszym sprzętem wideo...

Podczas wyliczania Robert przypomniał sobie, jak Engler filmował się z Brandmannem na cmentarzu. Stern myślał wówczas, że obraz leci na żywo, a było to odtworzenie. Tania sztuczka. Tak samo jak przedstawienie w gabinecie Tiefenseego.

- Jediną radosną rzeczą, na jaką natknęliśmy się w domu Englera, był jego pies. Labrador do odwołania będzie mieszkał u mnie. - Brandmann się uśmiechnął.

- Nie więcej nie znaleźliście? - spytał niepewnie Stern.

- Nic, co mogłoby pana zainteresować. Szczerze mówiąc, nie chcę robić panu teraz zbyt dużych nadziei.

Puls Roberta przyspieszył. Jednocześnie jego lewa część ciała zdrętwiała, jakby ktoś go zamroził. Co prawda liczył się z tym, ale potwierdzone złe przypuszczenia zawsze są większym ciosem.

- Jesteśmy dopiero w połowie dochodzenia, ale dotychczas nie znaleźliśmy w materiale dowodowym żadnych wskazówek prowadzących do pana syna. Żadnych dokumentów, zdjęć albo filmów. Ani jako noworodka, ani w późniejszym wieku. Również teoria z okienkiem życia... - Odchrząknął. Można było odnieść wrażenie, że głos coraz bardziej więźnie mu w gardle. - Oczywiście podążymy śladem wskazówek i sprawdzimy wszystkie szpitale w kraju, czy coś takiego w ogóle jest możliwe. Ale na razie nic nie znaleźliśmy, co mogłoby potwierdzić pana zeznanie.

Oczywiście.

Stern przeniósł cały ciężar ciała na prawą nogę, tak mocno wciskając ją w betonową podłogę piwnicy, jak tylko mógł. Ręką szukał w tylnej kieszeni spodni pogniecionej kartki. Engler dał mu na pożegnanie zdjęcie dziesięcioletniego chłopca zdmuchującego urodzinowe świece. Odczytał duży drukowany napis zakrywający częściowo tort: „Prima aprilis”.

Zatem to też było oszustwo. Stern zamrugał, jakby wpadło mu coś do oka. Być może kiedyś uda się ustalić, w jaki sposób Engler wszedł w posiadanie nagrania ze szpitalnej kamery. Być może uda się nawet odnaleźć solenizanta, którego rysy twarzy upodobniono za pomocą jakiegoś supernowoczesnego programu do obróbki zdjęć do jego własnych. Możliwe nawet, że cała postać została sztucznie stworzona na komputerze.

Dopiero gdy zaczęło mu szumieć w głowie, Stern uspokoił się nieco. Wszystkie jego przemyślenia nie zmieniają faktu, że film z dziesięcioletnim chłopcem okazał się wyłącznie tanią przynętą. Felix był martwy, nie miał wątpliwości. Cieszył się, że nigdy z nikim nie podzielił się swoimi irracjonalnymi nadziejami.

- Sprawdzimy wszystkie poszlaki i dowiemy się, czy pana syn... - Komisarz zatrzymał się w połowie zdania i spojrzał zdziwiony w sufit. Z górnego piętra do tarła do nich muzyka reggae.

- Co tam się dzieje? - spytał zdziwiony.

- To? To wezwanie dla nas.

Stern pokuśtykał w stronę drzwi.

- Dziękuję panu bardzo, że pokazał mi pan odciążające nagranie. Ale obawiam się, że musi pan teraz zdjąć buty

- Słucham? A po co, na Boga? - Brandmann wyglądał, jakby Stern chlusnął mu w twarz szklanką zimnej wody.

Robert otworzył drzwi i karaibskie dźwięki przybrały na sile.

- Ponieważ skończyliśmy oficjalną część i teraz chcę dotrzymać obietnicy.

5.

- Nareszcie jesteście!

Roześmiany Simon w podskokach pokonał sztuczną plażę i dołączył do Roberta. Dziesiątki pomocników z agencji organizującej przyjęcia przez całą noc rozsypywały piasek na podłodze willi. Później w pośpiechu przyklejono na ścianach i oknach morskie motywy i rozstawiono na wydmach mnóstwo sztucznych palm, liści bananowca i pochodni. Nawet wypełniony drewnem kominek wyglądał jak plac z ogniskiem z powieści o Robinsonie Crusoe.

Perfekcyjną scenerię uzupełniał stojący na środku niegdysiejszego salonu barek zbudowany z prawdziwego bambusa, za którym Borchert przygotowywał właśnie koktajle bezalkoholowe.

Stern poczuł nagle potrzebę ucieczki. W stronę, w którą pchały go mroczne myśli. Dokądkolwiek, byle daleko od tego miejsca, którego nie rozpoznawał już jako swojego domu. Nie ze względu na ciepły piasek ani palmy, tylko wypełniające pomieszczenia dźwięki, przed którymi przez lata się wzbraniał. Śmiech. Muzyka. Radość. Widział Simona, Carinę, Borcherta, Brandmanna, profesora Mullera i nawet własnego ojca. Wszystkie znane twarze, ludzie, których sam zaprosił, a mimo to byli mu obcy.

Kiedy stanął przy nim Simon, powoli zmieniły się jego myśli. Jakby chłopiec niósł niewidzialną pochodnię. Wszystko dokoła niego się rozjaśniło. Dopiero teraz Stern zauważył, jak bardzo tęsknił za tym chłopakiem.

Simon uśmiechnął się tak szczerze, jak większość dorosłych nie jest już w stanie tego powtórzyć, i Robert zrozumiał po raz pierwszy, dlaczego Carina każała mu przyjechać wtedy do fabryki. To nie chłopiec potrzebował pomocy. Było dokładnie na odwrót.

- Dziękuję! - radował się Simon i na sekundę Robert zapomniał o dręczących go pytaniach. - Jest super, dzięki!

Kiedy dotykał delikatnej dłoni Simona, Sternowi przeszło przez myśl, że wszystkie odpowiedzi, których szukał w ostatnich dniach, nie były najistotniejsze. Prowadzony przez chłopca w stronę barku zobaczył wreszcie coś, co jego oczy dotychczas ignorowały: Simon, Carina, bliźniaczki, on sam. Wszyscy przeżyli. Towarzyszące mu dziecko nie będzie już cierpieć z powodu niewyjaśnionych morderczych fantazji. I mogło się śmiać, jeść lody, tańczyć lambadę i cieszyć się chwilą, chociaż w jego głowie szalało coś znacznie bardziej niszczycielskiego niż mroczne myśli.

Skoro on to potrafi, może i mnie się uda, miał nadzieję Stern.

Nie na zawsze. Nie na długo. Choćby tylko na dziś. Na teraz. Na tę chwilę.

Oparł się o bar, skinął najpierw głową do Borcherta i Cariny i ucieszył się, że przyjaciele zrozumieli go bez słów i wręczyli mu lody, które kiedyś obiecał Simonowi.

Świętowanie trwało ponad dwie godziny Rozpalili ognisko, ustawili prowizoryczny rożen i tańczyli. Kiedy opadły już największe emocje, Stern przyłączył się do Cariny i Simona, którzy przerwali nagle rozmowę.

- No, kogo tam obgadujecie? - spytał.

- Nikogo - odpowiedział Simon i uśmiechnął się szelmowsko. - Nie mogę tylko uwierzyć, że to naprawdę jest twój dom.

- Tak, tym razem Carina ma wyjątkowo rację.

- I tu mieszkasz?

- Kiedy akurat nie muszę spać w samochodach kempingowych, to tak.

Stern przesłał Carinie szeroki uśmiech, który natychmiast odwzajemniła.

- A gdzie są twoje wszystkie meble?

- Ach, nie zwracaj sobie tym głowy - wtrąciła się Carina. Dobrze wiedziała, że willa Roberta nigdy jeszcze nie była bardziej po domowemu urządzone niż dziś. Wstała, żeby przynieść sobie coś do picia. Stern patrzył na delikatne ślady stóp, które zostawiała w piasku.

- Uważaj - zwrócił się po chwili do Simona, który leżał odprężony obok niego i gapił się w sufit. W miejscu, gdzie powinien wisieć żyrandol, dyndała sieć pełna prawdziwych kokosów. - Profesor Muller powiedział mi przed chwilą, że może powtórzy badania. Wiesz, czasem takie zdjęcia mózgu z tomografu wariują. Sprawdzi jutro, jak bardzo guz rozrósł się na drugą połowę mózgu, i może...

Stern zająknął się.

- Simon?

- Tak?

- Co ci jest?

- Nie... nie wiem.

Chłopiec wyprostował plecy i tak samo jak Stern z niepokojem spojrzał na lewą stopę.

- Carina? - zawołał Robert, podnosząc się. - Nie martw się, to tylko atak epileptyczny - uspokajał bardziej siebie niż Simona. Drżenie rozeszło się ze stopy na prawie całą nogę. Ale wyglądało inaczej niż odruchy, które już raz widział. Nie opanowały całego ciała, mimo to sprawiały wrażenie groźniejszych.

- Siadaj - krzyknęła Carina, która razem z ordynatorem podbiegła do nich. W rękę miała już krople lorazepamu.

- Już dobrze, wszystko będzie dobrze.

Peruka zsunęła się z głowy Simona, kiedy odgarnęła mu włosy z czoła.

- Musimy go natychmiast odwieźć - powiedział cicho profesor Muller.

Stern przytaknął i wstał. Czuł się, jakby przed chwilą wydarzył się wypadek. Dopiero co wszyscy się śmiali, a teraz musiał patrzeć, jak Borchert wynosi na rękach chore dziecko.

- Podjedź samochodem. Szybko - usłyszał Carinę. Ciepły piasek pod jego stopami zmienił się w bagno, spowalniające kroki. Wieki trwało, zanim wyszedł z domu, przebiegł przez ogród i uklęknął w karetce obok noszy Simona.

- Posłuchaj - powiedział cicho, ze strachu, że chłopiec usłyszy niepokój w jego głosie. - Niczym się nie przejmuj, okej? Wszystko będzie dobrze.

- Tak, może.

- Nie, słuchaj mnie. Jak tylko profesor Muller opanuje to wszystko, pojedziemy na prawdziwą plażę, tak?

Złapał Simona za dłoń, ale nie poczuł odwzajemnionego uścisku.

- Nie musisz być smutny - powiedział chłopiec.

- Nie jestem - zapłakał Stern.

- Było bardzo fajnie. Świetnie się bawiliśmy - Głos Simona był coraz bardziej zmęczony. - Jeszcze nigdy czegoś takiego nie przeżyłem. Dyskoteka, zoo, film u bliźniaczek i później to superprzyjęcie...

- Nie mówmy o przeszłości, dobrze?

- Nie, ja chcę o tym rozmawiać.

Stern pociągnął nosem.

- Co masz na myśli?

- Musimy już jechać - krzyknął kierowca z przodu.

Dłoń Cariny opadła na ramię Sterna i pociągnęła go delikatnie do tyłu. Odepchnął ją.

- O czym chcesz rozmawiać, Simonie?

Powieki chłopca opadały powoli jak jesienne liście.

- O lampie w piwnicy.

- Słucham? - Silnik zaskoczył i jednocześnie coś zamarło w Sternie.

Trach.

- Znów migotała. Wtedy, jak tak długo spałem.

Nie, nie, nie, krzychał wzmagający ból w głowie Sterna.

Trach. Trach.

- Tym razem było jeszcze ciemniej. Przerażająco ciemno. Nie mogłem nic zobaczyć.

Nie, proszę, nie. Niech ten koszmar nie zaczyna się od początku, pomyślał Stern i poczuł, jak lodowa trucizna rozlewa się w jego żyłach, kiedy chłopiec podał mu ostatni adres. Potem Simon stracił przytomność.

TLR

DZIESIĘĆ DNI PÓŹNIEJ

Park Inn.

Prosimy zapoznać się z naszą tygodniową ofertą.

Wieki temu ktoś przywiesił na korkowej tablicy nad recepcją pożółkłe ogłoszenie, nie licząc najwyraźniej na to, że ktokolwiek o tej porze roku się tu pojawi. Recepcja taniego motelu była tak samo opustoszała jak ulice miejscowości, przez którą przejeżdżali w drodze do niego.

- Halo? - krzyknął Stern i rozejrzał się za dzwonkiem, którym w hotelach zazwyczaj przywołuje się obsługę. Ale na ladzie stały tylko dwie pleksiglasowe podpórki z broszurami reklamowymi. - I co? Mam tym rzucić?

Wzruszając ramionami, odwrócił się do Gariny, która siedziała na swojej walizce.

- Halo, tu są goście - zawołał tak głośno, jak tylko potrafił. W odpowiedzi usłyszał szum spuszczonej wody w toalecie.

- Jednak ktoś tam jest - mruknęła Carina. Chwilę później przez rozsuwane drzwi przecisnęła się kobieta o kwadratowej posturze.

- Po co te nerwy? - spytała, płytko oddychając.

- Nazywam się Stera. - Robert zignorował nieprzyjemne powitanie i położył na ladzie swój dowód. - Rezerwowaliśmy pokój.

- Tak, tak. Wcale nie musieliście tego robić. Wszystko wolne. - Pulchne palce kobiety wskazały na wypełnioną kluczami tablicę po jej prawej stronie. - Mogę zaproponować państwu atrakcyjną cenę za najlepszy apartament.

Stern wyobrażał sobie jego wygląd. Od pozostałych baraków różnił się pewnie tylko tym, że stał w nim telewizor.

- Nie, dziękuję. Chcę właśnie ten pokój. Przecież wyjaśniałem to już pani przez telefon.

- Naprawdę? Siedemnastkę? Hmm. Jest pan pewien? To nie jest nasz najładniejszy pokój...

- Nic nie szkodzi - powiedział Stern zgodnie z prawdą. I tak nie spędzą tu ani jednej nocy. - Siedemnastkę i żaden inny

- Jak pan sobie życzy.

Stern dotknął palcami suchej jak papier skóry kobiety, kiedy brał od niej klucz. Wzdrygnął się, jakby weszła mu drzazga.

- Podróż poślubna? - spytała, uśmiechając się sprośnie do Cariny

- Tak - odpowiedział Stern. To była najkrótsza odpowiedź, jaka przyszła mu do głowy

- Tędy prosto - powiedziała za nimi - ostatni budynek po prawej stronie.

Po kilku deszczowych dniach przestało wreszcie padać.

Wysoko ponad ich głowami wiatr gnał ciemne chmury. Było dopiero południe, ale mieli wrażenie, że minęło znacznie więcej czasu. Jedna z chmur zakryła akurat słońce, zaciemniając betonową ścieżkę. Pokój numer 17 był jedynym wolno stojącym domkiem należącym do motelu. Zamek w drzwiach raczej się nie ucieszył, kiedy Stern włożył klucz i zaczął nim kręcić. Dopiero za trzecim podejściem zasuwa puściła.

- Mam zostać na zewnątrz? - spytała Carina.

- Nie, ale proszę, nie dotykaj niczego.

Na ścianie wymacał przełącznik i zwykła żarówka oświetliła zaskakująco czyste wnętrze. Carina wciągnęła głośno powietrze przez nos, również Stern zdziwił się, że nie wyczuł żadnego kurzu ani zapachu pleśni.

- Wiedziała, że przyjedziemy - mruknął i od razu wziął się do pracy

Najpierw zajął się szafami. Zgarnął nieliczne wieszaki i rzucił ja na łóżko obok Cariny i walizki. Potem opukał sklejkę, sprawdzając, czy nie ma pustych przestrzeni. Nic nie znalazł.

Poszedł do łazienki. Rozczarował się, kiedy zobaczył, że był tam tylko prysznic. Wcześniej myślał, że znajdzie coś w szczelinach pod wanną. Ale tu nie było nawet kabiny. Woda spływała po prostu do małego odpływu w wyłożonej kafelkami podłodze.

- I co? - spytała Carina, kiedy po pięciu minutach wrócił do pokoju. Sprawdził wszystko, łącznie ze spłuczką i toaletą.

- Nic - odpowiedział, podwijając mokre rękawy koszuli. - Jeszcze nic.

Położył się na podłodze i zajrzał pod łóżko. Poprosił Carinę, żeby wstała. Podczas gdy on ciął nożem materac, ona sprawdzała kamienną podłogę, szukając jakichś nierówności. Czegoś, za czym mogłyby się znajdować ukryte drzwi albo tajemne przejście. Niestety nie wyczuła najmniejszego wyżłobienia.

Stern wyjął z walizki żółtą puszkę sprayu i rozproszył po podłodze bezbarwne mgiełki płynu.

- Nie przestrasz się - powiedział, gdy skończył. Zaraz potem zgasił światło i w pokoju zapanowała całkowita ciemność.

- Czego szukamy? - zapytała Carina, kiedy upiorne światło z ultrafioletowej latarki w dłoni Roberta oświetliło ich twarze.

- Zaraz zobaczysz.

Stern obrócił się dookoła.

- Albo nie - powiedział po chwili. W jednym miejscu któryś z gości dostał pewnie krwotoku z nosa, ale ultrafiolet nie wykazał większych plam krwi, które kiedyś zostały zmyte.

- I co teraz?

Ciężko oddychając, Stern położył się na podziurawionym materacu i gapił się znów w sufit.

- Chyba muszę do niego zadzwonić.

Z kieszeni dżinsów wyjął komórkę i wybrał numer, który odczytał z małej karteczki.

- Robert Stern - powiedział na przywitanie.

- Za późno pan dzwoni. Rozmowy telefoniczne dozwolone są wyłącznie do godziny trzynastej.

- Teraz jest dwunasta czterdzieści siedem, więc proszę mi go dać.

Mrukliwy głos po drugiej stronie ustąpił miejsca komuś, kto brzmiał znacznie bardziej uprzejmie i kulturalnie. Chociaż w przeciwieństwie do kierownika więziennego szpitala pozbawił przecież sporo osób życia.

- Losensky?

- Przy telefonie.

- Wie pan, po co dzwonię?

- Tak, chodzi o pokój numer 17.

- Co może mi pan o nim powiedzieć?

- Nic.

- Nie wspomniał pan chłopcu o tym adresie?

- Nie, w ogóle nie znam tego przybytku. Nigdy nie opowiadałem o tym Simonowi i nie mam pojęcia, dlaczego tam pana wysłał.

Stern usłyszał nerwowy kaszel Losenskyego.

- Po co miałbym kłamać? Dopiero co złożyłem przed policją obszernie zeznania, wskazałem im kolejne miejsca, o których Simon jeszcze nic nie powiedział. Siedem trupów w ciągu piętnastu lat. Więcej ich nie było. Po co miałbym ukrywać kolejne ciało?

Nie wiem.

- Leżę w więziennym ambulatorium, w którym z pewnością umrę. Młody człowieku, co ja mogę mieć do stracenia?

Nic, przyznał Stern starcowi. Podziękował krótko i się rozłączył.

- Mogę wziąć jeszcze prysznic, zanim wyjdziemy i zapłacimy za zniszczenia? - spytała Carina.

Stern skinął głową. Kiedy usłyszał szum wody, podniósł się z łóżka, odsłonił żaluzje i otworzył szklane drzwi. Świeże, czyste powietrze wypełniło mały pokój. Wyszedł na zewnątrz i wpatrzył się w dal. Plaża, nad którą znajdował się motel, ciągnęła się kilometrami w obie strony. Kipiel, mocno zalewająca brzeg, kiedy przyjechali, uspokoiła się teraz nieco. Stern zamknął oczy, a wiatr owijał mu się miękko wokół szyi jak szal. Na skórze poczuł błogie ciepło. Gdy otworzył oczy, oślepiły go pierwsze skromne promienie słońca, przebijające się przez warstwę chmur. Nagle brudna pierzyna chmur rozwiązała się i słońce zaświeciło prosto w twarz Roberta, jak w jeden z pierwszych wiosennych dni.

Chciał zawołać Carinę, kiedy coś delikatnie dotknęło jego nogi.

Spojrzał w dół i zobaczył gumową piłkę wielkości kuli do kręgli. Słońce świeciło coraz mocniej. Musiał przyłożyć obie ręce do czoła, żeby osłonić oczy, kiedy zwrócił się w kierunku, z którego przytoczyła się piłka.

- Czy może mi ją pan podać? - usłyszał jasny, bardzo młody głos. Stern podszedł dwa kroki do dziecka. I nagle poczuł niesamowite ciepło promieniujące w jego wnętrzu. Chłopiec stał przed nim na wyciągnięcie ręki, liżąc cytrynowe lody. Stern wiedział już, po co tu przyjechał. Oprócz tego nie rozumiał nic więcej.

Znał to dziecko. Jego pogniecione zdjęcie cały czas nosił w tylnej kieszeni spodni.

A kiedy dziesięciolatek uśmiechnął się do niego, Robert Stern poczuł się, jakby patrzył prosto w lustro.

PODZIĘKOWANIA

No, gdzie Cię przyłapałem? W fotelu, na kanapie, w metrze, w łóżku? A może stoisz w księgarni i zastanawiasz się, czy naprawdę powinieneś zaryzykować i zainwestować pieniądze w niemieckiego autora thrillerów, i to jeszcze o tak dziwnym nazwisku? Tak czy inaczej, dziękuję. Trzymasz w rękach moją książkę i czytasz - może tylko dlatego, że na chwilę zerknąłeś na koniec, żeby się przekonać, czy ktoś, kto tworzy takie historie, ma w ogóle jakichś przyjaciół, którym mógłby podziękować. Może nie uwierzysz, ale ma.

Chciałbym zacząć od tych, którzy najbardziej by się wkurzyli, gdybym o nich zapomniał, bo spotykam ich niemal codziennie:

Manuela - uprawiaj proszę nadal tak dużo sportu i tak samo zdrowo się odżywiaj. Jeśli któregoś dnia powiesz dość i przestaniesz organizować moje życie, będzie po mnie.

Gerlinde - dziękuję za pomoc, wsparcie i miłość, która manifestowała się między innymi tym, że zawsze podrzucałaś mi na biurko coś do jedzenia, kiedy przechodziłem fazę intensywnego pisania. Inaczej umarłbym z głodu.

Clemens & Sabine - z pewnością marzycie o tym, że napiszę kiedyś książkę, w której żadne choroby ani psychozy nie będą grały pierwszoplanowych ról. Ale obawiam się, że będziecie musieli jeszcze trochę wytrzymać jako moi medyczni doradcy. Jesteście po prostu za dobrzy

Patty - dziękuję za wspaniałe przedstawienie terapii reinkarnacyjnej, którą sama przeszłaś, i za pozwolenie na umieszczenie w tej książce twoich własnych doświadczeń.

Zsolt Bacs - polubiłem cię, jeszcze zanim potrafiłem poprawnie wypowiedzieć twoje nazwisko. Nie znam nikogo lepszego podczas burzy mózgów.

Ender - dziękuję, że ciągle poznajesz mnie z osobliwymi ludźmi, którzy są inspiracją dla postaci w moich historiach (Borchert!). Tylko proszę, powiedz mi, że jestem całkiem w porządku i że nie musi mi łamać kciuków.

Sabrina Rabów, Thomas Koschwitz, Arno Muller - dziękuję za przyjacielskie i jednocześnie profesjonalne wsparcie podczas tych wszystkich lat, mimo że zawsze w okropnych segregatorach wysyłam wam swoje manuskrypty

Peter Prange - wyrównałeś walcem drogę, którą teraz mogę podążać. Już tylko za to zasłużyłeś na honorowe miejsce w każdym moich podziękowaniach. Zawsze jest dobrze, gdy można się pochwalić przyjacielem, który jest autorem bestsellerów.

Roman Hocke - nie wiem, jak to wszystko robisz, ale jesteś najlepszy. Bez twojego wsparcia jako agenta moje książki nie zostałyby wydane w prawie dwudziestu krajach, nie doszłoby do ekranizacji. Pewnie nadal pisałbym tylko dla siebie i moich psów. Masz przy sobie świetny zespół z Claudią von Hornstein, Christine Ziel i doktorem Uwe Neumahrem, którym również chciałbym podziękować.

A propos agentów - Tanja Howarth - wystarczą tylko dwa słowa: Anglia & Ameryka. Dziękuję za wszystko!

Przedstawicielom wspaniałej ekipy w wydawnictwie Droemer Knaur:

* doktor Hans-Peter Übleis - dziękuję za to, że tak mocno pan we mnie wierzy i mnie wspiera.

* doktor Andrea Müller - znów musiałem nieźle się napocić nad pani szczegółowymi uwagami. Dzięki bezustannej pracy wydobyła pani ze mnie wszystko, co najlepsze. Tysiącrotnie dziękuję za prowadzenie mnie jako autora.

* Carolin Graehl - niewiarygodnie konstruktywny finisz sprawił mi sporo radości. Cieszę się już teraz na następny redakcyjny maraton.

* Beate Kuckertz - dziękuję za pani absolutne wyczucie. Zawsze pani wie, który z moich mętnych pomysłów ma zadatki na prawdziwy thriller.

* Klaus Kluge - dziękuję za to, że swoją marketingową wiedzą wspierasz mnie i moje dzieła. Niesamowicie dużo przyjemności daje praca z takimi zawodcami jak ty. To samo tyczy Andrei Fischer.

* Andrea Ludorf - goni mnie pani raz po raz przez cały kraj. I dobrze! Proszę, niech pani nadal z taką perfekcją organizuje moje imprezy i odczyty

* Susanne Klein, Monika Neudeck, Patricia Kessler - dziękuję za to, że wspólnie skupiacie zainteresowanie prasy na moich książkach.

* Dominik Huber - chociaż jesteś mistrzem wirtualnego świata, cieszę się, że mogłem cię poznać w realu.

W dalszej kolejności dziękuję wszystkim księgarzom i przedstawicielom, którzy dostarczają moje książki tam, gdzie ich miejsce. Podziękowania, na które zasłużyli wszyscy, chciałbym złożyć na ręce szefów dystrybucji w wydawnictwie Droemer: Iris Haas, Heide Bogner, Roswithcie Kurth, Andreasowi Thiele, Chri-

stiane Thóming i Katrinie Englberger. Ach tak, no i oczywiście Georgowi Regisowi. To żadna sztuka wyczytać z moich dłoni pozytywną przyszłość, skoro tak intensywnie się za mną wstawiasz.

Kogo tu jeszcze brakuje? Tysięcy, na przykład mojego ojca Freimuta Fitzka, po którym odziedziczyłem nie tylko miłość do literatury Simona Tagera, Dirka Stillera, Michaela Treutlera, Toma Hankela, Matthiasa Koppa, Andrei Kammann, Sabinę Hoffmann, Daniela Biestera, Corduli Tungbluth - wszyscy wiecie za co. Jeśli nie, winni mi jesteście przysługę.

Poza tym cieszę się z każdej wizyty na mojej stronie: www.sebastianfitzek.de. Możecie pisać bezpośrednio do mnie na adres: fitzek@sebastianfitzek.de. Obiecuję, że odpowiem jeszcze w tym życiu.

Sebastian Fitzek, Berlin, wrzesień 2007

PS Naturalnie dziękuję również tobie, Simonie Sachs.
Gdziekolwiek teraz jesteś...